ŚLEDZTWO „DO RZECZY”

Łaskawość Kiszczaka dla morderców bł. księdza Jerzego Popiełuszki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 44/296 29 PAŹDZIERNIKA–4 LISTOPADA 2018

Jak bronić szkoły przed atakiem homopropagandy

ANNE APPLEBAUM GRA KARTĄ ANTYSEMITYZMU

Włochy walczą z Brukselą o suwerenność

DOPIERO TERAZ BĘDZIE WOJNA

Wyborczy maraton zmusi PiS i anty-PiS do zaostrzenia sporu

GRZEGORZ SCHETYNA

JAROSŁAW KACZYŃSKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 44 >

Nakład: 81 tys. egzemplarzy

eprasa.pl a980e6f3ab

GRAJ W ZAKŁADY SPECJALNE!

Typuj 5 liczb z 45, wygrywaj już za trafienie 3 liczb!

Losowanie 10 listopada 2018 r.

Grając, wspierasz Program Stypendialny „100 na 100”
dla najzdolniejszych studentów.
www.fundacjalotto.pl/100stypendiow

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl a980e6f3ab

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Siła polskiej demokracji

Jak łatwo można było przewidzieć, każdy lub prawie każdy z głównych graczy politycznych ogłosił swój sukces w wyborach samorządowych. Na pewno o wygranej może mówić Prawo i Sprawiedliwość. Liczby mówią w tym przypadku same za siebie – kilkaset tysięcy głosów więcej niż cztery lata wcześniej, 254 mandaty w sejmikach, zwycięstwo w dziewięciu i samodzielne rządy w sześciu – to wystarczy, żeby mówić o zwycięstwie.

Statystyki jednak to nie wszystko i łatwo było zauważyć, że w szeregach PiS poza oficjalnie pokazywanym entuzjazmem pojawiły się też oznaki niepokoju, a nawet rozgoryczenia. Dlaczego?

Myślę, że powody są dwa. Pierwszym były zbyt rozbudzone oczekiwania, drugim kiepskie wyniki w dużych, a nawet średnich miastach. Chociaż 33-procentowe poparcie w wyborach samorządowych to wynik dobry, w historii PiS najlepszy, wielu wyborców, opierając się na sondażach, oczekiwało czegoś więcej. Wierzyło, że – używając metafory bokserskiej – PiS wygra nie na punkty, ale że rywala po prostu znokautuje. A tak się nie stało.

Po drugie, sukces zostałby bardziej doceniony, gdyby nie spektakularna przegrana Patryka Jakiego i zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego już w pierwszej turze w wyborach w Warszawie. I chociaż zwolennicy Jakiego przekonują, że poparcie w pierwszej turze na poziomie 28,6 proc. to wynik lepszy od tego, który osiągnął cztery lata wcześniej Jacek Sasin, to argumentacja ta nie przekonuje. Trzeba bowiem pamiętać, że w przeciwieństwie do krótkiej i spóźnionej kampanii Sasina Patryk Jaki miał wystarczająco dużo czasu, żeby walczyć o wyborców. Co więcej, w jego wspieranie zaangażowali się premier, prezes partii rządzącej, a także największe wspierające PiS media. Jak na skalę zaangażowanych środków rezultaty okazały się mierne.

Powodem były błędy popełnione przez samego kandydata prawicy i jego otoczenie, szczególnie widoczne w ostatnich dwóch tygodniach kampanii. Niepotrzebna i przedwczesna deklaracja wystąpienia z Solidarnej Polski (większość odebrała to jako rezygnację z PiS) tylko zdemobilizowała elektorat prawicy i, co gorsza, utrudniła kampanię pozostałym prawicowym kandydatom w innych miastach. Podobnie złym pomysłem było ogłoszenie, że wiceprezydentem u boku Jakiego miałby zostać Piotr Guział. Wreszcie poważnymi wpadkami były spot o imigrantach, który pojawił się w warszawskiej kampanii deus ex machina, oraz wypowiedź kandydata PiS porównująca głosowanie do powstania warszawskiego. W efekcie Patryk Jaki osiągnął efekt odwrotny do zamierzonego: zamiast swoich zmobilizował wyborców rywala.

Nie zmienia to faktu, że zwycięstwo Koalicji Obywatelskiej w Warszawie i innych dużych miastach to zdecydowanie za mało, żeby mogła ona myśleć o sukcesie w wyborach ogólnopolskich. Niemal 27 proc. poparcia dla PO i Nowoczesnej to mniej więcej tyle samo, co rezultaty samej Platformy. Połączenie Nowoczesnej i PO nie poszerzyło elektoratu, raczej nastąpiło wchłonięcie tej pierwszej i mniejszej przez silniejszego partnera.

Podobnie nie sposób mówić o sukcesie PSL, które w tak dramatyczny sposób utraciło wpływy w sejmikach. A i to, co się udało PSL zachować, wynika tylko z błędów władzy: nieprzemyślanej i zdecydowanie zbyt restrykcyjnej ustawy o obrocie ziemią oraz niemądrego pomysłu walki z farmami futrzarskimi. Na szczęście w porę ktoś w PiS, zapewne sam premier Mateusz Morawiecki, doprowadził do wycofania się z tego dziwacznego projektu. O przegranej, podobnie jak w przypadku PSL, można też mówić w przypadku SLD, który od miesięcy snuł mocarstwowe plany i spodziewał się znacznie lepszego wyniku. Czyni to bardziej prawdopodobnym dołączenie się ugrupowania Włodzimierza Czarzastego do Koalicji Obywatelskiej.

Przebieg wyborów i ich rezultaty pokazują jeszcze jedno. Polska demokracja ma się bardzo dobrze. Wbrew propagandzie totalnej opozycji i jej zagończyków, opowiadających o braku wolności i autorytaryzmie, głosowanie obecne było znacznie bardziej przejrzyste i uczciwe niż to sprzed czterech lat. Co więcej, pokazało, że nic nie jest przesądzone, a PiS respektuje zasady gry. Szkoda tylko, że nikt teraz za wygadywane brednie o fałszowaniu wyborów i PiS-owskim reżimie nie przeprosi i że, jestem pewien, wkrótce znowu zacznie się ta sama stara, zużyta śpiewka o końcu demokracji. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

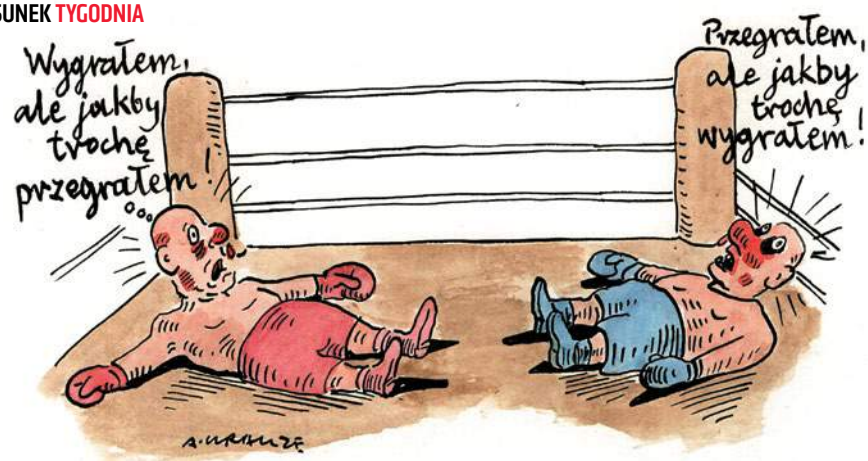

eprasa.pl a980e6f3ab

TEMAT TYGODNIA

20 PIOTR SEMKA
PRAWDZIWA WOJNA ZACZNIE SIĘ TERAZ
Sprawdzian przed bitwą o wszystko

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PO WYBORACH – WYBORY

26 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM
JAKI PRZEGRAŁ WARSZAWĘ NIE Z WŁASNEJ WINY

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CZAR ROZLICZEŃ

KRAJ

34 KAMILA BARANOWSKA
SPOKÓJ Z SĄDAMI
Wyciszanie sporu z Brukselą?

36 MARCIN MAKOWSKI
PANI ANNO, NIKT PANI POLSKI NIE ZABRAŁ

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
KURS NA EPIDEMIĘ

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
TĘCZOWA KLASA

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
GŁOWA NA KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU
Ostatnia książka Janusza Głowackiego

48 PIOTR GOCIEK
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 GRZEGORZ KUCHARCZYK
PUSTKA I ZAKŁAMANIE
Ideologia nowej lewicy według Scrutona

HISTORIA

62 PIOTR WOYCIECHOWSKI
PAN OD ZNACZKÓW
Nieznana historia rytownika Czesława Słani

66 PIOTR LITKA
ŁASKAWOŚĆ GENERAŁA KISZCZAKA

ŚWIAT

70 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SCHIZMA GEOPOLITYCZNEGO ZNACZENIA
Podział prawosławnego świata

72 DOMINIKA ĆOSIĆ
BÓJ TO BĘDZIE OSTATNI?

74 ŁUKASZ WARZECHA
OCZAMI NIEMCÓW

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
WŁOSI WALCZĄ O SUWERENNOŚĆ
Czy strefa euro się rozpadnie

82 STEFAN SĘKOWSKI
KACOWE NIEPODLEGŁOŚCI

84 JERZY LIPKA
KTO MA ENERGIĘ DO ZMIANY

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
ZATRZYMAĆ WULKAN

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (65), KOWALCZUK (76), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl a980e6f3ab

Nie wolno czekać

Z ***prof. Dariuszem M. Kowalskim***, onkologiem, prezesem Polskiej Grupy Raka Płuca, rozmawia Katarzyna Pinkosz

Co roku w Polsce na nowotwór płuca zaczyna chorować całe miasto wielkości Działdowa: 22 tys. osób. Jak temu zapobiec?

Najważniejsze jest nienarażanie się na kontakt z najważniejszym czynnikiem rakotwórczym, którym jest dym tytoniowy. 90 proc. osób, które chorują na nowotwór płuca, to palacze tytoniu – obecni albo byli. Ryzyko zachorowania zwiększa też bierne palenie, czyli narażenie na wdychanie dymu tytoniowego.

Coraz bardziej popularne są e-papierosy. One też zwiększają ryzyko?

Czynnikami kancerogennymi w papierosach są substancje zawarte w dymie tytoniowym, w smole powstającej przy spalaniu tytoniu i papieru. E-papierosy pojawiły się niedawno, nie ma jeszcze jednoznacznych badań, które oceniałyby ryzyko. Szkodliwe mogą być w nich substancje, które są dodawane, czyli składniki zapachowe. Ryzyko rozwoju raka płuca po paleniu e-papierosów jest mniejsze niż po zwykłych papierosach, nie znaczy to jednak, że są bezpieczne. Lepiej po prostu nie palić.

To prawda, że smog jest tak samo niebezpieczny jak papierosy i mieszkając w zanieczyszczonych miastach, jesteśmy tak samo narażeni?

Zanieczyszczenie środowiska – pyły, mikropyły, smog – na pewno zwiększa ryzyko rozwoju przewlekłej obturacyjnej choroby płuc (POChP), która powoduje procesy zapalne w pęcherzykach płucnych. Ułatwia to powstawanie nowotworu. Aby jednak rozwinął się nowotwór płuca, trzeba być narażonym przez wiele lat na czynniki kancerogenne.

Jakie objawy mogą sugerować, że w płucach może się rozwijać nowotwór? Kiedy trzeba iść do lekarza?

To konieczne, jeżeli osoba, która nie pali papierosów, kaszle przewlekle, a nie ma żadnej infekcji. Jeśli chodzi o osoby palące papierosy, to w ich układzie oddechowym stale toczy się proces zapalny, który powoduje kaszel. Palacze są przyzwyczajeni do tego, że kaszlą – to właśnie objaw POChP. Poważny niepokój powinna wzbudzić zmiana charakteru kaszlu – staje się bardziej intensywny, trudny do wytrzymania, raczej suchy. Jak najszybciej trzeba iść do lekarza, jeśli w plwocinie pojawia się krew. Objawem alarmowym jest też zmniejszenie wydolności oddechowej – „zawsze wchodziłem na czwarte piętro bez problemu, a teraz wchodzę na pierwsze i muszę się zatrzymać". Niepokojące są też objawy ogólne – stany podgorączkowe, pocenie się, szybkie chudnięcie. To są sygnały, które mogą świadczyć o rozwoju zespołów paranowotworowych, które są początkiem choroby nowotworowej.

> Nowotwór nie czeka, stale się rozwija. Od szybkiej diagnozy i szybkiego rozpoczęcia leczenia często zależą szanse na życie. Nie wolno zwlekać

Lekarz rodzinny będzie w stanie ocenić, czy powodem jest infekcja wirusowa czy bakteryjna. Jeśli nie, może zalecić zrobienie RTG klatki piersiowej lub tomografii komputerowej. Jeżeli w badaniu będą niepokojące zmiany albo kaszel nadal trwa, lekarz powinien dać pacjentowi skierowanie do pulmonologa, który zleci dalszą diagnostykę. Wykluczyć lub potwierdzić nowotwór mogą dopiero biopsja i wynik badania patomorfologicznego.

Każdy palacz myśli, że choroba go nie dotknie, przyzwyczaja się do kaszlu, a słabszą wydolność fizyczną zrzuca np. na karb wieku. Odkłada wizytę u lekarza, starając się odsunąć myśl o chorobie...

To błąd. Najlepiej by było, żeby osoby palące jak najszybciej rzuciły palenie. Jeśli zaś pojawiły się niepokojące objawy, to konieczna jest jak najszybsza wizyta u lekarza i postawienie diagnozy.

Zdarza się, że na nowotwór płuca chorują też osoby, które nigdy nie paliły papierosów. Dlaczego?

Przyczyną mogą być czynniki genetyczne oraz inne, środowiskowe, których nie znamy. Dlatego warto raz w roku pójść do lekarza i poprosić o zbadanie. To wręcz obowiązkowe dla palaczy. Mamy już potwierdzenie, że wśród osób, które palą papierosy 10-20 lat i dłużej, warto wykonywać badania przesiewowe – tomografię komputerową niskodawkową, mimo że nie mają niepokojących objawów. Dzięki temu można wykryć nowotwór we wczesnej fazie, która pozwala na leczenie radykalne dające szansę na całkowite wyleczenie.

ZDJĘCIA: 123RF

Ministerstwo Zdrowia

Kampania realizowana w ramach Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych.
Zadanie: Promocja zdrowia i profilaktyka nowotworów; finansowana ze środków Ministra Zdrowia

eprasa.pl a980e6f3ab

Drodzy Czytelnicy,

Pomimo tego, że w minionym tygodniu na naszą skrzynkę: listy@dorzeczy.pl napływało najwięcej listów komentujących wyniki wyborów, dziś w rubryce nie tylko ten temat.

„Ewolucja" – Krzysztof Rybiński, „DRz" 43/2018

Krzysztof Rybiński w ostatnim felietonie „Ewolucja" cytuje napis z tablicy widocznej na murze kościoła św. Marcina we Wrocławiu. Krótki ironiczny felieton ma przekonującą wymowę, ale godzi się przypomnieć, co to za cytat stał się dla felietonisty inspiracją do podzielenia się swoimi refleksjami z czytelnikami „Do Rzeczy".

Chodzi o ważny, a mało znany fragment z dziejów polskiej nacji. Na tyle ważny, że zwłaszcza dziś, w przededniu 100-lecia niepodległości, zasługuje na jego głośne przywoływanie i przypominanie.

To Pięć prawd Polaka, przyjęte uchwałą I Kongresu Polaków w Niemczech, który odbył się w marcu 1938 r. w Teatrze Ludowym w Berlinie. Zorganizował go ówczesny Związek Polaków w Niemczech, którego działacze w takich oto słowach ujęli ideowe kanony swojej postawy i działania:

1. *Jesteśmy Polakami.*
2. *Wiara Ojców naszych jest wiarą naszych dzieci.*
3. *Polak Polakowi Bratem!*
4. *Co dzień Polak Narodowi służy.*
5. *Polska Matką naszą – nie wolno mówić o Matce źle!*

O kongresie można przeczytać w Wikipedii: „Przybyli Polacy mieszkający na Śląsku Opolskim, z Babimojskiego, Kaszub, Warmii, Ziemi Malborskiej, Mazur, Ziem Połabskich, Westfalii i Nadrenii. Spotkanie stało się manifestacją narodową Polaków w hitlerowskich Niemczech. Mimo utrudnień – odwołano kilka pociągów – stawiło się około 5 tysięcy delegatów. Koszty podróży nie były zwracane. Celem kongresu było zwrócenie uwagi świata na półtoramilionową społeczność polską w Niemczech".

Łączę pozdrowienia
Jacek Jakubiec, Jelenia Góra

I „po ptokach"

TVP „pomogła" PiS przegrać wybory samorządowe w dużych miastach! Nachalna propaganda, stronnicze komentarze, męczące powtórki materiałów archiwalnych, wreszcie warsztatowa nieudolność i ordynarne manipulacje faktami sprawiły, że zmęczeni – ale mający swój rozum – wyborcy gremialnie zagłosowali na obecnych włodarzy miast. Najbardziej spektakularna jest klęska w Łodzi, gdzie próbowano pogrążyć Zdanowską za błahe przewinienie – poręczenie kredytu dla życiowego partnera, co jest powszechną praktyką w kraju. Kto zdecydował o wszczęciu wobec niej kroków prawnych i kto odpowie za spowodowanie buntu łodzian przeciw tej akcji nienawiści wymierzonej w Zdanowską? [...]

Ryszard Baranowski, Częstochowa

Wstyd mi

Czy jest powód do radości dla Polski i Polaków, czy też powód do wielkiego zawodu z powodu straconej szansy? W Gdańsku wygrywa czołowy aferzysta PO, którego nawet nie popierała jego własna partia, bo się go wstydziła! [...] Jak można wybrać mecenasów geszeftów kamienicami w Warszawie? Jak można tak wybierać w Gdańsku i Łodzi? Wybrali, to będą ich mieć na kolejne lata, tak jakby mało było patologii przez 15 lat i dłużej ich działalności w III RP?

Co przeszkadza wyborcom dużych miast, że nie poszli za PiS? Czy przeszkadza w tych wyborach, że światowe agencje rankingowe doceniają Polskę jak nigdy dotąd? [...] Przeszkadza im, że polskie rodziny otrzymują w końcu „500+", „Mieszkanie Plus", bezpłatne leki dla seniorów, a dzieci wyprawkę do szkoły?! Przeszkadza również to, że odzyskujemy setki miliardów VAT od złodziei podatkowych, którzy przez osiem lat rządów PO-PSL cieszyli się bezprecedensowym eldorado. [...]

E.D.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **W. Rozbicki/REPORTER, M. Gaczyński/East News, Fotolia**
oprac. graf. JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 81 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl a980e6f3ab

SWISS MILITARY
HANOWA

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl a980e6f3ab

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Fasada i niemiłe realia

Forum polsko-niemieckie, w tym roku odbywające się po raz 19., to formuła spotkań ekspertów i polityków, którą ustanowił traktat o dobrym sąsiedztwie z 1991 r. Przez kolejne lata była to typowa impreza, na której zazwyczaj dominował klimat „kiczu pojednania" czy – jak to wolą inni – „epoki nudy" w relacjach Berlina z Warszawą. Ta nuda zaczęła znikać na forum bodaj XII, za pierwszych rządów PiS w latach 2005–2007. Niemieccy partnerzy nie kryli irytacji zwycięstwem PiS, ale uważali, że to chwilowa anomalia. Zwłaszcza że szybko do władzy wróciła Platforma i znów można było się „nudzić" w miłym, euroentuzjastycznym nastroju. W 2015 r. „kaczystowski koszmar" powrócił. I znów pojawił się problem, jak dostosować starą formę do nowych realiów.

Na niedawną edycję forum zostałem zaproszony, ale z powodów osobistych nie mogłem być. I nie żałuję. Finałowy koncert z udziałem głów państw Polski i RFN stał się bowiem smutnym widowiskiem. Andrzej Duda przybył do Berlina z chęcią podkreślenia, że obóz dobrej zmiany nie myśli o polexicie. Prezydent Steinmeier też zdawał się podkreślać raczej to, co łączy, a nie dzieli. Finałem miała być debata w Filharmonii Berlińskiej, w której – jak zapewniali niemieccy partnerzy urzędników prezydenta – miano skupić się na refleksji z okazji stulecia polskiej niepodległości. Nie skupiono się. Prowadząca prezydencki panel ze strony niemieckiej zaczęła grillować naszego prezydenta. Ten przypierany do muru bronił się, jak mógł. Raz lepiej – pytając: „Dlaczego, skoro w Unii jest tak cacy, doszło do brexitu?", raz gorzej – snując przypowieść o żarówkach jako symbolu unifikacyjnych zapędów UE, co dla niemieckiej widowni było herezją.

Bardziej poruszające było co innego – buczenie sali. Byłem na wielu spotkaniach w czasie wizyt prezydentów i kanclerzy z RFN, ale nigdy nie słyszałem o podobnym zachowaniu polskiej publiczności. Oczywiście część tych demonstracji to dzieło naszych rodaków, bojowych KOD-owców, ale nie byli oni sami. I nie samo buczenie było problemem. Co sądzić o sytuacji, gdy niemiecki dziennikarz z ponad 30-letnim stażem twierdzi, że w polskich mediach przemilczano wyrok TSUE – bo tak słyszała jego znajoma?

Raz zobaczyć to więcej, niż sto razy usłyszeć. Zazwyczaj bardzo stonowany dr Marcin Kędzierski, ekspert Klubu Jagiellońskiego, pod wpływem tego, co zobaczył w filharmonii, napisał relację z forum pod znamiennym tytułem: „Czego Wy, Niemcy, do cholery, chcecie?". Kędzierski pisze: „Jeśli Niemcom zależy na partnerstwie z Polską (a z wielu powodów powinno, o czym piszemy od dawna), powinni traktować nas jak partnera. [...] Tak, polski prezydent dał się ponieść emocjom i przekroczył granicę dobrego smaku. Nie powinien tego robić. [...] Chciałbym jednak spytać moich niemieckich przyjaciół: kochani Niemcy – o co Wam chodzi? Po co była ta »urodzinowa« szopka? [...] Niestety, za każdym razem, kiedy wracam z Niemiec, zadaję sobie pytanie, dlaczego nadal warto Was lubić. Hiszpanie, Grecy czy Włosi dawno przestali. Naprawdę chcecie mieć w Europie wszystkich przeciw sobie?".

Nic dodać, nic ująć. ©℗

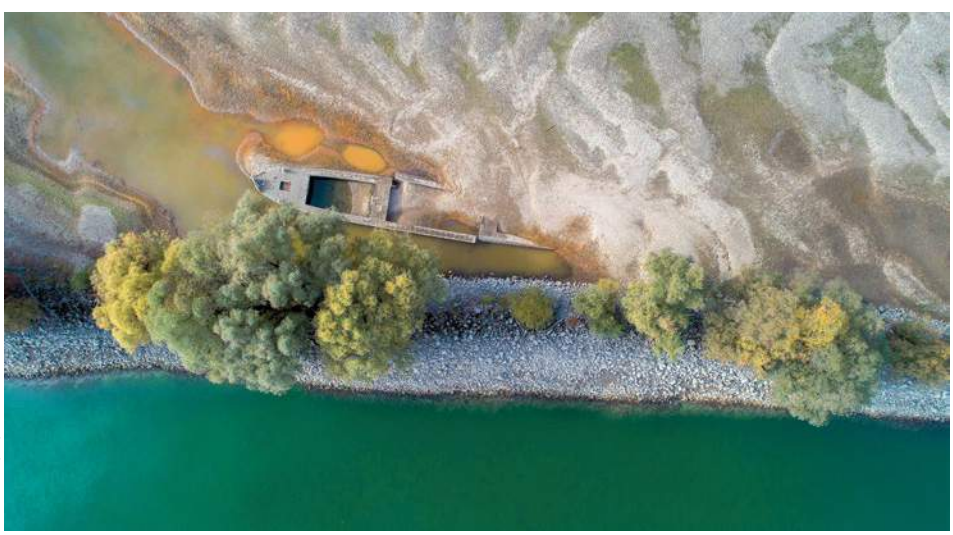

FOT. TAMÁS SZÖK/EPA/PAP

WYSCHNIĘTY DUNAJ ODSŁANIA SKARBY

Dwa tysiące złotych i srebrnych monet pochodzących z XVII i XVIII w., a także miecze, sztylety i kule armatnie znaleźli archeolodzy na zatopionym statku handlowym w pobliżu miejscowości Erd na południe od Budapesztu. Odkrycia udało się dokonać, ponieważ na Dunaju notowano w ostatnich dniach rekordowo niski stan wody. Dzięki temu archeolodzy odnaleźli w Dunaju również fragmenty mostu Franciszka Józefa w Budapeszcie, zniszczonego podczas II wojny światowej. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

Przetrwanie w nieludzkich czasach

O tych, którzy po 1945 r. nie podporządkowali się nowemu zaborcy, opowiada oparty na faktach film „Wyklęty", który będzie można kupić za tydzień z „Do Rzeczy"

Wyklęty" to film o brutalnych czasach, niedocenionych bohaterach targanych dylematami i sporze o historię. Akcja obrazu toczy się w latach 1945–1948. Losy głównego bohatera oparto na prawdziwej historii ostatniego żołnierza wyklętego, Józefa Franczaka ps. „Lalek" walczył w 1939 r., a po wojnie dołączył do zbrojnego podziemia niepodległościowego i brał udział w zamachach na „utrwalaczy władzy ludowej" – policjantów i żołnierzy formacji bezpieczeństwa.

– Poruszający w filmie jest wątek głównego bohatera, ukrywającego się w osamotnieniu, odzielonego od żony i syna. O wartości tej produkcji będzie przesądzał nie tylko rozmach batalistyczny, którego tu nie brakuje, lecz przede wszystkim historia człowieka wyrzuconego poza społeczny nawias tylko dlatego, że pozostał wierny sobie i wyznawanym przez siebie wartościom – mówi Marcin Kwaśny wcielający się w „Wyklętym" w rolę „Wiktora", założyciel fundacji „Między Słowami", która wyprodukowała film.

Za scenariusz i reżyserię odpowiada Konrad Łęcki.

– Przedstawiamy historię o naprawdę dramatycznych czasach, w których bohaterowie filmu, a zarazem rzeczywiste postacie, stawali przed niezwykle trudnymi wyborami. Ocena tamtych zdarzeń rzutuje także na funkcjonujące do dziś podziały w społeczeństwie. Starałem się nie oceniać decyzji bohaterów, ale w możliwie najbardziej bezpośredni sposób pokazać tragizm ich losów, a także poczucie totalnej izolacji i osamotnienia w sytuacji, w której się znajdowali – mówi Łęcki.

Prace nad filmem trwały od marca 2014 r. do maja 2016. W powstanie obrazu zaangażowanych było 80 zawodowych aktorów i kaskaderów oraz kilkuset statystów i członków grup rekonstrukcyjnych. ©℗

(raw)

Za tydzień „Do Rzeczy" z filmem fabularnym „Wyklęty"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a980e6f3ab

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lotem w PiS

Dziki strajk w Locie to kolejny przykład plemiennej hipokryzji polskiego życia publicznego. Ponieważ rozróba związkowców w sztandarowej spółce Skarbu Państwa godzi w rząd, zyskała ona w ciemno poparcie mediów i środowisk liberalnych, które na co dzień szermują „wolnym rynkiem", a za czasów PO-PSL przebierały nóżkami do zakazywania strajków, delegalizowania związków i – wzorem słynnej reakcji Wałęsy na ówczesne protesty górników – ich „pałowania". Do strajkujących pognali z pasterską wizytą była premier Kopacz i były minister Arłukowicz, których partia swego czasu chciała LOT sprzedać, i to „na słupa", czyli niejakiego Michała P. z Amber Gold. Można tylko mieć nadzieję, że demonstracyjne poparcie polityków PO odbierze protestowi sympatię społeczeństwa, tak jak niedawno stało się to z opiekunami niepełnosprawnych.

Firma „pilot" i firma „stewardesa"? – szydzą w mediach ludzie, którzy sami są jednoosobowymi firmami „dziennikarz"

Dla odmiany – argumenty liberalne podniosła zwykle czołobitna wobec związkowców PiS-owska strona debaty. A to dlatego, że „jej" związek, Solidarność, zachował się zdroworozsądkowo i stwierdził, że za strajk w świetle prawa, skądinąd przecież bardzo związkom sprzyjającego, nielegalny i niszczący firmę dyscyplinarne zwolnienie się jego organizatorom i uczestnikom należy. Atakowany za swą postawę szef Solidarności – która się z zarządem LOT ułożyła – powiedział otwarcie, że jego związek bronić ma swoich członków, a nie pracowników „w ogóle".

W tym wszystkim ginie meritum sprawy. To nie prezes LOT wymyślił prawo, które sprawia, że dla firmy korzystniejsze jest samozatrudnienie pracowników od trzymania ich na etatach. Firma „pilot" i firma „stewardesa"? – szydzą w mediach ludzie, którzy sami są jednoosobowymi firmami „dziennikarz" i którym nigdy nie przeszkadzało, że od lat, już np. w III RP, aktor nie jest w Polsce aktorem, tylko firmą „aktor", a reżyser… No, reżyser akurat przeważnie jest rolnikiem.

Korwin-Mikke powiedział kiedyś – nader słusznie – że jeśli przedsiębiorca produkuje traktory na kwadratowych kołach, to winien marnotrawstwa jest nie on, ale rząd, który stworzył przepisy sprawiające, że produkcja bubli się opłaca. Ta prosta oczywistość nie może się przebić do umysłów ludzi popierających chętnie każdą drakę, jeśli tylko uznają, że może ona zaszkodzić rządowi. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Żegnaj, Czerwona Zarazo

Nie ma dla polityka większej możliwości bycia wśród ludzi i dla ludzi, z potrzebującymi wsparcia w codziennych problemach, z liczącymi na konstruktywne pomysły, nie ma też lepszej weryfikacji tego, w jakim stopniu dla tychże ludzi jest się wiarygodnym, niż wybory samorządowe. W tymże sprawdzianie wyborcy wystawili polityczno-obyczajowej lewicy ocenę niedostateczną.

Partia Razem Adriana Zandberga w wyborach do sejmików wojewódzkich zyskała ok. 1,5 proc. poparcia. Czyli potrzeby socjalne wyborców, przynajmniej w warstwie deklaratywnej, zaspokaja PiS, a neomarksistowskimi pomysłami Razemków naród zainteresowany nie jest. I to jest dobra wiadomość.

Samorządowe wybory miały być też „nowym otwarciem" dla lewicy kawiorowej, czyli SLD. Kilkanaście dni przed pierwszą turą niektóre sondażownie i jeszcze głośniej mainstreamowe portale tokowały o wielkim powrocie ekipy Czarzastego, mającej w samorządówce zgarnąć nawet 10 proc. Taki wynik rzeczywiście dawałby postkomunistom dogodną pozycję startową przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi i czynił z nich potencjalnie atrakcyjnego koalicyjnego partnera. Wyszło tak, że nie wyszło – wynik SLD dysponującego w miarę silnymi strukturami terenowymi i budowanymi przez lata lokalnymi medialnymi układami, skończył się mniej więcej 6 proc.

Nowe „otwarcia" mają to do siebie, że są jednorazową szansą, wiele więc wskazuje, że Sojusz, który w eurowyborach także nie odegra większej roli, w parlamentarnym wyścigu w 2019 r. będzie miał ponownie problem z przekroczeniem progu wyborczego. Formuła eseldowsko-razemowskiej lewicy uległa wyczerpaniu. Bez żalu – da swidania, towarzysze. ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

PATRONAT DO RZECZY

Wystawa Andrzeja Krauzego

Od 29 października w siedzibie Fundacji Polska Wielki Projekt w Warszawie można oglądać wystawę „Drzewa. Rysunki i wycinanki Andrzeja Krauzego" znakomitego artysty i stałego współpracownika naszego tygodnika. Do 21 grudnia przy ul. Szpitalnej (5 lok. 18) w godz. 15–17 będzie można podziwiać wycinanki i rysunki z natury, przedstawiające drzewa z londyńskich Ogrodów Kensington oraz z Włoch.

Andrzej Krauze od kilkudziesięciu lat zajmuje się rysunkiem, ilustracją książkową i plakatem. Mieszka w Londynie od 1979 r., gdzie od 1989 r. jest jednym z głównych rysowników „Guardiana". Debiutował w latach 60. XX w. Publikował m.in. w: „Szpilkach", „Kulturze", „The Times", „The Independent on Sunday", „The Sunday Telegraph", „The Observer", „The Economist", „New Statesman", „The New York Times".

Od 2001 do 2016 r. zamieszczał swoje komentarze polityczne w „Rzeczpospolitej". Obecnie współpracuje m.in. z tygodnikami „Do Rzeczy", „Sieci", „Gościem Niedzielnym", londyńskim „Nowym Czasem", nowojorskim „The Scientist" i paryskim „Courrier International". ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl a980e6f3ab

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przypadek Zdanowskiej: skalpel czy cep?

Nie dziwię się, że sztab Hanny Zdanowskiej, która w Łodzi zmiażdżyła kandydata PiS w wyborach na prezydenta miasta, chciał wysłać Jackowi Sasinowi kwiaty. Dzięki jego wojowniczym pohukiwaniom o tym, że Zdanowska nie będzie mogła sprawować urzędu, nawet jeśli zostanie wybrana, prezydent Łodzi z pewnością zyskała co najmniej kilka punktów procentowych.

Prawo, wbrew twierdzeniom polityków PiS, nie jest tu jednoznaczne. Jeśli pojawia się kolizja przepisów, prowadząca do oczywistego absurdu – można kandydować, ale nie można sprawować urzędu – to należy uznać nie, że tak właśnie ma być, ale że w systemie jest błąd. W przeciwnym wypadku zaprzeczylibyśmy założeniu, że prawodawca jest racjonalny.

Jeśli kurs PiS będzie twardy, na wygaszenie mandatu Zdanowskiej, zdefiniuje to jedną z głównych osi konfliktu przed kolejnymi wyborami. To dla PiS korzystne, gdy chodzi o podgrzewanie nastrojów w twardym elektoracie, ale niekorzystne, gdy chodzi o przyczółki w większych miastach. Na ile te będą ważne, to kwestia decyzji strategicznej samego prezesa. Jednak całkowite zlekceważenie tego segmentu wyborców może być ryzykowne, zwłaszcza w wyborach do PE. Z drugiej strony partii Kaczyńskiego trudno byłoby wycofać się z twarzą z konfrontacji ze Zdanowską, bo padło już zbyt wiele stanowczych słów. Mandat Zdanowskiej jest naprawdę bardzo mocny, a wzburzenie łodzian, którym centralna władza będzie chciała narzucić wybór inny niż przez nich dokonany, byłoby autentyczne.

Ciekawym wyjściem byłoby więc sięgnięcie po brzmiący fantastycznie, ale wcale nie absurdalny pomysł, aby Zdanowską ułaskawił Andrzej Duda. Nie jest do tego potrzebny wniosek zainteresowanej. Zyskałby prezydent, podkreślając znów, że nie jest karnym wykonawcą polityki PiS. Uzasadnieniem ułaskawienia byłby potencjalny klincz prawny, na którym ucierpiałaby Łódź. Przestępstwo, za które została skazana Zdanowska, nie należy do najpoważniejszych, a poparcie, jakie uzyskała, jest przemożne. Prezydent w roli arbitra byłby tu idealny. Zyskałby PiS – mógłby rozłożyć ręce i stwierdzić, że z pokorą przyjmuje decyzję prezydenta, choć się z nią nie zgadza. Łódź zyskałaby stabilność, nawet jeśli do rządów Zdanowskiej można mieć ogromne zastrzeżenia. Straciłaby totalna opozycja, nie mogąc na przypadku Zdanowskiej budować narracji o gwałceniu przez władzę samorządności i lekceważeniu wyboru obywateli.

Czy obóz władzy rozegra tę sprawę skalpelem czy też pozostanie przy cepie? ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Chamstwo i polityka

Dzisiejszą rubrykę podzieliłem na dwie części. Jedna traktuje o chamstwie, druga o polityce. Albo odwrotnie, jak kto woli. Na początek oddajmy jednak głos Wojciechowi Sadurskiemu. „Czy to prawda, że Dawid Wildstein i Samuel Pereira prowadzą TVP Info? Czyli kapuś donoszący na kolegów studentów i certyfikowany świr kierują anteną informacyjną »telewizji publicznej«? Ale numer!" – zakrzyknął.

Nie wszyscy byli jednak zaskoczeni jego odkryciem, ale wielu zaciekawił język debaty. „Te chwile, gdy szanowany profesor renomowanego zagranicznego uniwersytetu i autorytet opozycji okazuje się zwykłym, wykluczonym cyfrowo dzbanem, niepotrafiącym korzystać z Google" – stwierdził np. Mateusz Parys.

Ponieważ podobnych komentarzy było więcej, profesor poczuł się wywołany do tablicy. „Bawi mnie bardzo to teatralne oburzenie, że wchodzę ostro w zwarcie polemiczne, chociaż jestem profesorem. Czyli oni mogą jeździć po nas jak po łysych kobyłach, bo wyrobili sobie licencje chamów, a my musimy cichutko, grzeczniutko, bo jesteśmy inteligentami. Niedoczekanie wasze!" – odrzekł. „Formalnie niezwykle symptomatyczny wpis o stanie inteligencji polskiej. Czy może jej części. Pan Profesor kompletnie nie wierzy w siłę, argumentację i kulturę inteligencji. Uważa, że chamstwo jest lepsze i skuteczniejsze" – odpowiedział mu Sławek Jastrzębowski.

Ponieważ wybory samorządowe za nami, na Twitterze przyszedł czas wylewania frustracji i rozliczeń. „Hej, oportuniści, karierowicze, miernoty i lokaje władzy z prokuratur, sądów, KRS, administracji i tzw. narodowych mediów. Zrozumieliście już, że PiS nie będzie rządzić 12 lat, jak chce PJK, a wasze podłości zostaną zapamiętane. Czas przestawić anteny" – pomyślał na głos Jarosław Kurski, gdy jeszcze sądził, że PiS zgarnie maksymalnie dwa sejmiki.

„Poznań, Łódź czy Legionowo utrwaliły dziś najgorszy stereotyp Polaka cwaniaka, złodzieja i kombinatora. Na szczęście Polska to nie tylko największe miasta. Wręcz przeciwnie!" – odrzekła Marzena Nykiel, gdy jeszcze sądziła, że PiS zgarnie góra dwa sejmiki. Niech to będzie lekcja, że na życie i politykę najlepiej patrzeć z dystansu. Tak jak zakład pogrzebowy A.S. Bytom, który podczas ciszy wyborczej zaapelował: „Wszyscy do urn!". ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. PAWEŁ GROMADA

WSZYSTKO ZA FREE

Ewa Chodakowska, ulubiona trenerka fitness Polek ostatnio jakby przestaje być ulubioną. Jej najbardziej zagorzałe fanki żalą się na Instagramie, że odkąd Ewa zaczęła odnosić sukcesy finansowe (własne produkty żywieniowe, własna linia ubrań plus ekskluzywne wyjazdy treningowe), bardzo się zmieniła i nie jest już taka fajna jak kiedyś. Chodakowska czytając te zarzuty, bardzo się rozgniewała. – Zarabiać pieniądze! Grzech ciężki – narzeka celebrytka w emocjonalnym wpisie.

– Tak! Zaczynałam jako trenerka dla wszystkich! Darmowe programy treningowe na YouTube, darmowe jadłospisy na Facebooku, płyty za grosze... Można ze mną ćwiczyć za free, korzystać z jadłospisów za free i osiągnąć sukces. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Za 29 zł masz 29 programów miesięcznie, wciąż jadłospisy na Facebooku na cały tydzień za darmo. Oooo, ale to nie wystarcza. Okazuje się, że moim obowiązkiem, zdaniem wielu, jest robienie wszystkiego za free. Roszczeniowość ludzi osiąga apogeum na każdym kroku – złości się Ewa. – Materiały do pracy nad ciałem, zmiana stylu życia są przeze mnie udostępniane, ale żeby karmić i ubierać też za free? Nie stać mnie na to. Babki, serio? Nie wstyd wam? – oburza się. Co istotne, oburza się i obraża innych wciąż całkiem za free. Czy ktoś to doceni?

GĄSKA NIE TAKA NATURALNA

Roxi Gąska stała się znana za sprawą swojego związku z aktorem Jackiem Rozenkiem, byłym mężem Małgorzaty Rozenek, czyli obecnej żony Radka Majdana. Roxi powoli wdraża się w showbiznes i zaczyna udzielać pierwszych wywiadów. Ostatnio zachęcała nawet na Instagramie do zadawania jej pytań, jak się okazało wiele z nich dotyczyło jej wyglądu. Roxana uznała więc, że to dobra okazja, by wytłumaczyć się ze swojej urody i tego, na ile jest naturalna. – Piersi nie są naturalne – wyznaje Roxi, a co do ust, to owszem były powiększane, ale jak podkreśla „dosyć dawno temu". Gąska stanowczo też dementuje „poprawianie noska". Kiedy wszystko stało się już jasne Roxi stwierdziła, że wygląd zewnętrzny nie ma dla niej większego znaczenia. – Ludzie często oceniają innych przez pryzmat wyglądu. Dla mnie to jest bardzo głupie – mówi. A biust i usta powiększyła dla uwydatnienia swojej bogatej duchowości. To przecież oczywiste!

FOT. PAWEŁ MAZUREK/STUDIO69/FORUM

JESTEM COACHEM

Aktorka Katarzyna Zielińska udzieliła wywiadu o tym, co jest dla niej w życiu ważne i jaką ma receptę na szczęście. – Cieszy mnie mnóstwo rzeczy, choć są i takie, które, delikatnie mówiąc, wkurzają. Jeśli mnie wkurzają, zastanawiam się, czy mogę zrobić coś, żeby je zmienić. Jeśli tak – zmieniam, jeśli nie – godzę się z tym i idę dalej swoją drogą. Nie chcę tracić energii na coś, co jest w pewnym sensie poza mną. Dla mnie szklanka jest zawsze do połowy pełna. I staram się o tym pamiętać i być wdzięczna Bogu – mówi Kasia. Potem mówi jeszcze coś o sile mikroświatów.

– Wierzę w siłę wielu mikroświatów. Zawalczmy o swój własny. Codziennie przypomnijmy sobie wieczorem pięć dobrych rzeczy, sytuacji, które nas spotkały i zasypiajmy szczęśliwi – apeluje. Nasz mikroświat właśnie eksplodował od nadmiaru tych celebryckich mądrości. I jak po czymś takim zasypiać szczęśliwym?

ISABEL MYŚLI

Niestety stało się to, czego obawialiśmy się od dawna. Sąd ostatecznie przypieczętował rozwód Kaza i Isabel Marcinkiewiczów. Nie tylko my zapewne żałujemy, że pasjonujący serial o przygodach Kaza i Izy dobiega końca. 25 października odbyła się ostatnia rozprawa. Isabel wywalczyła alimenty w wysokości 5 tys. zł miesięcznie, choć Kaz, jak donosi portal Pudelek, chciał jej płacić dużo mniej – od 500 zł do 1 tys. – Cieszę się, że sąd uznał alimenty, przez co okazał zrozumienie dla mojej sytuacji zdrowotnej, która zmniejszyła moje możliwości zarobkowe, które kiedyś były na wysokim poziomie – powiedziała Pudelkowi Isabel. – Będę mieć zaspokojone główne potrzeby, dach nad głową, a to pozwoli mi teraz myśleć o innych rzeczach – dodała. Bardzo jesteśmy ciekawi efektów „myślenia Isabel o innych rzeczach". Kaz powinien już zacząć się bać. ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, bążur!!! Wielkie ośrodki trzymają się mocno i stawiają odpór kaczofaszystowskiej dyktaturze!!!

W tej sytuacji zapraszamy wszystkich mieszkańców i sympatyków stolicy do wspólnego stawiania barykad, żeby oddzielić się od tych gorzej wykształconych z małych miast. Ale wcześniej ofc latte z croissantem. Kto wie, może rozda nam je sam Trzaskowski? :) Poza tym czas ogłosić AUTONOMIĘ Warszawy oraz żądamy eksterytorialnej pieszo-rowerowej autostrady do Otwocka, Piaseczna i Nadarzyna, iżby nasi frendzi z Mordoru mogli bez przeszkód dojeżdżać do korpo!!!

Tymczasem w naszym Krakowie w drugiej turze czeka nas oczywiste zadanie niedopuszczenia pisu do władzy, jednak w sumie to będziemy czuć się mało komfortowo, głosując przeciwko Małgorzacie Wassermann. No bo spójrzcie, jak to wygląda: mamy klasyczne starcie białego heteroseksualnego mężczyzny, profesora, reprezentującego środowisko naukowe, a więc z gruntu patriarchalne, a w dodatku noszącego brodę i piszącego książki o monarchizmie, z waginoosobą, która usiłuje przebić szklany sufit. Wiadomo, iż nie możemy poprzeć PiS, ale i na Majchrowskiego będzie trzeba zagłosować tak, żeby nikt nie widział.

Jaki żal, pisowi nie dość, że robi tyle hałasu wokół 100-lecia odzyskania niepodległości, to jeszcze przyznaje wolny poniedziałek, aby janusze mogli spokojnie wytrzeźwieć po weekendowym piciu taniego piwa i jedzeniu marnej jakości kiełbasy. Nikogo w tym kraju nie obchodzą nasze taski, premie i targety. W sumie dla naszego nowoczesnego patriotyzmu bardziej spójnym zachowaniem byłoby realizowanie planów sprzedażowych i sprzątanie po psie (gdy w końcu adoptujemy i przysposobimy jakiegoś osobopsa) oraz kasowanie biletu, a nie kolejny dzień wolny od pracy.

Już widzimy, jak to będzie wyglądało, jak będziemy rano wracać z klubowego melanżu, iżby odreagować w neutralnym ojczyźnianie środowisku te smęty 11 listopada, będziemy więc rankiem we mgle i w smogu kroczyć ulicami Krakowa, z ciążącą nad nami historią tego kraju i wawelskim wzgórzem, a wokół będą się wszędzie walać śpiewniki, nad głowami będą nam powiewać i łopotać flagi, a nad tym wszystkim będzie się unosił i szczerzył zęby duch polskiego patriotyzmu, dobrze wiedząc, iż nie wypełnimy norm sprzedażowych dla naszego pracodawcy z większościowym udziałem zachodniego kapitału. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA DO RZECZY
+ PAKIET 3 KSIĄŻEK HISTORYCZNYCH:

KS. P. GLAS „DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ"
T. TERLIKOWSKI „WENANTY KATARZYNIEC"
P. LISICKI „EPOKA ANTYCHRYSTA"
+ SŁUCHAWKI STARS

Cena: 139 zł
Oszczędność: 178 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl a980e6f3ab

Powitanie

Wojciech Wybranowski

Już za tydzień tygodnik „Do Rzeczy" uhonoruje statuetkami Strażnika Pamięci 2018 czołowe postacie życia publicznego, instytucje i organizacje, które w sposób szczególny dbają i propagują pamięć o dziejach państwa polskiego

To szczególne wyróżnienie wręczane osobom, które nie tylko słowem, lecz także czynem popularyzują polską historię, przyznamy już po raz szósty. – W tym roku nagroda Strażnika Pamięci, którą wręczymy osobom wybranym przez Kapitułę Konkursu, ma znaczenie szczególne ze względu na przypadającą właśnie setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę – mówi Piotr Gabryel, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy". I podkreśla: – Prawie wiek temu dzięki pracy i staraniom takich właśnie ludzi Polska odzyskała niepodległość, a teraz ją utrzymuje.

Dlaczego pamięć o naszej historii, jej propagowaniu, szczególnie dzisiaj jest taka ważna?

Jeden z naszych laureatów, Tadeusz Płużański, prezes fundacji „Łączka", przypomina słowa ks. kard. Stefana Wyszyńskiego o tym, że naród, który nie zna swojej historii, traci pamięć i przestaje być narodem.

– Pielęgnowanie naszej historii jest szczególnie ważne dziś, po strasznych latach komunizmu – latach, kiedy rzetelne badanie i promowanie naszej historii zostały zastąpione przez propagandę socjalistyczną, kiedy to oczerniano i niszczono bohaterów naszej historii, w tym żołnierzy wyklętych – mówi Płużański. Dodaje, że trzeba promować polskie zwycięstwa, wielkie bitwy z udziałem polskiego oręża, zwycięskie powstanie wielkopolskie i śląskie zrywy narodowe.

– Niestety, wciąż jeszcze pokutuje trend, by mówić i celebrować nieszczęścia i porażki – wskazuje Tadeusz Płużański. – O tym trzeba pamiętać, ale przypominanie o zwycięstwach, sukcesach, których w dziejach naszej ojczyzny było wiele, jest też budową dumy narodowej.

Na to zwraca też uwagę gen. Jan Podhorski, żołnierz AK i NSZ, powstaniec warszawski. Jego zdaniem trzeba włożyć wiele pracy w to, by odbudować w Polakach poczucie godności, dumy z naszych dziejów, z bohaterów narodowych.

– Narodem stłamszonym łatwiej rządzić i niestety taką socjotechnikę stosowali możnowładcy PRL III RP. Z wielkim zadowoleniem zauważam jednak, jak w młodym pokoleniu odradza się zainteresowanie naszą historią, zwłaszcza podziemiem niepodległościowym i antykomunistycznym, dziejami II Rzeczypospolitej. Młodzi wracają do ideałów swoich dziadów, szukają korzeni, tożsamości, chcą być dumni z kraju, w którym mieszkają, i z jego historii – mówi gen Podhorski, wieloletni więzień stalinowskich Wronek.

Obradująca na początku października kapituła wybrała w trzech kategoriach – „Twórca", „Instytucja" i „Mecenas"' – po pięć osób, które w wybitny sposób kładą podwaliny w odbudowę naszej dumy narodowej i zainteresowania tym, jaka Polska była dawniej.

Przypominamy naszych tegorocznych bohaterów. To spośród nich 6 listopada w każdej kategorii wybrany zostanie ten, który otrzyma główny laur.

W kategorii „Twórca", w której honorujemy osoby, które przyczyniły się do odnowienia polskiej pamięci:

– PROF. MAREK JAN CHODAKIEWICZ – historyk, publicysta, profesor ISW w Waszyngtonie, autor m.in. „Intermarium: the land between the Black and Baltic Seas";

– TADEUSZ PŁUŻAŃSKI – publicysta i dziennikarz, autor książek opisujących komunistyczne zbrodnie na Polakach;

– PROF. ROBERT FROST – historyk, autor „The Oxford History of Poland- Lithuania";

– DENIS DELIĆ – reżyser filmu „Dywizjon 303. Historia prawdziwa";

– STANISŁAW SROKOWSKI, pisarz, autor licznych powieści i opowiadań opisujących zbrodnie ukraińskie popełnione na Polakach na Wołyniu.

W kategorii „Instytucja", w której nagradzamy muzea, stowarzyszenia, fundacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy promujące i utrwalające polską historię:

– AMBASADOR JAKUB KUMOCH i zespół ambasady RP w Bernie – za działalność na rzecz upamiętnienia akcji ratowania Żydów podczas II wojny światowej, którą prowadzili polscy dyplomaci;

– ARKADIUSZ GOŁĘBIEWSKI – organizator Festiwalu Filmowego „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci";

Patronat honorowy

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

niepodległa POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Partner strategiczny

ORLEN

Sponsor

PGNiG

eprasa.pl a980e6f3ab

STRAŻNIK PAMIĘCI

z historią

– ZWIĄZEK PAMIĘCI OFIAR OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ – upamiętniający Polaków, zamordowanych w trakcie sowieckiej akcji wymierzonej w żołnierzy i działaczy podziemia niepodległościowego;

– CENTRUM HISTORII „ZAJEZDNIA" – miejsce nowoczesnych wystaw historycznych, projektów edukacyjnych i kulturalnych.

W kategorii „Mecenas", w której nagrodę przyznajemy podmiotowi publicznemu lub komercyjnemu, który w szczególny sposób materialnie wspiera dbałość o pamięć historyczną:

– PGE;

– WALDEMAR GUJSKI – adwokat, wykładowca;

– ART MEDIA – Galeria Delfiny;

– JAN BIAŁOSTOCKI – współtwórca Festiwalu Filmowego „Niepokorni Niezłomni Wyklęci";

Znaczenie nagrody Strażnik Pamięci przyznawanej przez nasz tygodnik podkreślał m.in. prezydent RP Andrzej Duda, który w 2016 r. w liście do uczestników konkursu napisał: „Nagroda Strażnik Pamięci uchodzi już za laur niezwykle prestiżowy. Jestem przekonany, że z upływem lat ów prestiż będzie się umacniał. Strażnik potrzebny jest tam, gdzie trzeba zapobiec możliwym stratom. Wiedza o przeszłości naszego państwa i narodu jest narażona na dwojakie niebezpieczeństwo: na zapomnienie lub zniekształcenie. A wcale nierzadko mamy do czynienia zarówno z tym pierwszym, jak i drugim zjawiskiem [...]. Dlatego też wysiłki strażników i popularyzatorów polskiej pamięci historycznej wpisują się w nurt czynnego patriotyzmu, wymiernej pracy na rzecz wspólnego dobra".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Partnerzy

Patronat medialny

Współorganizator

PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company
Poczta Polska
KGHM POLSKA MIEDŹ
Bank Pekao
PKP INTERCITY
TOTALIZATOR SPORTOWY
BGK
TVP

eprasa.pl a980e6f3ab

dwaj panowie g

Głupia sprawa z tymi rozliczeniami po wyborach. Tak, to prawda, że do Kaczora Dyktatora jako pierwszego wezwano Zbyszka Zizou Ziobrę, ale nie po to, żeby go zdekapitować. Masowe egzekucje nie było rozpatrywane także przez kolejne dni na zebraniach PiS-owskiej wierchuszki. Jak informują wiewiórki, najważniejszym tematem – wbrew pozorom – nie był wynik wyborczy PiS, ale kwestia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i jego zamachu na reformę sądownictwa. Trzeba będzie zjeść tę żabę, ale na razie nie wiadomo jak. Stąd Zbyszek, stąd wierchuszka, stąd długie narady.

Wiewiórki z Nowogrodzkiej opowiadają, że władze partii są niezwykle szczęśliwe. Nie chodzi o wynik, tylko o sam fakt zakończenia głównej fazy kampanii wyborczej. Gdyby jeszcze trochę potrwała, trzeba by było obiecać przemalowanie Księżyca na biało-czerwono, tak się festiwal rozpędzał. Kaczor Dyktator już na lokalnej konwencji w Poznaniu, kiedy premier Mateusz obiecywał wszystkim wszystko, pociągnął go za rękaw i rzekł: „Już tak nie obiecuj, bo nam pieniędzy nie starczy". True story.

Głupia sprawa z tą Warszawą. Prezydentem został Rafcio, który tak naprawdę zupełnie nie ma do tego serca, gdyż małże warszawskie bledną w porównaniu z brukselskimi, no i w Warszawie, w porównaniu ze Strasburgiem, bardzo mało ludzi czyta Morina po francusku. Na szczęście pojawił się już sprytny koncept w PeŁo, który pozwoli Rafciowi się nie przemęczać. Pomysł jest taki: robić w Warszawie niewiele, za to dużo mówić, że to wszystko przez faszystowski rząd, który nie chce Rafciowi, to znaczy warszawiakom, dawać pieniędzy.

Rafcio Trzaskowski prezydentem Warszawy, a Patryk Jaki do europarlamentu. Przecież kwalifikacje mają dokładnie odwrotne!

No i teraz pomyślcie, jaka perwersyjna ta polska polityka. Rafcio Trzaskowski prezydentem Warszawy, a Patryk Jaki do europarlamentu. Przecież kwalifikacje mają dokładnie odwrotne!

Peezel jest rozdarty. Część zielonych braci chce zawrzeć koalicję z czerwonymi braćmi i wrócić do historycznego szyldu SLD-PSL

Werdykt warszawiaków nas w sumie nie zdziwił. Każda epoka potrzebuje bowiem swojego Sławka Nowaka, a Rafcio nadaje się idealnie. No prawie. W porównaniu z Rafciem Sławek Nowak jest bowiem bardzo skromnym człowiekiem.

Wiewiórki warszawskie, takie prawdziwe, nieodurzone wątpliwym urokiem Rafcia, jego zastępcy Pawcia oraz Hanki Bufetowej, przyniosły nam ciekawą wiadomość ze stołecznego ratusza. Chodzi o tysiące wniosków o dopisanie do listy uprawnionych do głosowania, które nie zostały rozpatrzone. W ratuszu panowało paranoiczne podejrzenie, że masowo dopisują się faszyści, czyli zwolennicy Jakiego Patryka. W związku z tym starano się elektroniczne wnioski z systemu ePUAP ignorować. Faszyzm nie przejdzie i wniosek też.

Wracamy do pamiętnych momentów kampanii, które przejdą do historii. W niedzielę tydzień przed pierwszą turą kochany poseł Michał Szczerba pojawił się w Warszawie na Kole, w parafii św. Józefa, aby pod kościołem po mszy rozdawać ulotki kandydata PeŁo. Zdumieni wierni omijali go szerokim łukiem, choć bardzo się starał. Znacie to przysłowie: Szczerba w ornat się ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

My o rwaniu. Nie, nie chodzi o podnoszenie ciężarów. Czerwoni bracia z sejmiku województwa śląskiego rwą się strasznie, by rządzić w koalicji z PiS, ale wstrętny Włodek Czarzasty nie pozwala, więc zamiast rwania posad jest rwanie włosów z głowy. No i ta rozterka. Słuchać Włodka czy nie słuchać?

Wyjaśniamy sedno hamletowskiego dylematu czerwonych braci ze Śląska. Czy przez rok słuchać Włodka i dostać fajne miejsce na liście do Sejmu, do

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl a980e6f3ab

którego i tak się nie wejdzie? Czy może nie słuchać Włodka i na pięć lat zagwarantować sobie fajne fuchy w sejmiku?

Żegnamy Ślązakowców z RAŚ i ich konkurencyjnych rozłamowców. Mamy szczerą nadzieję, że już nigdy o was nie usłyszymy. Z drugiej strony trochę szkoda, będziemy mieć więcej roboty. Łatwo było demaskować jawną opcję niemiecką, teraz będziemy musieli więcej pisać o ukrytej opcji niemieckiej. Tak, wiecie, o którą partię nam chodzi.

Wracając do rwania. Się. Jeszcze PKW nie ogłosiła oficjalnych wyników, a już do PiS zaczęli rwać się rozmaici radni sejmików wojewódzkich, którzy odkryli, że kandydowali z listy niewłaściwej partii. Bo tak naprawdę chcą należeć do partii całkiem innej, to znaczy partii rządzącej. Czekamy na transfery. Źli ludzie opowiadają, że nawet szeregi Peezelu nie są wolne od zdrajców.

Apropos Peezelu. Jest rozdarty. Część zielonych braci chce zawrzeć koalicję z czerwonymi braćmi i wrócić do historycznego szyldu SLD-PSL, zwłaszcza że czerwoni są silni na zachodzie, a zieloni trochę jeszcze na wschodzie, i jakoś się to uzupełnia. Inni zieloni bracia marzą o bloku ludowo-konserwatywnym, to znaczy Peezel plus konserwatywne dzyndzelki w rodzaju Libickiego, Ujazdowskiego i innych antyfaszystowskich konserwatystów umiaru. Blok – to brzmi dumnie. Myślimy, że raczej bloczek. Coś jak duży klocek Lego.

Szczegóły są takie: czwórka obecnych europosłów Peezelu znów będzie jedynkami w swoich okręgach, a na inne jedynki zgłosi się rozmaite niby konserwatywne autorytety moralne spoza grona zielonych braci. Wygląda na to, że Misio Kamiński znów będzie miał okazję nie dostać się do europarlamentu.

Uwaga! Trzecią nogą bloku ludowo-pseudo-konserwatywnego mieliby być kukiści, zapewniający treść narodową i zgodną z polityką Peezelu, np. w sprawie Wołynia. Jest jeden problem. Nagabywani kukiści energicznie się opędzają od latających w powietrzu zielonych ofert współpracy.

Z cyklu „Ciekawe rozmowy z wiewiórkami". Wiewiórka: – Podobno ambasador w Berlinie Andrzej Przyłębski złożył wniosek, żeby mógł pełnić funkcję ambasadora zamiejscowo. Czyli de facto z Poznania. Panowie G. milczą i sprawdzają w MSZ, po czym odkrywają, że taki wniosek nie wpłynął. Wiewiórka: – Panowie, ale szukacie w niewłaściwym miejscu, wniosek poszedł na Nowogrodzką. (Kurtyna, koniec).

Z Ankary wraca właśnie Maciej Lang. I tu bez żartów – jeden z najlepszych polskich dyplomatów. W MSZ zostanie wiceministrem za Andrzeja Papierza, który jako dyrektor generalny służby zagranicznej ma teraz w swoich łapskach całą politykę kadrową. I nie zawaha się z tego narzędzia skorzystać. I to jest dobra wiadomość.

Zła wiadomość jest taka, że do Ankary ma jechać niejaki Cyryl Kozaczewski. Natknęliśmy się kiedyś na niego, gdy jeszcze zdychała komuna. Pełnił jakąś funkcję w komunistycznym Zrzeszeniu Studentów Polskich i z tego powodu trząsł Hybrydami. Potem poszedł w dyplomaty i nawet był ambasadorem w Japonii. Nie wiemy jednak, czy działalność w studenckiej przybudówce partii komunistycznej to odpowiednia kwalifikacja dla dobrej zmiany w dyplomacji. A właściwie wiemy. ©℗

REKLAMA

JAKICH TAJEMNIC STRZEGŁ ZAKON RYCERZY ŚWIĄTYNI?

34,95 zł

Przenieś się do czasów średniowiecznych wypraw krzyżowych, które miały na celu wyzwolenie Ziemi Świętej z rąk muzułmanów. Wraz z głównym bohaterem, Hugonem z Payens, weź udział w sławnych bitwach, walce o władzę i intrygach toczących się w Królestwie Jerozolimskim. Poznaj pilnie strzeżone tajemnice zakonu templariuszy, o którego potędze i bogactwach do dziś krążą legendy.

Szukaj na www.edycja.pl i w dobrych księgarniach
ŚWIĘTY PAWEŁ ksiegarnia@edycja.pl 605 313 543

eprasa.pl a980e6f3ab

Piotr Semka

Prawdziwa wojna zacznie się teraz

Wyniki wyborów samorządowych to remis ze wskazaniem na PiS, który nabrał mięśni i rozbudował swoją siłę w sejmikach. Co dalej?

Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. W wyborczy wieczór Grzegorzowi Schetynie łatwo było mówić o swojej wygranej. Triumf Rafała Trzaskowskiego w Warszawie był dla PiS bardzo gorzką pigułką. Zbytnio pospieszył się z kolei marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik, ogłaszając wyborczy triumf PSL i zapowiadając, że ludowcy będą współtworzyć koalicje w 15 województwach. Dominował slogan o „pyrrusowym zwycięstwie PiS" mimo tego, że w skali kraju zdobył on procentowo najwięcej głosów.

Przez kolejne dni powyborczego tygodnia nastroje zaczęły się odwracać. PiS wywalczył samodzielną większość w sześciu województwach, w jednym ma już zawiązaną koalicję z „bezpartyjnymi samorządowcami". Jarosława Kaczyńskiego musi cieszyć uzyskanie największej liczby głosów na Dolnym Śląsku – to przełamanie dogmatu, że PiS rządzi wschodem, a Platforma zachodem Polski.

Platforma (lub co znacznie mniej prawdopodobne PiS) będzie miała jeszcze chwilę triumfu 5 listopada, gdy rozstrzygną się boje w Krakowie, Gdańsku i paru mniejszych miastach. Jednak to już wszystko. Platforma utrzymała wielkie miasta, ale w sejmikach otrzymała gorszy wynik niż w 2014 r. PiS przegrał bój o metropolie, ale zwiększył liczbę wyborców o 444 020 (w wyborach do Sejmu 2015 r. na PiS oddano 5 267 667 głosów, w tym roku w głosowaniu do sejmików PiS otrzymał ich 5 711 687) i zdobył nieosiągalne dotąd województwa. Częściowo udało mu się pewne zepchnięcie PSL do narożnika. Bez władzy nad województwami świętokrzyskim, lubelskim, łódzkim, małopolskim i podlaskim partia Władysława Kosiniaka-Kamysza będzie o wiele słabsza i znacznie biedniejsza.

PiS w tych wyborach musiał spróbować wyrąbać sobie przestrzeń w dwóch kierunkach. Odwojować, ile się da, na wsi – co naturalne jest w przypadku partii o charakterze konserwatywnym – i jednocześnie

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

spróbować odbić duże miasta. To pierwsze w dużej części się udało. Na to drugie zadanie cieniem położyła się prestiżowa porażka Patryka Jakiego w Warszawie.

Oceniając wyniki PiS, zapomina się często, że w planach „antypisu" było poważne osłabienie rządzącej partii. Wymarzony „początek końca" Kaczyńskiego. Najszczerzej wyznała to Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej", która uznała sukces PiS. „Trzeba przyznać, że jest to wynik niezły, biorąc pod uwagę kilka ostatnich wydarzeń. Do tych zjawisk niezbyt sprzyjających partii rządzącej zaliczyłabym wysoką frekwencję na filmie »Kler«, pokazującym symbiozę klasy politycznej z hierarchią kościelną, taśmy z nagranymi prywatnymi rozmowami premiera Morawieckiego oraz w mniejszym stopniu kwestie związane z praworządnością i ze sporem z Unią Europejską". Opinię tę podzielił nestor antykaczyzmu Waldemar Kuczyński: „Wrażenie, że PiS został zatrzymany, okazało się mylne. To niestety ciąg dalszy".

KRÓTKA PRZERWA

Obie partie pozostały niespełnione. Ten stan w obu obozach natychmiast rozpala myślenie o dwóch przyszłorocznych wyborach: do Parlamentu Europejskiego i do Sejmu. Tak naprawdę będzie to jedna długa kampania.

Popatrzmy na wyborczy kalendarz. Kampania do europarlamentu zacznie się około lutego i potrwa do wyborów, najprawdopodobniej 26 maja 2019 r. Potem trzy wakacyjne miesiące – czerwiec, lipiec, sierpień – i później zostaje ok. półtora miesiąca na kampanię sejmową przed ponowną elekcją w październiku 2019 r. Czasu jest więc i dużo, i mało.

Ten układ wyborczy budzi nadzieje Koalicji Obywatelskiej, która chce uzyskać efekt kuli śniegowej. Eurowybory są dla niej wygodniejsze niż samorządowe. Tradycyjnie bardziej mobilizują elektorat wielkomiejski. Schetyna, Lubnauer i Nowicka będą pozowali w nich na gwarantów pozostania Polski w Unii, a PiS pozostawią rolę faktycznych zwolenników polexitu.

Platforma ma jeszcze jeden atut w tej grze. Może liczyć na pomoc ze strony takich postaci jak Frans Timmermans. Casus z ogłoszeniem wyroku TSUE tuż przed wyborami samorządowymi każe spodziewać się pełnej inwencji gry „obrońców europejskiego ładu".

Siłą rzeczy więcej niełatwych dylematów przed kolejnym pojedynkiem ma Jarosław Kaczyński. Na jakie pytania musi sobie teraz odpowiedzieć PiS?

ZMIANY W WYBORCZYM BIEGU

1. Kto będzie twarzą wyborczego maratonu? Można zaryzykować twierdzenie, że Nowogrodzka nie ma zbytniego wyboru. Musi być to ponownie Mateusz Morawiecki. Wybory samorządowe były dla PiS relatywnym sukcesem, który premier wywalczył setkami spotkań w całej Polsce. Na korzyść szefa rządu działa też zasada: „Nie zmienia się koni w czasie przeprawy przez rzekę". Tyle że jeśli znów ma być sukces, to nie może to już być jego wcielenie z ostatniej kampanii, czyli złotoustego uwodziciela z wieców w Dębicy czy Sandomierzu, który niczym Święty Mikołaj jeździ po kraju i opowiada, jakie prezenty rząd ma dla każdego zakątka Polski.

Kampania europejska będzie wymagała Morawieckiego w stroju bywalca europejskiej polityki z wizją i kogoś, kto przekona wielkomiejski elektorat. Kogoś, kto skutecznie zneutralizuje oskarżenie PiS o plany polexitu, a jednocześnie będzie umiał opowiedzieć o innym od PO pomyśle na aktywność Polski w Unii. To niełatwe zadanie, ale Morawiecki już wykazał, że potrafi szybko się zmieniać, tak jak Zelig, a jeszcze szybciej umie się uczyć.

2. Jak PiS chce choć trochę odwojować miasta? Elektorat – jak się okazało w czasie ostatnich wyborów – znalazł sposób na skuteczną emocjonalnie mobilizację wyborców wielkomiejskich.

Entuzjazm w sztabach KO w Łodzi czy Warszawie wynikał z faktu powtórzenia wspominanego w Platformie z łezką „efektu wyborów 2007". Sytuacji, gdy kolejki młodych ludzi przed lokalami wyborczymi w dużych miastach zadecydowały o porażce PiS. Jak słusznie wskazuje Rafał Matyja – powtórka takiej mobilizacji w przyszłych eurowyborach da opozycji więcej głosów niż w obecnych wyborach samorządowych. Także Robert Biedroń – o którym pisać będę w dalszej części tekstu – chce dotrzeć do takich jak ci, którzy głosowali na Trzaskowskiego, i powtórzyć „efekt Macrona". Przeprowadzić efektowną i emocjonalną kampanię, mobilizującą młody elektorat pod chwytliwymi hasłami.

To dla PiS spore wyzwanie. „Nowy Morawiecki" musi nauczyć się nowego języka, innego niż ten paternalistyczny ton,

eprasa.pl a980e6f3ab

którym uwodził miasteczka. Zderzy się z elektoratem wielkomiejskim, mającym światowe aspiracje. Czekającym nie na ryby, ale na własną wędkę. Chcącym rozmowy partnerskiej, a nie słuchania oracji.

Nadzieje PiS na wierny elektorat kierowany wdzięcznością za świadczenia typu „500+" sprawdził się tylko częściowo. Być może z niego rekrutowała się 800-tysięczna nadwyżka głosów, którą rządząca partia otrzymała w porównaniu z wyborami 2015 r., ale to zapewne mniej, niż przy Nowogrodzkiej oczekiwano.

Mści się zaniechanie. Nie zbudowano na czas wzorem Viktora Orbána własnej klasy średniej. Zbyt wiele uwagi skierowano na elektorat socjalny kosztem przedsiębiorców, wolnych zawodów i młodzieży. Chociaż akurat w tej ostatniej grupie niedawne wybory pokazały dość wysoki procent głosów oddanych na PiS.

3. Niełatwy wybór: teraz ostrzej czy łagodniej? Wyrazista rola, którą odegrały w negatywnej kampanii antypisowskiej Onet z „taśmami premiera" czy tabloid „Fakt", rozpaliła po wyborach dyskusję w obozie dobrej zmiany, czy bez repolonizacji mediów da się skutecznie rywalizować z opozycją. Przyszłoroczny dwubój wyborczy będzie areną jeszcze mocniejszych „wrzutek". Tyle że PiS nie ma łatwego wyboru. Regulacje ograniczające obcy kapitał w polskich mediach oznaczają kolejną wojnę z Unią. Już teraz obóz władzy musi znaleźć odpowiedź na werdykt TSUE. To sytuacja nie do pozazdroszczenia. Gdy PiS będzie uległy – opozycja ogłosi, że to zwiastun końca rządów „oportunistów, karierowiczów, miernot i lokajów władzy", by użyć frazy jednego z publicystów „Wyborczej". Jeśli będzie zdecydowany i pryncypialny, to opozycja ogłaszać będzie „rządy bezprawia nad Wisłą".

PiS musi w tej sytuacji prowadzić politykę elastyczną, choć będzie to niełatwe. Zapewne nie obejdzie się bez głosu prezesa Kaczyńskiego, który będzie musiał autoryzować swoim autorytetem niezbędne szpagaty.

Pewne jest co innego – z dotychczasowym stylem informacyjnym TVP PiS nie dotrze do dużej części mieszkańców wielkich miast. Wiele razy pisałem, że zamienianie „Wiadomości" w monitor rządowy zakończy się fatalnie. Teraz, gdy w kolejnych wyborach waga elektoratu wielkich miast wzrośnie, te uwagi jeszcze nabierają znaczenia.

Znane jest dziś powiedzenie, że TVP jest robiona przede wszystkim dla widza numer jeden z ulicy Nowogrodzkiej. To niech teraz ten widz zrozumie, że jeśli zmian nie będzie, to o sukcesach w miastach jego partia może zapomnieć.

4. Kogo PiS wystawi na listach? Nieodległe są czasy, gdy wysyłka do Brukseli była premią prezesa za partyjne zasługi lub na odwrót – zesłaniem. Dzisiaj PiS nie stać na słabych kandydatów do europarlamentu. Udane debiuty Jakiego i Płażyńskiego powinny otworzyć listy na pokolenie 40+.

Rządząca partia ma wybór: stawiać na ludzi znających Europę i świat, władających językami i niemających kompleksów wobec „Europejczyków" z opozycji albo lansować zasłużony aktyw. Takie postacie jak niegdysiejszy minister Krzysztof Jurgiel czy jowialni europosłowie w stylu Stanisława Ożoga mogą nie ostać się tym razem w ogniu krytyki opozycji.

Kaczyński powinien sięgać po ludzi spoza aparatu partyjnego – osobowości z samodzielnym autorytetem na styku prawicy z centrum. To wymaga odwagi, ale może przynieść efekty. Przeciw takiej otwartości może działać bolesne wspomnienie o wystawieniu politologa z Katowic, Marka Migalskiego, wyraźnej pomyłki kadrowej. Jednak bez odświeżenia i odmłodzenia talii twarzy w wyborach 2019 r. PiS nie może liczyć na dobry wynik.

5. Czy znów ktoś straci nerwy? Kierowanie kampanią dużej partii to przy obecnej ostrości wojny politycznej w Polsce umiejętność porównywalna z lądowaniem jumbo jetem w śnieżycy na niewielkim lotnisku. Wypuszczenie klipu o migrantach zadziałało na elektorat liberalno-lewicowy jak płachta na byka. Istnieje w PiS jakieś fatum ostatniego tygodnia kampanii, zaczyna się wówczas robić nerwowo. Zapadają sprzeczne decyzje. Jeśli się to nie zmieni, to o wygranej w przyszłym roku rządząca partia może zapomnieć.

Schetyna ma się kogo obawiać. A kolejnych chętnych do Koalicji Obywatelskiej już nie ma

BÓLE GŁOWY SCHETYNY

Skoro tyle uwagi poświęciłem PiS, to teraz parę słów o chmurach i chmurkach na platformerskim niebie. Grzegorz Schetyna ma niewiele czasu, by podjąć decyzję, jak podejść do Roberta Biedronia i jego ruchu. Próbować go kupić czy konsekwentnie zwalczać? Bo to formacja byłego prezydenta Słupska może najwięcej zabrać właśnie PO.

Ostatnie wybory pokazały, że formuła Koalicji Obywatelskiej nie jest gwarancją sukcesu. Słaby wynik SLD i wręcz katastrofalne notowania Partii Razem (1,5 proc.) przekonają Biedronia do tego, że jest miejsce dla jego partii i samodzielnego startu. Znów na lewicy wygląda się go jak mesjasza. Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej", już po ostatnich wyborach, pisze: „Wreszcie, potrzebny jest ktoś, kto da temu projektowi [lewicy – przyp. P.S.] twarz. Kto zalegitymizuje go jako efektywny lider. Jedyną taką osobą wydaje się obecnie Robert Biedroń. To on ma za sobą świeżość, energię. Nie obciąża go demoralizująca klęska – popierana przez Biedronia kandydatka na prezydentkę Słupska, Krystyna Danilecka-Wojewódzka, najpewniej wygrała już w pierwszej turze".

Jeśli ktoś może osłabić te nadzieje, to tylko sam Biedroń, robiąc jakieś kiksy. Jednak na razie Schetyna ma się kogo obawiać. A kolejnych chętnych do Koalicji Obywatelskiej już nie ma. PSL chce iść samo. SLD tradycyjnie nie cierpi Platformy. Być może Barbara Nowacka to ostatni nabytek Schetyny.

Co jeszcze? Pozostaje jeszcze łut szczęścia. Opozycja musi modlić się, by nie wydarzyła się w czasie przyszłych kampanii jakaś kryzysowa sytuacja, którą premier Morawiecki skutecznie rozwiąże, przypominając wyborcom, że w kwestiach poczucia bezpieczeństwa państwa PiS bywał jak dotąd lepszy niż PO. Z kolei Morawiecki musi się modlić, by nie dopadła go jakaś dekoniunktura światowa, która ugodzi w jego świadczenia socjalne.

Opozycja wie, że jeżeli PiS wygra kolejną kadencję, to jej pozycja materialna i kadrowa może zacząć się kruszyć. W przyszłorocznych wyborach oni i ich sojusznicy z Zachodu będą walczyć o wszystko.

Prawdziwa wojna dopiero się rozpoczyna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

POSUBOTNIK

Rafał A. Ziemkiewicz

Po wyborach – wybory

Jesienią przyszłego roku skala histerii i mobilizacji obu politycznych plemion pobije dotychczasowe, już i tak wyśrubowane, rekordy

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Wyświechtany frazes „Wybory to święto demokracji" w III Rzeczypospolitej brzmi jak ponury dowcip. U nas każde wybory to raczej jej kompromitacja, zawał i katastrofa żywiołowa. W czasach sieci komputerowej, smartfonów, telekonferencji i komputerów, które moc obliczeniową mózgu elektronowego NASA z czasów lądowania na Księżycu mieszczą w ręcznym zegarku, w Polsce mamy jak za referendum Bieruta leśnych dziadków w zarękawkach, ślęczących przez wiele dni w stosach kartek i śliniących ich brzegi przy mozolnym przeliczaniu. Nie marzę o tym, by jak w Kanadzie i USA oficjalne wyniki wyborów podawano w dziesięć minut po zamknięciu lokali wyborczych (w pełni skomputeryzowany system podlicza je w ułamku sekundy, te dziesięć minut potrzebne jest tylko na dopełnienie formalności), ale standard krajów bałkańskich, czyli wyniki następnego dnia rano, leży chyba w naszym cywilizacyjnym zasięgu?

„Wyjątkowo wysoka", czyli zaledwie nieco ponad 50-procentowa frekwencja, ledwie pomieściła się w lokalach wyborczych, do głosowania trzeba było stać w długich kolejkach, obywatele zakreślali krzyżyki stłoczeni przy parapetach, rozkładając w zamieszaniu wyborcze płachty na szafkach czy zgoła na ścianach. Nie obyło się bez „cudów", choć szczęśliwie nie na taką skalę jak cztery lata temu – w kilku warszawskich komisjach wykazano frekwencję 100 proc., niemożliwą przecież w praktyce do osiągnięcia (poza może zamkniętymi obwodami w aresztach i więzieniach – gdzie, nawiasem mówiąc, PO utrzymała swą tradycyjną supremację), w niektórych, wedle oficjalnie zgłoszonych protokołów, wyjmowano z urn więcej kart niż ich wydano wyborcom.

Co będzie, jeśli w wyborach sejmowych (europejskie aż takich emocji nie

eprasa.pl a980e6f3ab

generują, choć i tu, wobec stale podkręcanych emocji wojny domowej, należy się spodziewać rekordowego zainteresowania) zagłosować zechce jeszcze więcej uprawnionych, jeśli frekwencja sięgnie 70, 80 proc. – co przecież w krajach zachodniej Europy nie jest niczym szczególnym? Co będzie, jeśli powtórzą się i wtedy chaos, opóźnienia, cudowne rozmnażanie głosów, niewiarygodne różnice w liczbie kart wydanych i policzonych bądź ważnych i uznanych za nieważne, połączone na dodatek ze znanymi z 2014 r. rażącymi skokami frekwencji pomiędzy sąsiadującymi „o miedzę" komisjami wyborczymi?

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by wyobrazić sobie możliwe skutki. Skala mobilizacji i histerii obu politycznych plemion, dla których starcie przyszłorocznej jesieni będzie „bojem ostatnim" o wszystko, pobije przecież zapewne dotychczasowe i tak już wyśrubowane rekordy. A Sąd Najwyższy, jakkolwiek potoczy się dalszy ciąg toczonej o niego walki, autorytet w społeczeństwie już stracił i do przyszłego roku raczej go nie odzyska. Jego werdykt, formalnie ostateczny, będzie tylko albo zemstą „kasty", niekryjącej już swego politycznego zaangażowania po stronie PO, albo tylko „świstkiem wyprodukowanym przez PiS-owskich nominatów". Pół biedy, jeśli do czasów tego starcia któraś ze stron osiągnie wyraźną przewagę. Jeśli jednak ostatecznie o władzy rozstrzygać będzie kilkaset głosów z jakiegoś prowincjonalnego obwodu, pracującego z wątpliwą rzetelnością?

Pod tym względem – reformy chorego systemu wyborczego – ostatnie trzy lata zmarnowano. Przezroczyste urny i parę drobnych dodatkowych regulacji nie zmieniają faktu, że PKW i podległa jej infrastruktura tkwi głęboko w latach PRL, w czasach, gdy nikt nie wymagał od niej sprawności, bo głosowanie i tak było tylko picem. Coraz realniejsze wydaje się, że w pewnym momencie zaniedbanie to przyczyni się do przejścia polsko-polskiej wojny domowej z fazy zimnej w gorącą.

KTO WYGRAŁ? KTO PRZEGRAŁ?

Na archaiczny system liczenia głosów nałożyła się pauperyzacja mediów elektronicznych, zmuszająca wszystkie telewizje do korzystania z tego samego „exit poll". Cała komentatorska maszyna przez kilka dni pracowała na bardzo przybliżonych danych, wytwarzając w wyborcach poczucie chaosu i zagubienia. To kto w końcu te wybory wygrał? – ma prawo zapytać przeciętny Polak, bombardowany z obu stron triumfalnymi pohukiwaniami.

Można powiedzieć, że pierwsze, decydujące dla urobienia powszechnej opinii dni mozolnego zliczania protokołów sprawiły, iż PiS przegrał medialnie swą wygraną. Sukces PO (nazywanie jej zjednoczoną opozycją, Koalicją Obywatelską stanowi takie samo zaklinanie rzeczywistości jak nazywanie PiS Zjednoczoną Prawicą) w Warszawie i innych miastach przykrył to, o czym osoby znające się na polityce wiedzą, że było najważniejsze – bój o sejmiki wojewódzkie, tym bardziej że jego rozstrzygnięcie ślimaczyło się niemiłosiernie.

Kolejka do lokalu wyborczego na warszawskim Powiślu

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Warszawa zaszkodziła PiS nie tylko prestiżowo – do czego zresztą władza sama się przyczyniła, ustawiając kampanię Jakiego i związane z nią nadzieje w centrum uwagi także swojego żelaznego elektoratu. Niby politycy, z samym prezesem Kaczyńskim na czele, podkreślali, że decydująca jest walka o „teren" – ale sprzyjające im media skupiały się na krzewieniu nadziei, że wobec postawienia przez PO na kandydata tak nieporadnego jak Rafał Trzaskowski może się zdarzyć „wielki fuks" i przejęcie tradycyjnie wrogiej prawicy i tradycjonalistom stolicy.

Dzisiaj widać, że – paradoksalnie – dynamiczna i skuteczna (ponad 200 tys. głosów w Warszawie to przecież i tak dla PiS rekord) kampania Patryka Jakiego przysporzyła PiS więcej szkody niż pożytku, choć oczywiście jego samego trudno winić za to, że wyznaczone mu niewykonalne zadanie starał się wypełnić z bezprzykładną energią i walecznością. Możliwe, że gdyby PiS postawił na przykład na Jacka Sasina albo luźno związanego z obozem konserwatywnym bezpartyjnego, takiego jak swego czasu Czesław Bielecki, i zadowolił senną, standardową kampanią przekonywania przekonanych, nie udałoby się opozycji i jej mediom doprowadzić w stolicy do tak silnej antypisowskiej mobilizacji i nie pojawiłoby się przy urnach tylu wyborców powodowanych strachem przed polexitem.

Ci zaś nie tylko dali PO dalszą władzę nad miastem, na którą PiS i tak nie mógł liczyć – skoro już przyszli, zakreślili kandydata PO także w głosowaniu do sejmiku mazowieckiego, przesądzając o utracie przez władzę jednego mandatu, tego właśnie, który dawałby PiS samodzielną większość. To jednak tylko spekulacja – możliwe, że przesądziła tu nie aktywność Jakiego i jego starania o zaktywizowanie biernych zwykle wyborców z blokowisk, które pociągnęło za sobą kontrreakcje „lemingradu", ale jawne i niemające precedensu włączenie się w polskie wybory organów Unii Europejskiej. Trudno doprawdy wierzyć, że TSUE czystym przypadkiem ostatniego dnia przed wyborami odpalił – również bezprecedensowe,

eprasa.pl a980e6f3ab

„zabezpieczenie" pozwu Komisji Europejskiej, tak doskonale pasujące do kampanii prowadzonej przez PO, jakby wręcz całą ją pod ten właśnie ruch europejskiego trybunału skrojono.

Tak czy inaczej, samodzielna większość w „struzikowie", głównym źródle sił PSL, jakim jest Mazowsze, przetrąciłaby tej partii kręgosłup na dobre. Brak tego jednego mandatu skazuje PiS na szukanie koalicji, która – jeśli nawet się uda – będzie chwiejna, gdyż koalicjant zawsze może odwrócić sojusze. Zawsze też, teoretycznie, wybrany do sejmiku delegat może zmienić partyjną przynależność. I choć nikt tego głośno nie mówi, w PiS istnieje silne przekonanie, że tak się będzie z kolejnymi peeselowcami dziać – albo też, że obawa, iż tracący latyfundia działacze „z terenu" będą skłonni dla ratunku zmieniać partyjne barwy, skruszy deklarowaną przez władze stronnictwa lojalność wobec PO i skłoni do wycofania się z buńczucznych, a dla terenu niezbyt zrozumiałych zapowiedzi, że „z wrogami demokracji żadnych układów być nie może". Pamiętajmy jednak, że wyciągania „pierekińczyków" (to staropolskie słowo, znane z „Literatury konfederacji barskiej", a wzięte od rosyjskiego „pierekinutsia" robi karierę) próbował już PiS w roku 2007 wobec rozpadających się Samoobrony i LPR. I przyniosło mu to więcej szkody niż pożytku. Poza tym ten mechanizm działać może w obie strony – choć oczywiście PSL, który w pierwszych dniach po wyborach, gdy zamiast wyników podstawą politycznych podsumowań był sondaż „exit polls", wydawał się triumfatorem wyborów, w istocie znalazł się w śmiertelnym kryzysie. Ta bezideowa maszyna do zatrudniania, załatwiania i świadczenia wzajemnych usług nie może istnieć inaczej niż jako element władzy. W sytuacji, gdy PiS ma samodzielną większość w sześciu tradycyjnie peeselowskich województwach, może tam dokonać prawdziwej rzezi partyjnego aparatu, której nie zrekompensują możliwe zyski w województwach dzielonych z PO. Z kolei odwrócenie sojuszy i związanie się z PiS dawałoby szanse na wielkie łupy w aż dziesięciu, a może – przy dodaniu „bezpartyjnych samorządowców" – dwunastu sejmikach. Dotychczasowe trwanie w upartym „żadnych układów", powiedzmy sobie szczerze, nie wynika z przywiązania „peezelu" do rzekomo łamanej konstytucji, ale ze strachu przed bezwzględnością, jaką Jarosław Kaczyński wykazał się wobec swoich wspomnianych przed chwilą koalicjantów z lat 2005–2007, i podzieleniem ich losu. Problem w tym, że słaby wynik wyborów (przy okazji pokazujący, jak wiele było słuszności w „odmętach szaleństwa", jak nazwał Bronisław Komorowski oskarżenie o fałszerstwa w 2014 r.) i poważne osłabienie w terenie sprawiają, iż analogiczna marginalizacja czeka PSL, jeśli dalej będzie wiązać swój los z nadzieją na powrót do władzy PO. Ludowcy mają więc poważnie nad czym myśleć.

WALEC POLARYZACJI

Aby jakoś podtrzymać legendę o „klęsce pisizmu", media sympatyzujące z opozycją ukuły legendę, że PiS liczył na znacznie więcej – na ponad 40 proc. głosów w skali kraju (nikt nigdy tyle w wyborach samorządowych nie miał – uzyskany przez PiS wynik to i tak historyczny rekord) i na zdobycie co najmniej kilku dużych miast. Nie znalazłem nigdzie takich zapowiedzi, choć oczywiście nie można wykluczyć, że ten czy ów polityk w prywatnych rozmowach dał wyraz podobnym marzeniom. Sam Jarosław Kaczyński w oficjalnych wypowiedziach zakreślił jednak cel w tych wyborach realistycznie, mówiąc, że maksymalny możliwy sukces stanowić będzie zdobycie władzy w ośmiu sejmikach. Sześć województw „niewyjętych", z samodzielną większością, i możliwość dołączenia do nich jeszcze kilku rządzonych w koalicji to spełnienie wyznaczonych planów z nawiązką.

Pytanie, czy w PiS nie nastąpi teraz, by użyć określenia Stalina, „zawrót głowy od sukcesów". Bo sukces w terenie to jedno, a słabe wyniki w miastach – to jednak problem i zdecydowanie nie mają racji ci działacze, którzy starają się wmówić sobie samym i partyjnym towarzyszom, że „w wielkich miastach żyje tylko 15 proc. wyborców", więc można się nimi nie przejmować.

Chociaż PiS znacząco zwiększył swój stan posiadania i choć „totalna opozycja" jest w odwrocie – wchłonięcie Nowoczesnej nie dało jej żadnej premii, a względnie przyzwoity wynik zawdzięcza głównie skonsumowaniu wszystkiego, co było na lewo od niej (widać to nie tylko w Warszawie), a więc odsunięciu się od centrum ku lewej ścianie, co sprzyja utracie niezdecydowanych wyborców, oddalając perspektywę powrotu do władzy – to sytuacja w miastach jest jednak dla PiS problemem.

Mszczą się niefrasobliwość i nieroztropność, z którymi Prawo i Sprawiedliwość rzuciło się na wymiar sprawiedliwości

Mszczą się niefrasobliwość i nieroztropność, z którymi PiS rzucił się na wymiar sprawiedliwości – mając wiele do ugrania, może jednak nie należało szarżować z przerywaniem kadencji prezes SN? – wychodzi bokiem konflikt z Komisją Europejską i, generalnie, skupienie na żelaznym elektoracie kosztem umiarkowanych wyborców, których pozyskanie przez Andrzeja Dudę i Beatę Szydło w 2015 r. było kluczem do zdobycia władzy.

Jak zwykle ścierają się teraz w PiS dwie rozbieżne interpretacje. Jedni mówią – wybory potwierdziły naszą generalnie słuszną linię, a jeżeli popełniliśmy jakiś błąd, to właśnie byliśmy za mało radykalni, trzeba „pocisnąć" jeszcze mocniej, bo przez „cackanie się" z „kastą" sędziowską, miękkość wobec Unii i wpuszczanie imigrantów nasz żelazny elektorat i tak zaczyna być rozczarowany, a zawieść go w żadnym wypadku nie możemy. Drudzy, przeciwnie, uważają, że obecny sukces wyznaczył pułap możliwości PiS radykalnego i w kolejnych wyborach trwającego „czteroskoku" trzeba wrócić do strategii pozyskiwania wyborców umiarkowanych. Skapitulować częściowo przed Unią w sprawie sądów, jak w sprawie nieszczęsnej nowelizacji ustawy o IPN, odejść od twardej retoryki i szukać drogi do serc wyborców wielkomiejskich.

Obie strony formułują oczywiście wnioski personalne. I wydaje się, że w nadchodzących tygodniach Komendant będzie musiał podjąć strategiczną decyzję. A może – już ją podjął, tylko nie znamy jeszcze jej personalnych konsekwencji? Tak czy owak, od tego wyboru zależy przyszłość i obecnej władzy, i Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

Z prof. Antonim Dudkiem, politologiem
rozmawia Maciej Pieczyński

Jaki przegrał Warszawę nie z własnej winy

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kto wygrał wybory samorządowe? Z mediów publicznych można się dowiedzieć, że PiS; z mediów antypisowskich – że Koalicja Obywatelska zrobiła pierwszy krok ku władzy.

PROF. ANTONI DUDEK: Specyfika wyborów samorządowych polega na tym właśnie, że ich wyniki można interpretować na różne sposoby. Odpowiem więc tak: wygrał PiS, wygrała Koalicja Obywatelska, wygrał nawet PSL, tyle że każdy na swoim polu.

W rozmowie z Gazetą.pl stwierdził pan, że jeśli potwierdzi się dwucyfrowy wynik PSL, to będzie to oznaczać, iż PiS nie zdominuje prowincji. Właśnie tak się stało. PiS traci hegemonię na wsi?

Gra na prowincji nie toczyła się o hegemonię, bo tę partia rządząca utrzymała, ale o całkowity monopol, którego ostatecznie zdobyć się nie udało. Gdyby PSL dostało mniej niż 10 proc. głosów, prawdopodobieństwo, że w wyborach parlamentarnych nie przekroczy progu wyborczego, byłoby bardzo duże. Wielu komentatorów przewidywało właśnie taki scenariusz. Wiemy już jednak, że ludowcy zdobyli dwucyfrowy wynik. A to oznacza, że dostanie się do kolejnego Sejmu wciąż leży w zasięgu ich możliwości. Nie wiadomo, czy zdecydują się na wejście do Koalicji Obywatelskiej. Tak czy inaczej, jeśli wprowadzą do parlamentu choćby 12 posłów, to mogą stać się języczkiem u wagi. Krótko mówiąc: rokowania dla PSL są całkiem niezłe, szczególnie biorąc pod uwagę to, że właśnie ludowcy byli głównym obiektem ataków ze strony partii rządzącej w trakcie kampanii samorządowej.

Niechętni partii Kaczyńskiego komentatorzy twierdzą wprost, że to początek końca PiS, który – jak pokazały niższe, niż przewidywano, wyniki wyborów – nie jest już „teflonowy" i jednak ma z kim przegrać.

Teza o rzekomej „teflonowości" PiS jest uproszczeniem. Przez trzy lata nie mieliśmy żadnych wyborów, nie było więc okazji, by sprawdzić, jak odbierana jest polityka partii rządzącej. Teraz już wiemy, że jest odbierana bardzo pozytywnie na prowincji, natomiast bardzo negatywnie w dużych miastach, które są bastionem obozu lewicowo-liberalnego. Ten stereotypowy podział na PiS-owską prowincję i antypisowską metropolię tylko się potwierdził. Polityka PiS była zresztą przez ostatnie

eprasa.pl a980e6f3ab

lata konsekwentnie adresowana przede wszystkim właśnie do Polaków z mniejszych ośrodków. Efekt jest widoczny. Natomiast absolutnie kluczowa jest kwestia frekwencji, która była jednak większa w dużych miastach niż w małych czy na wsi. To dla PiS bardzo zła wiadomość, ponieważ jeśli taka sytuacja się powtórzy w wyborach europejskich i za rok w głosowaniu do krajowego parlamentu, partia Kaczyńskiego może mieć problemy z utrzymaniem samodzielnej większości. Zapewne znów stworzy najliczniejszy klub parlamentarny, nie jest jednak pewne, czy będzie to klub rządzący. Wyniki wyborów samorządowych pokazują bowiem, że PiS może znaleźć się w przedziale 200–230 mandatów, a wówczas bez pozyskania koalicjanta nie utrzyma władzy.

Jarosław Flis w wywiadzie dla „Do Rzeczy" podkreślał, że nawet jeśli PiS wygra wybory w wielu sejmikach, to nie zdobędzie władzy, gdyż nie posiada zdolności koalicyjnej. Podobnie może być po wyborach parlamentarnych?

PSL, który ledwo przeżyło PiS-owską ofensywę, raczej nie będzie się garnęło do współpracy. Z racji historycznych trudno też będzie zbudować koalicję PiS i SLD. Każdy, kto posiada elementarną wiedzę na temat polskiej polityki, zdaje sobie sprawę z tego, że Czarzastemu bliżej do Schetyny niż do Kaczyńskiego. Prędzej więc SLD dołączy do Koalicji Obywatelskiej niż do Zjednoczonej Prawicy. Powstanie szerokiego antypisowskiego frontu – od liberałów przez ludowców do lewicy postkomunistycznej – jest możliwe. Byłoby to szalenie trudne, ale z pewnością łatwiejsze niż koalicja PiS z SLD. Pamiętajmy też, że na układ sił przed wyborami parlamentarnymi w pewnym stopniu wpłyną wcześniejsze wybory do europarlamentu. Ich rezultaty mogą mocno pokrzyżować plany Kaczyńskiego. A to dlatego, że są to wybory o najniższej ze wszystkich frekwencji. Im mniej ludzi głosuje, tym więcej spośród nich stanowią najbardziej aktywni politycznie, wykształceni mieszkańcy wielkich miast. Ci zaś w wyborach samorządowych po raz kolejny pokazali, że w zdecydowanej większości PiS nie popierają. To zaś oznacza, że w wyborach do PE Koalicja Obywatelska może uzyskać ponadprzeciętnie wysoki wynik. Taki rezultat ustawi walkę o miejsca w Sejmie i Senacie, ponieważ wybory do PE odbędą się w maju, a te do parlamentu krajowego – w październiku. Dlatego PiS stoi obecnie przed bardzo poważnym i trudnym wyzwaniem – jak zdobyć bodaj część wyborców wielkich miast lub sprawić, by ci z mniejszych i ze wsi poszli za rok na wybory w znacznie większym niż kiedykolwiek dotąd zakresie.

Co zadecydowało o zwycięstwie kandydata Koalicji Obywatelskiej w Warszawie? To wina Jakiego czy zasługa Trzaskowskiego?

W Warszawie żaden kandydat PiS nie miałby szans wygrać. Moim zdaniem kampania Rafała Trzaskowskiego była bardzo słaba, a sam kandydat – nieprzygotowany do swojej roli. Pomimo to wygrał, ponieważ w Warszawie tak naprawdę nie odbywały się wybory samorządowe, tylko plebiscyt na temat dotychczasowych trzech lat rządów dobrej zmiany, które akurat w stolicy oceniane są wybitnie negatywnie. Proszę zauważyć, że w żadnym większym mieście nie wygrał kandydat PiS. Ciekawy jest w tym kontekście przykład Kielc. Zazwyczaj wieloletnim włodarzom udaje się wywalczyć kolejną kadencję. Tymczasem dotychczasowy prezydent Kielc, wcześniej niezależny, został przez wyborców ukarany za to, że związał się z PiS. Przeszedł, co prawda, do drugiej tury, ale z wynikiem gorszym niż kontrkandydat z Koalicji Obywatelskiej.

W Warszawie żaden kandydat PiS nie miałby szans wygrać. Moim zdaniem kampania Rafała Trzaskowskiego była bardzo słaba

Czyli ktokolwiek by kandydował, i tak Warszawę zdobyłaby KO?

Być może niekoniecznie w pierwszej turze, ale w drugiej każdy kandydat KO wygrałby z każdym kandydatem PiS. Przy czym nie było dobrej alternatywy dla Jakiego. Wystawienie Michała Dworczyka czy Stanisława Karczewskiego skutkowałoby jeszcze dotkliwszą porażką. Patryk Jaki zadał sobie naprawdę wiele trudu, wykonał olbrzymią pracę, by wygrać te wybory, ale nie miał żadnych szans. Po prostu został oddelegowany do walki na niezwykle trudnym terenie. Podobnie klęską Trzaskowskiego zakończyłoby się wystawienie jego kandydatury na włodarza którejś z mniejszych miejscowości na ścianie wschodniej. Co prawda, wybory w Warszawie wygrał kiedyś Lech Kaczyński. Był to jednak 2002 r. – a wtedy PiS dopiero startował na scenie politycznej…

Nie zdążył jeszcze zniechęcić do siebie wielkomiejskiego elektoratu.

Właśnie. Nie było wówczas jeszcze tak głębokiej polaryzacji na scenie politycznej, która w wielkich miastach działa na niekorzyść PiS. W Warszawie mieliśmy do czynienia z bardzo wysoką jak na polskie warunki frekwencją. Prawie 67 proc. mieszkańców stolicy poszło do urn. Im bogatsi wyborcy, tym wyższa frekwencja. Jak pan myśli, która dzielnica Warszawy jest najbogatsza?

Zapewne Wilanów?

Zgadł pan. Frekwencja w wyborach samorządowych wyniosła tam 75 proc. A która dzielnica jest najbiedniejsza?

Praga?

Tak, Praga-Północ. Tam frekwencja wyniosła już tylko 59 proc. To nie przypadek. Bogatsi mieszkańcy stolicy zmobilizowali się do udziału w wyborach, ponieważ skala ich nienawiści do PiS była olbrzymia. PiS ma jednak pewną potencjalną przewagę nad rywalami – biednych wyborców jest przecież więcej niż bogatych. Dlatego im wyższa frekwencja, tym lepiej dla partii Kaczyńskiego. Pytanie tylko, czy uda się zmobilizować mieszkańców małych miasteczek i wsi, by w wyborach parlamentarnych wzięli udział liczniejszy niż w samorządowych.

Jaka będzie przyszłość Patryka Jakiego? Zostanie rozliczony za przegraną czy nagrodzony za walkę? Pojawiły się głosy, że może kandydować do Parlamentu Europejskiego.

PE to najbardziej tłusta synekura w polskiej polityce. Oznacza jednak emigrację z krajowej polityki. Europarlament to dobre miejsce, by poczekać na swoje pięć minut, na powrót do wielkiej gry. Patryk Jaki będąc

eprasa.pl a980e6f3ab

członkiem gasnącej partii (SP), dlatego może to być dla niego dobre rozwiązanie. Chyba że poprosi prezesa Kaczyńskiego o przyjęcie do PiS i o dobre miejsce na liście. Niewątpliwie byłby lokomotywą wyborczą, gdziekolwiek by startował. Nawet w Warszawie, pomimo przegranej w wyborach samorządowych, mógłby znów powalczyć o głosy, tym razem w wyborach do parlamentu. Wszędzie jest w stanie uzyskać dobry wynik, gdyż jest to polityk bardzo dynamiczny i sprawny retorycznie. Powtarzam: Warszawę przegrał nie ze swojej winy.

Niektórzy twierdzą, że na gorszy, niż się spodziewano, wynik PiS w wyborach samorządowych wpływ miała zbyt nachalna propaganda mediów publicznych.

Całkowicie się zgadzam z tą tezą. PiS w swoim przekazie medialnym przekonywał przekonanych. Propaganda, którą uprawiał, była w zbyt małym stopniu adresowana do wyborców niezdecydowanych. Jeśli stawia się bardzo ostre, jednoznaczne tezy, trudno poszerzać elektorat. PiS jest partią, która nie toleruje żadnego partnerstwa w polityce. Świetnie to widać w relacjach z Kukiz'15. Przez ostatnie trzy lata PiS zrobił wiele, aby zniechęcić do współpracy najbliższe sobie pod względem ideowym ugrupowanie, w praktyce jedynego potencjalnego koalicjanta. Oczywiście jest prawdopodobne, że ruch Kukiza niebawem zupełnie zaniknie. Jednak pozostaną jego wyborcy. I wcale nie jest pewne, że będą głosować na PiS. Pod względem podejścia do potencjalnego koalicjanta PiS powinien brać przykład z Platformy, która po cichu wspierała przyjazne sobie PSL. Obie partie nie rywalizowały ze sobą o elektorat, dzieląc strefy wpływów umownie pomiędzy miasto i prowincję. Dzięki temu PSL przetrwało, a teraz może znów stać się koalicjantem PO. PiS, jako partia pozbawiona zdolności koalicyjnych, musi nieustannie walczyć o samodzielną większość. W przeszłości były dwie partie, które przekroczyły 40 proc. – najpierw SLD, następnie PO. Żadna z nich nie była w stanie rządzić samodzielnie. PiS ten wyczyn udał się w 2015 r. w dużej mierze dzięki temu, że ugrupowanie Korwin-Mikkego oraz lewicowa koalicja nie przekroczyły progu wyborczego. Za rok te szczęśliwe dla PiS okoliczności mogą się już nie powtórzyć. Dlatego partia Kaczyńskiego musi zdobyć przynajmniej 43 proc. głosów, by nie martwić się o to, z kim zawrzeć koalicję.

Innym problemem jest chyba nieumiejętność przyciągania centrowych wyborców. Pomóc miał w tym nowy premier, „prawicowy Tusk", który był też zresztą twarzą kampanii samorządowej. Wydaje się jednak, że to raczej Mateusz Morawiecki upodobnił się do PiS-owskiego „betonu", niż PiS zmienił się pod wpływem Morawieckiego.

Właśnie tak. Warto jednak powiedzieć, dlaczego tak się stało. Morawiecki został premierem na mocy arbitralnej decyzji Kaczyńskiego. Dlatego też musiał wykonać dwa wzajemnie wykluczające się zadania: po pierwsze, przekonać do siebie twardy elektorat PiS, po drugie, pozyskać wyborców niezdecydowanych. Postawił na to pierwsze. To racjonalna decyzja, ponieważ gdyby zaczął puszczać oko do centrum, zapewne poprawiłby nieco wynik PiS w wyborach samorządowych, ale byłby wówczas spalony w oczach twardego PiS-owskiego elektoratu, którego poparcie jest niezbędne, by w przyszłości powalczyć o przywództwo w partii.

PiS w swoim przekazie medialnym przekonywał przekonanych. Propaganda, którą uprawiał, była w zbyt małym stopniu adresowana do wyborców niezdecydowanych

Czekają nas emocjonujące drugie tury w wyborach na prezydentów dużych miast. Czy Kacper Płażyński ma szansę pokonać Pawła Adamowicza w Gdańsku? Z jednej strony naturalnym rezerwuarem poparcia dla urzędującego włodarza powinien być elektorat Jarosława Wałęsy, z drugiej zaś – obaj antypisowscy kandydaci są ze sobą skonfliktowani, co może zdemobilizować przeciwników kandydata PiS. Poza tym Kacper Płażyński nie ma wizerunku twardego PiS-owca, ponadto jest synem współzałożyciela PO...

Mimo wszystko szalenie trudno będzie Płażyńskiemu pozyskać wyborców Wałęsy. Większość z nich albo pozostanie w domach, albo z mniej lub bardziej skrywaną niechęcią pójdzie zagłosować na Adamowicza. Oczywiście zdobycie matecznika Platformy, jakim jest Gdańsk, byłoby dla PiS niewyobrażalnym sukcesem. Uważam jednak, że to nierealne. Podobnie sytuacja wygląda w Krakowie. Jeśli nie wydarzy się coś, co mogłoby znacząco zaszkodzić Jackowi Majchrowskiemu, to poradzi sobie z Małgorzatą Wassermann. Wpływ na wynik może mieć pokaźna grupa wyborców Łukasza Gibały, byłego polityka Platformy i Ruchu Palikota, który już zapowiedział, że nie ma mowy, aby udzielił poparcia kandydatce PiS.

Druga tura nie była za to potrzebna w Łodzi. Jak PiS powinien sobie poradzić ze skalą zwycięstwa Hanny Zdanowskiej? Leszek Miller zaproponował ułaskawienie przez prezydenta Dudę, ale takie rozwiązanie to political fiction.

Niewątpliwie do tego zwycięstwa przyczynił się minister Sasin swoją nieprzemyślaną wypowiedzią o tym, że nawet jeśli wygra wybory, to nie będzie mogła objąć urzędu. Oczywiście i bez tego komentarza Zdanowska zapewne wygrałaby wybory, ale mogłaby uzyskać gorszy wynik. PiS ma teraz problem, bo nie mogą odpuścić. Mogli zareagować od razu po wydaniu wyroku. Wówczas nie byłoby argumentu, że chodzi o kwestionowanie demokratycznego wyboru. Zapewne PiS skieruje sprawę do sądu. Pytanie tylko, czy wojewoda zdecyduje się w okresie przejściowym na wprowadzenie zarządu komisarycznego. Z pewnością wywoła to ostre protesty, bo w końcu Zdanowska otrzymała bardzo silny mandat. Jeśli jednak PiS w ogóle nie zareaguje, to też będzie to dla tej partii porażka wizerunkowa i przykład braku konsekwencji.

Co zatem musi zrobić PiS, aby wywalczyć za rok lepszy wynik?

Jeśli utrzyma swoją dotychczasową retorykę, to będzie mu bardzo trudno pozyskać nowych wyborców. Radykalizm jest jednak problemem obu stron politycznego sporu. Z pewnością jeśli Koalicja Obywatelska będzie teraz mówić głównie o przyszłej depisyzacji Polski, to również zniechęci do siebie centrowych wyborców. Krótko mówiąc: wygra ta opcja, która powstrzyma swoich radykałów i postawi na bardziej umiarkowany, pozytywny przekaz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | PAULINA **GROCHOWSKA** | RENATA **PRZEMYK** | IZABELA **TROJANOWSKA**
RAFAŁ **BARTMIŃSKI** | ŁUKASZ **DRAPAŁA** | KRZYSZTOF **KILJAŃSKI** | MAREK **PIEKARCZYK** | ADAM **SZERSZEŃ**
JAKUB **WOCIAL** | MATEUSZ **ZIÓŁKO** | ZBIGNIEW **ZAMACHOWSKI**
ORAZ **ORKIESTRA SINFONIA VIVA** POD DYREKCJĄ JANA **STOKŁOSY**

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018

GODZ. 20.00

BILETY DO NABYCIA W KASIE GŁÓWNEJ TEATRU

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

ZAPRASZAMY: PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00 SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

MECENASI KONCERTU

PGNiG | LOTOS

PARTNERZY

Poczta Polska | LOTTO | FUNDACJA XX. CZARTORYSKICH | PZU FUNDACJA

PATRONAT MEDIALNY

Jedynka POLSKIE RADIO | wprost | DO RZECZY

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

Partner Fundacja PZU

eprasa.pl a980e6f3ab

Czar rozliczeń

Wojciech Wybranowski

W partii nie dojdzie do przetasowań na najwyższych szczeblach. Za to – jak wynika z ustaleń „Do Rzeczy" – może zatrząść się ziemia pod kilkoma baronami PiS, m.in. w Olsztynie, Gdańsku i Białymstoku

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Po ogłoszeniu sondażowych – jak się później okazało, nie do końca trafionych – wyników wyborów samorządowych w PiS było rozczarowanie. Zwłaszcza z powodu porażki Patryka Jakiego w bitwie o Warszawę. Krótkie wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego wywołało falę medialnych publikacji o tym, że w PiS polecą głowy, m.in. Zbigniewa Ziobry, że PiS porażkę w stolicy odreaguje na Patryku Jakim, wreszcie że odwołany może zostać prezes TVP Jacek Kurski. – Wy dziennikarze to strasznie naszej krwi jesteście żądni, tylko pewnej rzeczy nie rozumiecie. Po 2011 r. w naszym obozie nie ma już świra na punkcie rozliczeń, jest dogmat jedności. Gierki i wojny podjazdowe się odbywają, ale to walka o wpływy, a nie na śmierć i życie – słyszę od jednego ze znanych polityków Zjednoczonej Prawicy.

Rzeczywiście, emocje w PiS szybko się wyciszyły. Zwłaszcza gdy ostateczne wyniki wyborów do sejmików wojewódzkich, czyli najważniejsze dla PiS, okazały się dla partii dobre. Jak twierdzą nasi informatorzy, wojenne zapędy czołowych działaczy PiS marzących o wycięciu wewnętrznej konkurencji, zostały bardzo szybko stłumione przez prezesa partii. – Jeśli w ogóle dojdzie do poważniejszych przetasowań, to raczej przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Na razie nie ma decyzji o łagodzeniu kursu, ale jeśli będzie, to „jastrzębie" do PE, „gołębie" do rządu – mówi nam inna osoba z rządzącego obozu.

Jednak jak ustaliło „Do Rzeczy", nie oznacza to, że w partii kilka nietykalnych dotąd osób nie straci swojej pozycji i wpływów. Morawiecki i Ziobro przynajmniej w najbliższym czasie mogą spać spokojnie. Natomiast poważne problemy mogą mieć w partii dotychczasowi baronowie PiS, m.in. w Białymstoku, Olsztynie, Gdańsku i Poznaniu.

ZIOBRO I POLEXIT

Kuluarowa wojna między ludźmi Mateusza Morawieckiego a Zbigniewem Ziobrą nasiliła się jeszcze w trakcie trwania kampanii wyborczej.

– Jedni w kampanii pracują, a drudzy, jak Ziobro, szkodzą, bo myślą tylko o własnej osobie i medialnym lansie – przekonywała naszego dziennikarza osoba zaliczana do najbliższego grona współpracowników Morawieckiego. W partii, nawet w dalszych szeregach, pojawiło się sporo zarzutów pod adresem Ziobry.

eprasa.pl a980e6f3ab

Wytykano mu, że nie angażuje się w kampanię wyborczą, że jeśli jedzie w teren, to wspiera tylko kandydatów Solidarnej Polski. Wreszcie – że bardzo zaszkodził, ogłaszając na finiszu kampanii wyborczej, iż wetuje Konkluzje Rady UE dotyczące Karty praw podstawowych. To, co spodobało się twardemu elektoratowi, liberalnym mieszkańcom wielkich miast już znacznie mniej.

Oliwy do ognia dolało zaostrzenie sporu z TSUE. Minister sprawiedliwości zwrócił się do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o stwierdzenie niezgodności z polską konstytucją art. 267 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Wniosek Ziobry ma znaczenie wyłącznie formalnoprawne, jednak opozycja i bliskie jej media natychmiast skorzystały z okazji, by zacząć przekonywać wyborców, iż PiS wyprowadza Polskę z Unii. Hasło podnoszone przez środowiska opozycyjne – polexit – stało się bardzo nośne, zwłaszcza w mediach społecznościowych.

– Nie chcę oceniać Zbyszka i jego działań. Faktem jest jednak, że na haśle „polexit", którym zagrała opozycja, straciliśmy dużo. Szacujemy, na podstawie naszych badań, że straszenie wyborców tym, że PiS rzekomo chciał wyprowadzić Polskę z Unii, dało Koalicji Obywatelskiej ok. 3–4 proc. głosów więcej, w tym głosy tych wyborców, którzy nie planowali iść do urn – mówi nam jeden z członków sztabu wyborczego PiS.

Stronnicy Morawieckiego mieli domagać się głowy Ziobry, bo obóz premiera jest zwolennikiem łagodzenia sporu z TSUE i Komisją Europejską. Według naszych informatorów doszło do długiej rozmowy Kaczyńskiego z ministrem sprawiedliwości, która nie przebiegała w złej atmosferze. Powodów, dla których pozycja Ziobry jest na razie niezagrożona, jest sporo.

Jednym z nich jest podpisana niedawno nowa umowa koalicyjna między PiS a Solidarną Polską obejmująca cykl wyborczy: samorządy, PE i wybory do Sejmu. Jak się dowiedzieliśmy – „ziobryści" dostali dużo dobrych miejsc w samorządzie, a do Parlamentu Europejskiego dwa miejsca, które mogą okazać się biorące: „dwójkę" we Wrocławiu i „trójkę" w Krakowie.

W dodatku to na ludziach Ziobry opiera się właśnie zdobyta większość PiS w sejmikach wojewódzkich: małopolskim, podkarpackim i świętokrzyskim. W tym pierwszym przedstawiciel Solidarnej Polski ma dostać stołek wicemarszałka.

Nasi rozmówcy zwracają uwagę też na to, że nie ma zgody Nowogrodzkiej na usunięcie ludzi Ziobry ze spółek Skarbu Państwa, na co naciska Morawiecki.

MORAWIECKI TRACI, SZYDŁO ZYSKUJE

Jednak pozycja premiera Morawieckiego w partii także bardzo osłabła. W pierwszych dniach po ogłoszeniu prognozy wyników wyborczych dało się wśród polityków PiS słyszeć głosy, że „Morawiecki musi odejść", a także że „Chcemy powrotu Szydło".

– Taka koncepcja nie jest absurdalna, jest ciągle brana pod uwagę, była omawiana w kuluarach przed Komitetem. Zwyciężyła koncepcja, że na razie nic nie zmieniamy – mówi nam członek władz PiS. – A Szydło? Widział pan, jaka wychodziła uśmiechnięta ze spotkania? Wie, że jeszcze jest w grze – dodaje.

W partyjnych dołach i wśród posłów drugiego i trzeciego szeregu słychać

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
i MIESIĘCZNIKA HISTORIA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA

B. SŁAWIŃSKA – WYWIAD
Z WITALISEM SKORUPKĄ „JA ORZEŁ.
Z KEDYWU DO CELI ŚMIERCI"

Cena: 279 zł
Oszczędność: 369 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl a980e6f3ab

głosy zarzucające Mateuszowi Morawieckiemu doprowadzenie do utraty części twardego elektoratu. Chwiejna postawa w trakcie dyplomatycznego konfliktu z Izraelem miała – zdaniem części polityków PiS – sprawić, że na wybory nie poszli ci, którzy w partii z Nowogrodzkiej widzieli ugrupowanie prowadzące odważną politykę zagraniczną.

Najbardziej jednak Morawieckiemu zaszkodziły ujawniane przez Onet w ostatnich tygodniach kampanii wyborczej taśmy i zeznania „kelnerów" dotyczące spotkań z ludźmi Donalda Tuska i lewicowo-liberalnym establishmentem, zarejestrowane nielegalnie w warszawskich restauracjach.

– Miały wpływ na wyniki, te ratowaliśmy i częściowo odratowaliśmy na finiszu kampanii, ale wśród ludzi w partii Morawiecki stracił. W diabły poszło przekonywanie: „Jestem taki jak wy", znów zaczął być odbierany: „Tacy jak ci od Tuska" – słyszymy w Prawie i Sprawiedliwości.

Już po materiałach portalu Onet Jarosław Kaczyński w licznych wywiadach telewizyjnych bronił Morawieckiego. – Jestem przekonany, że Mateusz Morawiecki niczego w życiu złego nie zrobił. Jestem na sto procent przekonany, że Morawiecki to patriota, człowiek uczciwy i empatyczny, który chce ludziom pomóc i robi to skutecznie – mówił Kaczyński w telewizji Polsat.

Jednak ludzie z bardzo bliskiego otoczenia prezesa PiS mówią nam, że lider partii nie jest już tak oczarowany Morawieckim jak w 2015 r. czy wtedy, gdy namawiał go, by zastąpił Beatę Szydło na stanowisku premiera. Morawiecki musi też liczyć się z tym, że coraz bardziej będzie miał przeciwko sobie część polityków „zakonu PC", którym nie podoba się, że polityczny amator, jakim jeszcze niedawno był szef rządu, tak szybko nauczył się polityki i zbudował własne silne zaplecze.

Przynajmniej jednak na ubiegłotygodniowych naradach z udziałem lidera partii, według naszych informatorów, nie zapadły żadne niekorzystne dla niego decyzje. Prawdopodobnie ostatecznie – ale dopiero po drugiej turze wyborów – dostanie też wolną rękę w sprawie łagodzenia konfliktów z TSUE i organami UE.

LOKALNE DYWERSJE?

Według naszych informatorów władze partii nie będą miały jednak lekkiej ręki wobec kilku lokalnych baronów PiS, którzy – jak podejrzewają po sygnałach z terenu – nie przygotowali właściwie kampanii. – Umówiliśmy się, że sporządzimy taki dokładny, szczegółowy audyt kampanii. Zrobimy to na spokojnie już po wyborach – mówił Adam Bielan, wicemarszałek Senatu.

Według naszych źródeł spore problemy może mieć poseł Jerzy Szmit, były wiceminister infrastruktury, szef olsztyńskich struktur PiS. Do Warszawy dotarły sygnały, że Szmit i jego ludzie mieli utrudniać kampanię kandydującego na prezydenta Olsztyna Michała Wypija. PiS jest na to wyczulony, bo cztery lata wcześniej podobne sygnały pojawiły się, gdy o prezydenturę w tym mieście walczyła posłanka Iwona Arent. – Usłyszeliśmy, że skoro „warszawka" wyznaczyła Wypija, to niech „warszawka" robi mu kampanię. Był bardzo poważny problem z otrzymaniem wsparcia od posła Szmita, nie byliśmy informowani o spotkaniach, o briefingach, utrudniano nam pozyskanie materiałów promocyjnych – opowiada nam jedna z osób wspierających Michała Wypija w wyborach.

Spore problemy może mieć poseł i były wiceminister Jerzy Szmit, szef olsztyńskich struktur Prawa i Sprawiedliwości

Podobne sygnały słychać także z Białegostoku, gdzie w strukturach PiS „władcą dusz" jest Krzysztof Jurgiel, a o fotel prezydenta miasta z ramienia tej partii ubiegał się poseł Jacek Żalek. – Gdyby opowiedzieć, co wyprawiali były minister rolnictwa i jego dwór, to byłby materiał na esej. Wysadzili Żalkowi trzy miesiące kampanii dosłownie w powietrze. Kampania była przygotowana w czerwcu i nic nie zrobili – słyszymy wśród działaczy PiS na Podlasiu. – Ludzie Jurgiela zablokowali mu nawet rozmowy z mocno konserwatywnymi prawosławnymi, blokowali dostęp do kasy na kampanię – dodają.

Ale z wyciągnięciem konsekwencji wobec Jurgiela władze PiS mogą mieć problem. Ponieważ to jego ludzie odgrywać będą ważną rolę w sejmiku województwa.

Podobne zastrzeżenia dotyczą także Gdańska. W tym mieście szef gdańskich struktur Andrzej Jaworski został zawieszony przez Kaczyńskiego już we wrześniu, w sprawie wszczęto też postępowanie dyscyplinarne. Nieoficjalnie mówi się, że chodzi o brak wsparcia dla kampanii Kacpra Płażyńskiego.

Niepewny dalszego kierowania strukturami PiS w Poznaniu może być także poseł Tadeusz Dziuba, bo choć kandydat na prezydenta miasta Tadeusz Zysk kampanię przepracował solidnie, to jednak PiS w jej trakcie był w mieście niewidoczny. Zarzuty o słabą organizację PiS w stolicy Wielkopolski pojawiają się cyklicznie przy okazji każdych wyborów.

W TVP BEZ ZMIAN

Już po wyborach część mediów, na czele z „Gazetą Wyborczą", zaczęła przekonywać, że stanowisko może stracić prezes TVP Jacek Kurski, którego niektórzy posłowie PiS mają obwiniać za utratę poparcia dla partii. Powód? Mówią o zbyt topornym przekazie programów informacyjnych, które miały zrazić część umiarkowanych wyborców. „GW" sugeruje, że Kurskiego mógłby zastąpić Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen. W kuluarowych grach na usunięcie Kurskiego naciskają także niektórzy posłowie związani ze środowiskiem „Gazety Polskiej".

Jednak nasi informatorzy wewnątrz PiS mówią, że Kurski w najbliższym czasie posady stracić nie powinien. Miał, jak słyszymy od naszych informatorów, zaraz po wyborach spotkać się na długiej rozmowie z prezesem Jarosławem Kaczyńskim i podczas niej zapowiedź dymisji nie padła. – Prezes ceni sobie spryt medialno-polityczny „Kury", to, jak dobrze rozumie on pewne mechanizmy, sposoby przekazywania informacji. To, że przekaz jest zero-jedynkowy? Część ludzi zraża, część nie – mówi nam jeden ze znanych działaczy PiS bliski kierownictwu partii. Nie wyklucza też, że „twardy przekaz" w programach informacyjnych TVP może zostać złagodzony, ale na razie takie decyzje nie zapadły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

6 LISTOPADA 2018

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONAT HONOROWY

SEJM | niepodległa | Polska Stulecia Odzyskania Niepodległości | Instytut Pamięci Narodowej

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

SPONSOR

PGNiG

WSPÓŁORGANIZATOR

Zamek Królewski w Warszawie

PATRONAT MEDIALNY

TVP

PARTNERZY

PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company | Poczta Polska | Bank Pekao | PKP INTERCITY | TOTALIZATOR SPORTOWY | BGK Bank Gospodarstwa Krajowego | 99 RENT | KGHM Polska Miedź

epraasa.pl a980e6f3ab

Sąd Najwyższy w Warszawie

FOT. JACEK KADAJ/FOTOLIA

Spokój z sądami

Kamila Baranowska

Tym, co najbardziej zaszkodziło PiS na finiszu kampanii samorządowej, była kwestia polexitu. Aby zneutralizować ten wątek w kampanii europejskiej, rząd planuje zamknąć temat reformy sądownictwa

Wszystko przemawia za tym, że spór z Trybunałem Sprawiedliwości wkrótce odejdzie do przeszłości – stwierdził trzy dni po wyborach samorządowych wicepremier Jarosław Gowin w Polsat News. – Trzeba wygasić spór wokół sądownictwa, nie ze względu na takie czy inne wyniki wyborów do PE czy o wiele ważniejsze do polskiego Sejmu, tylko dlatego, że to trochę psuje państwo – dodał.

To pierwszy tak jasny głos ze strony obozu Zjednoczonej Prawicy, że spór z Brukselą dotyczący reformy sądownictwa powinien zostać jak najszybciej zakończony. I trudno nie łączyć tego stanowiska z wynikiem wyborów samorządowych, które choć pozwoliły PiS na odbicie kilku sejmików, przyniosły też rządzącym parę rozczarowań.

SZUKANIE DOBREGO ROZWIĄZANIA

Z pewnością największym zaskoczeniem była wielka mobilizacja, która ujawniła się zwłaszcza w dużych miastach, a której PiS się nie spodziewał. Jak wynika z wewnętrznych badań partii, tąpnięcie w sondażach było związane z tematem polexitu, którym w ostatnim tygodniu kampanii zaczęła grać opozycja. Pretekst do suflowania tej narracji dał opozycji minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, który na początku października wysłał zapytanie do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie, czy sądy krajowe mają prawo zadawać pytania prejudycjalne do unijnego Trybunału Sprawiedliwości.

Jakby tego było mało, w ostatnim dniu kampanii, tuż przed ciszą wyborczą, Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który bada, czy ustawa o Sądzie Najwyższym jest zgodna z unijnym prawem, zdecydował o zastosowaniu wobec Polski tzw. środków tymczasowych i nakazał zawieszenie stosowania przepisów dotyczących przechodzenia w stan spoczynku sędziów, którzy ukończyli 65 lat. Tym samym TSUE przychylił się do wniosku Komisji Europejskiej w tej sprawie. Co więcej, TSUE nakazał powstrzymanie się z wyznaczaniem nowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, a także osoby, która mogłaby pełnić tę funkcję do czasu powołania nowego prezesa.

Politycy rządowi sugerują, że ta decyzja i termin jej ogłoszenia mogły mieć związek z odbywającymi się za chwilę wyborami. – Trudno oprzeć się wrażeniu, że sytuacja była co najmniej dziwna. Przypomnijmy: polski rząd miał czas do 18 października, czyli do czwartku włącznie, żeby odnieść się do stanowiska trybunału, pytań. W czwartek wieczorem kilkudziesięciostronicowe stanowisko polskiego rządu zostało wysłane do TSUE, a w piątek rano pojawiła się informacja o stanowisku TSUE. To oznacza, że nie mieli szans w sposób wnikliwy zapoznać się ze stanowiskiem polskiego rządu – mówił w radiowej Trójce Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera. – Nie wiem, jaki wpływ na wyniki wyborów miało stanowisko TSUE. Natomiast zarówno tego rodzaju wydarzenie, jak i straszenie Polaków polexitem może mieć wpływ na decyzje wyborców – dodał. W podobnym tonie wypowiadał się także prof. Zdzisław Krasnodębski, europoseł PiS.

– W TSUE są inteligentni ludzie, więc zdają sobie sprawę, że termin, w którym

eprasa.pl a980e6f3ab

to ogłaszają, może mieć wpływ na wynik wyborów. Trudno sobie wyobrazić, żeby sędziowie Trybunału nie wiedzieli, że w weekend w Polsce były wybory – skomentował.

Bez względu na ocenę samej decyzji i czasu jej ogłoszenia pierwsze reakcje polityków rządowych wskazywały na to, że rząd planuje dostosować się do zaleceń TSUE. Do tego jednak potrzebna jest nowelizacja ustawy. – Jeżeli Trybunał uważa, że (sędziowie) powinni wrócić, to wykonanie tego postanowienia wymagałoby takiej ustawy, która umożliwi im powrót i być może orzekanie – uważa minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz.

Czaputowicz zwrócił też uwagę, że decyzja TSUE oznacza potwierdzenie legalności obecnej ustawy, według której część sędziów, którzy ukończyli 65 lat, przeszła już w stan spoczynku.

Fakt ten jest zaś od początku kwestionowany przez część środowiska sędziowskiego, w tym samą prezes Małgorzatę Gersdorf, która od razu po piątkowej decyzji TSUE wezwała sędziów przeniesionych w stan spoczynku do stawienia się w Sądzie Najwyższym „w celu podjęcia służby sędziowskiej". Część z nich odpowiedziała na ten apel i stawiła się w poniedziałek rano w pracy. Reszta, jak informował rzecznik, miała się stawić w kolejnych dniach (łącznie, razem z pierwszą prezes, na mocy nowej ustawy w stan spoczynku, zostało przeniesionych 23 sędziów). Co ciekawe, jak podało Radio RMF FM, sędziowie, którzy przechodząc w stan spoczynku pobrali sowite odprawy (średnio po ponad 150 tys. zł), wracając do pracy, nie będą musieli ich oddawać (ale też nie dostaną wyrównania za czas, kiedy byli w spoczynku i pobierali 75 proc. wynagrodzenia).

Dzień później szef polskiej dyplomacji wypowiadał się już nieco ostrożniej co do szybkiej nowelizacji ustawy. – Myślę, że należy poczekać, analizy prawne muszą być głębsze niż taka szybka analiza, jeden dzień po otrzymaniu dokumentów, należy zastanowić się, przedyskutować między instytucjami, być może także z przedstawicielami Komisji Europejskiej, i podjąć właściwe działania – powiedział.

Dzisiaj w obozie Zjednoczonej Prawicy ścierają się dwie koncepcje dotyczące dalszych działań wobec sporu z Brukselą – umiarkowana i radykalna. Ta pierwsza zakłada nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym i wycofanie się z wojny z TSUE. Druga – kontynuację obecnego kursu. Bardziej prawdopodobny wydaje się pierwszy scenariusz, za którym opowiada się premier Mateusz Morawiecki. Kierownictwo PiS nie ma jednak na razie dobrego rozwiązania, jak znowelizować ustawę, by nie rozczarować za bardzo swojego elektoratu. – Trudno byłoby teraz wytłumaczyć, że jednak uznajemy Małgorzatę Gersdorf za pierwszą prezes SN, skoro przez ostatnie miesiące robiliśmy wszystko, by pokazać, że nią nie jest. Trzeba to jakoś sprytnie poukładać – mówi nasz rozmówca.

PiS najchętniej zrzuciłby ten obowiązek na prezydenta Andrzeja Dudę, argumentując, że to jego ustawa, więc on powinien wziąć na siebie jej poprawianie. Wątpliwe jednak, by prezydent się na to zgodził. Na razie zdecydowano więc, że z ostateczną decyzją w tej sprawie i z wszelkimi konkretnymi rozwiązaniami rząd i parlament wstrzymają się do zakończenia II tury wyborów samorządowych. Później zaś rozpoczną operację wygaszania sporu. Przy czym w warstwie retorycznej nie należy się spodziewać radykalnej zmiany tonu. Będą zapewnienia, że rząd z niczego się nie wycofuje i kontynuuje reformę sądownictwa na swoich zasadach. Zmiana ustawy nastąpi zapewne w okolicach świąt Bożego Narodzenia, gdy mało kto interesuje się wydarzeniami politycznymi.

To informacje, które płyną z PiS tuż po pierwszych powyborczych podsumowaniach. Nie da się wykluczyć, że te ustalenia ulegną zmianie, ponieważ koncepcja radykalna też ma swoich zwolenników, którzy będą przekonywać Jarosława Kaczyńskiego, że wyborcy takie wycofywanie się odbiorą jako słabość i uległość rządu. Do tego dochodzi jeszcze kluczowy argument, że tak naprawdę ostry konflikt ze środowiskiem sędziowskim, a także z Brukselą, wcale PiS nie szkodzi, że to temat, który nie interesuje Polaków, o czym świadczą stabilne sondaże partii i niezły wynik w wyborach.

Na razie jednak kalkulacje PiS wracają na dawne tory. Pierwotne plany partii zakładały bowiem przeprowadzenie najtrudniejszych i budzących największy opór reform w pierwszej połowie kadencji. W tym pakiecie były także wszystkie zmiany dotyczące sądownictwa. Druga połowa kadencji miała być tylko odcinaniem kuponów i przypominaniem o dokonaniach PiS, zwłaszcza w sferze społecznej. Tak się jednak nie stało i spór o sądy trwa do dziś. I choć nie jest już paliwem, które wyciąga ludzi na uliczne demonstracje, to wciąż obozowi Zjednoczonej Prawicy psuje sporo krwi. A to, że przeniósł się także do Brukseli, jest bardzo niewygodny, zwłaszcza w przededniu wyborów do Parlamentu Europejskiego.

– Rządy nie mogą ignorować orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej – oświadczył, cytowany przez serwis Deutsche Welle, prezes Trybunału Koen Lenaerts. Dodał też, że kraj, który nie jest gotowy do podporządkowywania się orzeczeniom TSUE, „wpisuje się w proces podobny do brexitowego". To jasna przestroga także pod adresem Polski, wzmacniająca lansowany przez opozycję przekaz o tym, że PiS chce doprowadzić do polexitu. W tej sytuacji na nic zdadzą się zapewnienia Jarosława Kaczyńskiego, że PiS jest partią od zawsze proeuropejską i planów wychodzenia z Unii nie ma.

ŁAGODZENIE KURSU

Dlatego wiele osób w obozie rządzącym, chcąc uniknąć dalszych tego typu oskarżeń, chce ten spór powoli wygaszać.

– Rząd podejmie odpowiednie kroki prawne, żeby wdrożyć postanowienie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej – zapowiedział już w Sejmie wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł. – Wykonanie postanowienia trybunału wymaga stworzenia podstawy prawnej. Państwo polskie przestrzega i będzie przestrzegać prawa Unii Europejskiej – mówił.

Tak jasna deklaracja zastępcy ministra Zbigniewa Ziobry zdaje się potwierdzać, że decyzja o łagodzeniu kursu wobec Brukseli już zapadła i sam Ziobro jest z nią pogodzony.

Świadczą o tym poniekąd słowa Adama Bielana, który w Radiu Koszalin zapewniał, że w tej sprawie w obozie Zjednoczonej Prawicy „nie będzie dwugłosu". – Rozmawialiśmy na spotkaniu rady koalicji długo na ten temat, rysuje się pewna strategia w tej sprawie. Mogę wszystkich zapewnić, że nie zrobimy niczego, co mogłoby zagrozić naszej pozycji w Unii Europejskiej. Takie deklaracje zgłaszał też pan minister sprawiedliwości, a więc polityk najbardziej zainteresowany w tej sprawie – mówił Bielan, jednocześnie zastrzegając, że „z głównych założeń reformy wymiaru sprawiedliwości zrezygnować nie możemy, bo jesteśmy do tego zobowiązani głosami naszych wyborców".

Jak zadowolić Brukselę, a jednocześnie nie podpaść własnym wyborcom – to dziś główny dylemat polityków Zjednoczonej Prawicy. Od tego, jak z niego wybrną, może zależeć los następnych wyborów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

Pani Anno, nikt pani Polski nie zabrał

Marcin Makowski

Gdzie są pani dawni przyjaciele? Oni nie istnieją, bo pani ich odczłowieczyła

Kto mi odebrał moich polskich przyjaciół?" – zastanawia się Anne Applebaum w długim eseju, który za miesięcznikiem „The Atlantic" przedrukowała „Gazeta Wyborcza". Pomimo wielu erudycyjnych popisów i analogii historycznych ostatecznie odpowiedź wydaje się prosta: przyjaciół odebrała sfrustrowana życiowymi niepowodzeniami radykalna prawica, podkochująca się w autorytaryzmie, żyjąca w świecie teorii spiskowych, radykalizująca się jak naziści i bolszewicy w latach 30., obwiniająca o zło tego świata Żydów i liberalne media. Natomiast my, w kontrze do nich, pomimo mroków dyktatury niestrudzenie niesiemy kaganek demokracji, niezależnego sądownictwa i obiektywnych mediów. My pozostaliśmy tacy, jak byliśmy: fajni, modni, niezależni. Oni (a to zawsze w nich siedziało) objawili swoją prawdziwą twarz miernot, które wyrwały władzę elitom, sądząc, że im się należała.

Myślą państwo, że przesadzam? Tyle w istocie zostaje z pięciostronicowego „brawurowego eseju", który – według opisu „Wyborczej" – „zachwycił Baracka Obamę". Skoro tak, może jednak nie warto kpić, tylko bliżej się mu przyjrzeć? Warto. Choćby dla uświadomienia sobie gracji, z którą małżonka Radosława Sikorskiego nauczyła się odwracać kota ogonem.

BELLE ÉPOQUE

Cóż to był za sylwester: 31 grudnia 1999 r. niedawno odremontowany dwór Chobielin gościł w swoich szlacheckich progach śmietankę dobrze rokujących dziennikarzy, polityków oraz zagranicznych myślicieli, którzy jak jedna rodzina celebrowali nadejście nowego millenium. Anne Applebaum tworzy z tego wieczoru, na który zaprosiła z mężem ponad 100 osób, wydarzenie niemal magiczne. Słychać gwar dyskusji w wielu językach, strzelają korki od szampana, pachnie pyszne jedzenie, które sama przygotowała. To symbol starych, dobrych czasów, gdy jeszcze wszyscy „z pewnością wierzyli w demokrację, rządy prawa, w Polskę należącą do NATO i zmierzającą do członkostwa w Unii Europejskiej". Dzisiaj z tamtej atmosfery belle époque pozostały jednak zgliszcza. Ówcześni przyjaciele znaleźli się po przeciwnych stronach dziejowej barykady.

„Kilkanaście lat później wolałabym przejść na drugą stronę ulicy, by uniknąć spotkania z niektórymi uczestnikami owego sylwestra" – wyznaje publicystka. I dziwi się, jak mogło dojść do podobnego podziału. W końcu oni nie ulegli autorytarnej transformacji, nadal będąc „zwolennikami centroprawicy proeuropejskiej, prorynkowej, popierającej rządy prawa", w kontrze do znajomych przerzucających poparcie na Prawo i Sprawiedliwość. Partię rozprzestrzeniającą idee „nie tylko ksenofobiczne i pełne podejrzliwości wobec reszty Europy, lecz także jawnie autorytarne". Wprowadzającą „prawo ograniczające publiczną debatę o Holokauście". Aby odpowiedzieć na pytanie, jak do tego doszło, Applebaum zabiera amerykańskich i polskich czytelników na selektywną podróż po zakamarkach historycznych analogii oraz ciemnych zaułkach duszy radykalnej prawicy.

„KOORDYNATORKA PRASY MIĘDZYNARODOWEJ"

Argument najważniejszy, otwierający esej oraz tłumaczący prawdziwe źródło konfliktu, Applebaum odnosi do siebie samej. Żeby nie trzymać państwa dłużej w niepewności, wyjaśnię, że chodzi o „wreszcie wyartykułowany" antysemityzm prawicy. Oskarżenie z gatunku najcięższych, z którego samo tłumaczenie się przypomina przyznanie się do winy. Jeśli dodatkowo dodamy do niego zamiłowanie do teorii spiskowych (tego zwrotu autorka używa w tekście najczęściej, tłumacząc nim właściwie wszystkie ruchy i motywacje przeciwnika), okazuje się,

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

że tak sprofilowani dawni przyjaciele nie mają drogi ucieczki. Była koleżanka, związana z PiS, kolportuje teorie antysemickie i przenosi na Żydów odpowiedzialność za Holokaust. Antoni Macierewicz (wierzący w spisek smoleński) lubi czytywać „Protokoły mędrców Syjonu". Sąsiadka z Chobielina słucha z kolei „prorządowego, katolickiego i rozpowszechniającego teorie spiskowe Radia Maryja".

I wszystkie te kalumnie, które wymienione towarzystwo produkuje, w końcu spadają na głowy małżeństwa Sikorskich. Szczególnie po 2015 r., gdy – jak się żali publicystka – „na okładkach dwóch proreżimowych czasopism: »wSieci« i »Do Rzeczy« – a w obu pracują nasi dawni przyjaciele – zostałam przedstawiona jako żydowska koordynatorka prasy międzynarodowej, skrycie kierująca jej negatywnymi opisami Polski". Z czasem przestano jednak o niej pisać, ponieważ „negatywne opisy sytuacji w Polsce stały się zbyt powszechne, by wierzyć, że jedna osoba, nawet Żydówka, mogła sama tym zarządzać". Tak się składa, że jestem autorem jednego z artykułów, do których odnosi się Applebaum, wiem, jakie tezy w nim zawarłem i jak fałszywy obraz sytuacji przedstawiła autorka, ale o tym za chwilę, ponieważ spirala oskarżeń dopiero się rozkręca.

MOŻE NIE JESTEŚCIE NAZISTAMI, ALE...

Nie wystarczy bowiem podać kilka przykładów antysemickiego bzika części radykalnej prawicy, podpierając się ogólnym zarzutem, że coś tam, ktoś tam w tekście dwuznacznie zasugerował. Trzeba do niego dobudować również efektowne historyczne paralele, w których miłują się ostatnio lewicowo-liberalni intelektualiści. W ten sposób ze współczesnej Polski przenosimy się błyskawicznie do Rumunii lat 30. i 40., którą w swoich dziennikach portretował pisarz Mihail Sebastian. „Sebastian był także Żydem, a większość jego przyjaciół, podobnie jak moich, zaliczała się do prawicy. Opisywał, jak przyciągała ich jednego po drugim – jak płomień przyciąga ćmy – ideologia faszystowska" – twierdzi Applebaum, następnie wylicza konsekwencje podobnego ciążenia ku faszyzmowi. Renesans teorii spiskowych (znowu), przemoc, rasizm, wrogość wobec obcych. „To nie jest rok 1937. Jednak podobne przemiany zachodzą dzisiaj w Europie, w której mieszkam, i w Polsce, której obywatelstwo otrzymałam" – dodaje, a następnie kolejny raz pyta samą siebie: „Czy niektórzy znajomi zawsze byli ukrytymi zwolennikami autorytaryzmu?".

Aby udowodnić, że byli, Anne Applebaum musi się cofnąć jeszcze dalej, do XIX-wiecznej Francji oraz słynnej afery Dreyfusa. W dużej mierze polegała ona na fałszywym oskarżeniu żydowskiego wojskowego o spiskowanie z Niemcami, a do teraźniejszości według autorki ma się to tak, że podzieliła francuskie społeczeństwo wedle aktualnych linii demarkacyjnych. „Ci, którzy uznali winę Dreyfusa, byli swoistą alternatywną prawicą tamtych czasów, jak dzisiaj PiS czy francuski Front Narodowy" – pisze publicystka i rozwija swoją myśl. „Kłamali w imię honoru", „oskarżali niewinnego", „tworzyli ówczesne farmy trolli" w prasie bulwarowej. Dreyfusowcy z kolei – za których spadkobierców uważają się, jak sądzę, Applebaum i jej środowisko – walczyli o to, aby „państwo traktowało wszystkich po równo niezależnie od wyznania", „pojmowali naród nie jako etniczny klan, lecz jako ucieleśnienie ideałów sprawiedliwości, uczciwości, neutralności sądów". Dlaczego nie odnieśli sukcesu, tak jak obecni liberałowie? Ponieważ żądali od prostego społeczeństwa zbyt wiele. Ich sposób przekonywania „był wizją bardziej abstrakcyjną, intelektualną, trudniejszą do uchwycenia". Jednym słowem, oświeceni Europejczycy – kiedy na chwilę oddają stery władzy w ręce autorytarnych mas – to tylko dlatego, że ich retoryka jest zbyt szlachetna w kontrze do brutalnej rzeczywistości, którą żywią

eprasa.pl a980e6f3ab

się wszelkiej maści populiści. Zgrabne, prawda? Szkoda, że nieprawdziwe.

JAK ZOSTAĆ ANTYSEMITĄ?

W tym miejscu chciałbym wrócić do mojego tekstu okładkowego w „Do Rzeczy" z września 2016 r., zatytułowanego „Świat Applebaum i Sikorskiego". Skoro został on określony mianem portretu publicystki i pisarki występującej w charakterze „żydowskiej koordynatorki prasy międzynarodowej, skrycie kierującej jej negatywnymi opisami Polski", zapewne musi istnieć sporo dowodów na podparcie tej tezy. Szczególnie że służy ona później jako fundament do opisanego wplątania prawicy w haniebny związek z faszyzmem, antysemityzmem oraz intelektualnym kołtuństwem. A więc także do wplątania w to mnie. I choć ze starej jak Schopenhauer metody erystycznej nie ma dobrego wyjścia, najlepszym z możliwych wydaje mi się jednak zaapelowanie o lekturę tekstu oraz przytoczenie kilku faktów oraz cytatów.

Otóż w całym długim reportażu na temat wzlotów i upadków Sikorskich-Applebaumów o pochodzeniu dziennikarki wspomniałem raz, pisząc, że w budowaniu kariery „od początku podporą była wpływowa rodzina amerykańskich Żydów". Ojciec adwokat i lobbysta spółek energetycznych (to jemu Radek Sikorski miał zawdzięczać prestiżowy staż w American Enterprise Institute) oraz matka związana od lat z największą prywatną galerią sztuki w Waszyngtonie, działająca w zarządach fundacji charytatywnych. Tyle.

Podobny zabieg został zastosowany również w 2016 r. wobec Matthew Tyrmanda, który w felietonie na łamach portalu Breitbart napisał, że po przegranej Radka Sikorskiego w prawyborach prezydenckich w PO skończyły się marzenia Anne Applebaum o byciu „pierwszą amerykańsko-żydowską pierwszą damą w Polsce". Po tych słowach błyskawicznie rozkręcono medialne oburzenie, „The Washington Post" donosił o „mętnym pisarzu polsko-amerykańskiego pochodzenia", który stosuje na portalu byłego szefa kampanii Donalda Trumpa antysemickie aluzje. Gdy po fakcie dowiedziano się, że autor tych słów również jest Żydem, do tekstu na portalu gazety Anne Applebaum dodano jedynie, że „uważa się za Żyda". Po tym wydarzeniu Henry Foy – ówczesny korespondent „Financial Times" w Polsce – ujawnił na Twitterze dokument poświadczający zawarcie umowy doradczej pomiędzy Tyrmandem a MSZ, po którym (w aurze oskarżenia o antysemityzm) rozwiązano współpracę, opierającą się zresztą na wolontariacie.

WSZĘDZIE SPISKI

Czy w takim razie cokolwiek przemawia choćby za tezą o przypisywaniu Anne Applebaum roli „koordynatorki prasy zagranicznej", która „skrycie" steruje negatywnymi opiniami na temat naszego kraju? Znowu garść cytatów z mojego tekstu. Uważam, że niezbędnych do nakreślenia skali fałszu, którym operuje dziennikarka. „Dwór w Chobielinie nie stanowi ośrodka dyspozycyjnego, w którym pociąga się za sznurki globalnych narracji, sugeruje się »New York Timesowi« czy BBC, gdzie uderzyć, aby zabolało »dobrą zmianę«. Nie ma spisku. Są za to: sieć kontaktów, wzajemnych przysług, wspólnota idei, powiązania towarzyskie, zależności redakcyjne. Aby zrozumieć, w jaki sposób fałszywa skromność Applebaum (mówiąca, że »nie jest w stanie kontrolować tego, co się pisze o Polsce«) jest pokazywaniem tylko jednej strony medalu, trzeba prześledzić jej historię, zrozumieć motywy i wizję świata" – napisałem w reportażu. Konkluzja była jednak następująca: „Nie jest zatem teorią spiskową twierdzenie, że większość dziennikarzy tytułów takich jak »The Economist«, »Politico«, »Financial Times«, »The New York Times« czy »The Washington Post«, którzy w negatywnym świetle przedstawiają sytuację w Polsce, to starzy znajomi z podobną agendą. Nie jest również problemem, że starają się ją promować i piszą w podobnym duchu, często konsultując materiały. Chodzi raczej o to, że obraz sytuacji wyłaniający się ze wspomnianych tytułów nie jest obiektywny, ale jest elementem szerszego zagadnienia polegającego na charakterystycznym dla wielu zachodnich dziennikarzy przesunięciu na lewo. Polscy czytelnicy powinni o tym wiedzieć i rozumieć te mechanizmy. […] Radek Sikorski, a przede wszystkim Anne Applebaum są ważnymi rozgrywającymi tego procesu. Rolą polskiego rządu jest natomiast takie działanie, aby ich argumenty równoważyć. Samym narzekaniem, że »oni« grają nie fair, nie buduje się polityki informacyjnej i nie wygrywa rządu dusz. Chyba że pogodzono się z tym, iż tej walki nie da się wygrać, a najłatwiejszą postawą jest bierne wylewanie żalu na zagranicznych korespondentów. W dużej mierze ich narracja jest zatem silna słabością kontaktów medialnych prawicy" – zakończyłem artykuł. Nie ma i nie było w nim nawet cienia narracji, na której swój „brawurowy esej" zbudowała zdobywczyni Pulitzera.

Applebaum nie dokonuje autorefleksji, nie widzi żadnej winy w „swoich". Ona tworzy karykaturę przeciwnika, którego nie sposób nie potępić

I tutaj dochodzimy do konkluzji. Zdobywczyni tytułu „Człowieka Roku 2018" „Gazety Wyborczej" nie polemizuje z prawicą, nie szuka odpowiedzi na pytanie o realne przyczyny podziału, nie dokonuje autorefleksji, nie widzi żadnej winy w „swoich". Ona po prostu tworzy karykaturę przeciwnika, którego nie sposób nie potępić. Wobec którego nie sposób nie przejść z odrazą na drugą stronę chodnika. Ten człowiek – jej symboliczny przyjaciel lub przyjaciółka z sylwestra 1999 r. – to dzisiaj byt odczłowieczony. Zwolennik jednopartyjnego państwa, niczym w bolszewickiej Rosji, hitlerowskich Niemczech i RPA czasów apartheidu. To człowiek, który dorwał się do „władzy, która mu się należała", następnie zaczął zwalniać „profesjonalistów i zatrudniać funkcjonariuszy partyjnych", budując „układ korzystny dla ludzi, którzy nie osiągnęli sukcesu", będących „wedle Kaczyńskiego lepszym sortem Polaków". Ów były przyjaciel Applebaum to człowiek, który walczy z postkomunizmem, który nie istnieje. Wszystko dlatego że „prawicowi intelektualiści z mojego pokolenia wciąż wyznają przekonanie o trwających wpływach i układach komunistycznych. Niektórym chyba pomaga to wytłumaczyć ich osobiste niepowodzenia lub zwykły brak szczęścia. Nie każdy dysydent z lat 70. ubiegłego wieku mógł po 1989 r. zostać premierem, autorem bestsellerów czy powszechnie szanowanym intelektualistą. Wielu z nich żywi więc palącą urazę". A skoro żywią urazę (i tutaj wracamy do punktu wyjścia), tworzą spiski. Smoleński, antysemicki, antyelitarny. Tylko my zostaliśmy latarnią na morzu obłudy – zdaje się krzyczeć z każdego akapitu swojego tekstu Applebaum. Tylko my nadal wiemy, co jest białe, a co czarne. Tylko my zasługujemy na miano elit.

Boże, jak oni mało zrozumieli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. FOTOLIA

Boom na markowe trunki

Polacy zmieniają swój stosunek do alkoholi, zastępując mniej szlachetne trunki tymi droższymi, nierzadko importowanymi z odległych zakątków globu

Ambra, lider rynku wina w Polsce i czołowy producent, importer oraz dystrybutor win w Europie Środkowej i Wschodniej, otwiera nową sieć sprzedaży alkoholi premium w ramach start-upu Distillers Limited. Ma przy tym ambitny plan, aby w ciągu kilku miesięcy uruchomić 29 punktów sprzedaży w całej Polsce.

– Distillers Limited to bezpośredni importer alkoholi z małych destylarni, często wyszukanych na końcu świata, „distillersów" zwariowanych na punkcie swojego produktu. Słowo „limited" w naszej nazwie oznacza niewielkich, niezależnych producentów, stanowiących przeciwwagę dla globalnych koncernów – tłumaczy ideę nowego biznesu Robert Ogór, prezes Ambry.

Punkty Distillers Limited oferować będą m.in. kraftowe whisky z Japonii czy whisky z Tajwanu, w którego gorącym i wilgotnym klimacie występuje przyśpieszona maturacja, w wyniku której nawet czteroletnie destylaty przypominają te 12-letnie ze Szkocji. Nie zabraknie też szkockich whisky z butikowych destylarni, a także alkoholu z najsłynniejszej kraftowej destylarni w Chicago, której koszerne, organiczne i bezglutenowe whiskey uzyskiwane jest z organicznych, często nietypowych dla tego trunku ziaren, jak np. prosa.

KONSUMENCKI RUCH ANTYKONCERNOWY

Decyzja o sprowadzaniu tak niszowych produktów to pochodna coraz większej fascynacji Polaków szlachetnymi trunkami z zagranicy i boomu na luksusowe alkohole. Najchętniej sięgamy po whisky, której rynek w ostatnich pięciu latach się podwoił. Wydatki konsumentów na ten rodzaj alkoholu przekroczyły już 2 mld zł (dane firmy Ambra) i wynoszą tyle samo co wydatki na wino. Popularność zyskują też gin i rum. W porównaniu z 2016 r. w 2017 r. sprzedaż ginu wzrosła o 11 proc., win musujących – o 9 proc., win spokojnych i rumu – o 6 proc., brandy – o 3 proc., a wódki – o 2 proc. Znaczne wzrosty w ciągu ostatnich lat zanotował też segment win, a prognozy wskazują dalsze optymistyczne perspektywy rozwoju.

– Rynek alkoholi rozwija się w powiązaniu z najważniejszym trendem rynków spożywczych: Polacy szukają produktów wysokiej wartości, autentycznych, nieprzemysłowych, regionalnych. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że to konsumencki ruch antykoncernowy – mówi Robert Ogór.

Dzisiaj rynek alkoholi luksusowych w Polsce jest jednym z szybciej rozwijających się segmentów dóbr luksusowych w kraju. Chociaż jest on wciąż stosunkowo niewielki w porównaniu z krajami Europy Zachodniej i stanowi zaledwie ułamek całego rynku alkoholowego w Polsce, to zdaniem autorów raportu „Rynek dóbr luksusowych w Polsce 2017", przygotowanego przez firmę KMPG, perspektywy wzrostu w najbliższych latach są bardzo obiecujące. Prognozy wskazują, że do 2021 r. polski segment alkoholi luksusowych może zanotować wzrost o 36 proc. i wynieść blisko 1,2 mld zł. Na razie w 2017 r. KPMG szacuje ogólną wartość polskiego rynku luksusowych alkoholi na 856 mln zł (195 mln euro), podczas gdy cały rynek alkoholi jej zdaniem wart jest 62,2 mld zł. Dla porównania: wartość rynku alkoholi luksusowych w Wielkiej Brytanii to prawie 2,5 mld euro, we Francji – 2,1 mld euro, w Niemczech – 993 mln euro, w Rosji – 946 mln euro, a we Włoszech – 898 mln euro.

Marta Szuma

eprasa.pl a980e6f3ab

Kurs na epidemię

Łukasz Zboralski

Spadek zaufania do szczepień już spowodował epidemie odry w UE, których nie notowano od lat. Antyszczepionkowców najszybciej przybywa w Polsce i Szwecji. Raport Komisji Europejskiej to poważne ostrzeżenie

To nie są przyjemne informacje dla tych, którzy uważają, że podważanie skuteczności szczepień albo promowanie ich dowolności jest wyższym poziomem rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Na wiedzę naukową są odporni – można do woli przedstawiać argumenty płynące z dotychczasowych wyników badań naukowych, wieloletnie statystyki dotyczące spadku zachorowań lub eliminacji chorób, a przeciwnicy szczepionek i tak będą przywoływać jedno badanie o rzekomym autyzmie (dawno odrzucone i wycofane z pism naukowych) oraz podważać korelacje spadków zachorowań i poziomu zaszczepienia populacji na wykresach czasowych.

Opublikowany właśnie przez Komisję Europejską raport „State of vaccine confidence in the EU 2018" pokazuje, że na takie przekonania ludzi wpływają manipulacyjne informacje w Internecie, słabsze wykształcenie i pokoleniowe oddalenie od tego, od czego uwolniły nas lata programów szczepień. Opracowanie to jest jednocześnie poważną przestrogą dla Europy.

GROŹNE POKOLENIE

Opracowanie dla KE oddaje głównie poziom zaufania do szczepień – rozumiany jako przekonanie o medycznym sensie immunizacji – oraz to, że są bezpieczne. To największe w historii badanie postaw wobec szczepionek w UE. Postawy wobec szczepień zestawiono też z danymi na temat poziomu wyszczepienia populacji (jaki odsetek ludzi jest zaszczepionych) i występowaniem epidemii.

Wnioski są niepokojące. Od lat w Europie przybywa ludzi, którzy odmawiają zaszczepienia dzieci. Dlaczego? Jedną ze wskazówek jest to, że w badaniu okazało się, iż młodzi dorośli (18–24 lata) są zdecydowanie bardziej sceptycznie nastawieni do szczepień niż ludzie starsi. Mamy więc problem pokoleniowy. Zapewne postawa tej generacji wynika m.in. z tego, że nie pamięta chorób, które szczepienia wyeliminowały.

Liczba podania pierwszej dawki szczepionki przeciw odrze (zwykle to szczepionka skojarzona MMR – przeciw odrze, różyczce i śwince) od 2000 r. zmalała w sumie w 12 krajach Unii. Zdaniem autorów raportu to dlatego w ubiegłym roku liczba potwierdzonych przypadków zachorowań na odrę sięgnęła w Europie poziomów nienotowanych od 2010 r. Większość chorych (86 proc.) była we Francji, w Grecji, we Włoszech, w Rumunii i Wielkiej Brytanii. To kraje, w których wyszczepienie spadło poniżej progów uznawanych medycznie za zabezpieczenie całej populacji – czyli poniżej 93–95 proc. Dzisiaj 17 państw UE ma jeszcze bezpieczny poziom wyszczepienia mieszkańców, ale w ośmiu z nich odsetek zaszczepionych od 2010 r. spadał – na tej liście są Polska oraz Bułgaria, Finlandia, Grecja, Litwa, Słowacja i Hiszpania.

Dlaczego nowe pokolenie dorosłych Europejczyków przestało ufać szczepieniom? Autorzy raportu wśród przyczyn wymieniają m.in. używanie tego tematu

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl a980e6f3ab

w politycznych kampaniach oraz dezinformację w mediach społecznościowych.

Już wiadomo, że powielanie mylnych informacji w Internecie to nie tylko skutek tego, że ludzie piszą tam wszystko, bez podania źródeł – a inni, zwłaszcza znajdujący się w tych samych bańkach informacyjnych, pomagają się takim informacjom bezkrytycznie rozprzestrzeniać. Działa tu jeszcze coś. W Stanach Zjednoczonych udało się to wykryć. American Public Health Association od czerwca 2014 r. do września 2017 r. prowadziło analizy źródeł informacji antyszczepionkowych, głównie na Twitterze. Sprawdzono blisko 2 mln tweetów dotyczących wątpliwości w sprawie szczepień. Aż 93 proc. z nich mogło zostać wyprodukowanych przez rosyjskie boty lub rosyjskich trolli internetowych.

POLSKI PROBLEM

Nie wiadomo, jaki wpływ na Polaków odwracających się od szczepień ma internetowa propaganda – i czy ktoś ją wspomaga. Takich analiz nikt nie próbował przeprowadzić. Druga kwestia – podważanie obowiązku szczepień w politycznej debacie – jest u nas, niestety, mocno obecna. Temat pojawił się w ostatniej kampanii samorządowej, tej najgłośniejszej, bo warszawskiej. Rafał Trzaskowski (PO) przypominał, że jego rywal Patryk Jaki (PiS) wspierał ruchy antyszczepionkowe. W rzeczywistości wiceminister sprawiedliwości w 2017 r. interweniował w sprawie ograniczenia władzy rodzicielskiej rodzicom, którzy odmówili szczepienia dzieci. Prawdą jest natomiast, że w piśmie m.in. do Głównego Inspektora Sanitarnego argumentację wybrał niezbyt szczęśliwie. „Postępowanie w zakresie przymuszania do szczepień stanowi dyskryminację obywateli RP w stosunku do pozostałych mieszkańców Unii Europejskiej" – pisał Jaki. I dodawał: „Co więcej, podać można przykład Ukrainy, w stosunku do obywateli której od kilku dni istnieje praktycznie nieograniczona możliwość przemieszczania się po terytorium Polski oraz Unii Europejskiej. Na Ukrainie nie ma jednocześnie obowiązku przeprowadzania szczepień. Tym samym nawet obywatele spoza UE mają w przedmiotowym zakresie więcej praw niż obywatele RP".

I choć Patryk Jaki w kampanii zdecydowanie podkreślał, że nie jest przeciwny szczepieniom, to jego partia wykonała znów ruch, który uwiarygodnił ruchy antyszczepionkowe na poziomie państwowym. Prawo i Sprawiedliwość na początku października zagłosowało za przyjęciem do prac w Sejmie obywatelskiego projektu ruchu STOP NOP znoszącego powszechny obowiązek szczepień (Patryk Jaki zagłosował w tej sprawie akurat przeciw, razem z czterema innymi posłami PiS). Za przyjęciem projektu zagłosowali też wszyscy posłowie z ugrupowania Kukiz'15. Politycy pytani o powody takiej decyzji jako główny argument podawali fakt, że każdy pomysł obywateli należy poddać pod dyskusję. To niebezpieczna logika – zgodnie z nią trzeba by do prac w sejmowych komisjach automatycznie dopuszczać np. przyszłe projekty ludzi uważających, że Ziemia jest płaska (tych w sieci przybywa równie szybko jak antyszczepionkowców).

Polityczna nieodpowiedzialność, a także np. wcześniejsze lobby koncernów farmaceutycznych, które na fali ptasiej grypy próbowało przekonać rządy wielu krajów do zakupu szczepionek – które, jak się okazało – były zbędne (tu warto przypomnieć, że polski rząd PO-PSL tej presji się oparł) – doprowadziły do tego, że Polska jest jednym z krajów, w których najszybciej przybywa wątpiących w skuteczność i bezpieczeństwo szczepień. Efekt jest widoczny. Jak wynika z danych Państwowego Zakładu Higieny, w 2010 r. było w Polsce niewiele ponad 3,4 tys. przypadków odmowy szczepień. W ubiegłym roku padł rekord – odnotowano blisko 31 tys. odmów.

Według raportu dla KE Polska jest krajem, w którym najmniejszy odsetek badanych zgadza się z poglądem, że szczepionki są ważne dla dzieci – uważa tak 75,9 proc. Wśród krajów o najmniejszym odsetku ludzi o tym przekonanych są jeszcze Bułgaria (78,4 proc.) i Słowacja (85,5 proc.).

ANTYSZCZEPIONKOWCY MUZUŁMAŃSCY

Drugim krajem z najsilniejszym antyszczepionkowym trendem w UE jest Szwecja. Ten kraj ma najmniejszy odsetek osób, które uważają, że szczepionka MMR jest bezpieczna dla dzieci – to zaledwie 59 proc. Najmniej boją się szczepionek Portugalczycy. W ich bezpieczeństwo ufa tam 95,1 proc., a 97,2 proc. badanych w tym kraju uważa, że szczepionka MRR jest ważna dla zdrowia dziecka.

Raport dla KE badał też zależności społeczne i religijne. Wiadomo z ankiet, że Rosjanie oraz ludzie wyznania prawosławnego mniej ufają szczepieniom niż ateiści czy gnostycy. Najmniej przekonane o skuteczności i bezpieczeństwie szczepionek okazały się jednak osoby identyfikujące się jako muzułmanie. Widoczny rozdźwięk w podejściu do szczepień muzułmanów wobec innych grup obywateli zaobserwowano m.in. we Francji, w Belgii czy Wielkiej Brytanii.

Szwecja jest dla badaczy przypadkiem szczególnym, bo kraje skandynawskie tradycyjnie stanowiły przykład skutecznych programów szczepień. Tymczasem właśnie w Szwecji (i np. w Finlandii) od 2015 r. nastąpiło zauważalne tąpnięcie w zaufaniu do szczepień. Zdaniem autorów raportu dzieje się tak dlatego, że niewielkie grupy w Skandynawii mają duży wpływ na opinię publiczną. Do tego wiadomo, że Szwecja raportowała problemy związane ze szczepieniem MRR w niektórych społecznościach – m.in. w grupach somalijskich oraz nielegalnych uchodźców.

Polska jest krajem, w którym najmniejszy odsetek badanych uważa, że szczepionki są ważne dla zdrowia dzieci

Jakie płyną z tego wnioski dla Europy, a przede wszystkim dla Polski?

Według raportu w tych krajach UE, które zostały dotknięte epidemiami odry, ludzie znów nabierają zaufania do szczepionek. Na to wpływ miały zresztą nie tylko same zachorowania – część rządów zaczęła wówczas szczepionkową politykę kontrreformacyjną – np. Włosi uchwalili ustawę, która pozwala przyjmować do publicznych przedszkoli i szkół tylko dzieci, które zostały zaszczepione.

Polska, poprzez bliskość z Ukrainą, gdzie epidemie odry się pojawiają (i z ok. 2 mln imigrantów z tego kraju nad Wisłą), przez antyszczepionkowców i polityków narażona jest mocno na to, że też odbierze lekcję na temat zaufania do szczepionek w postaci epidemii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

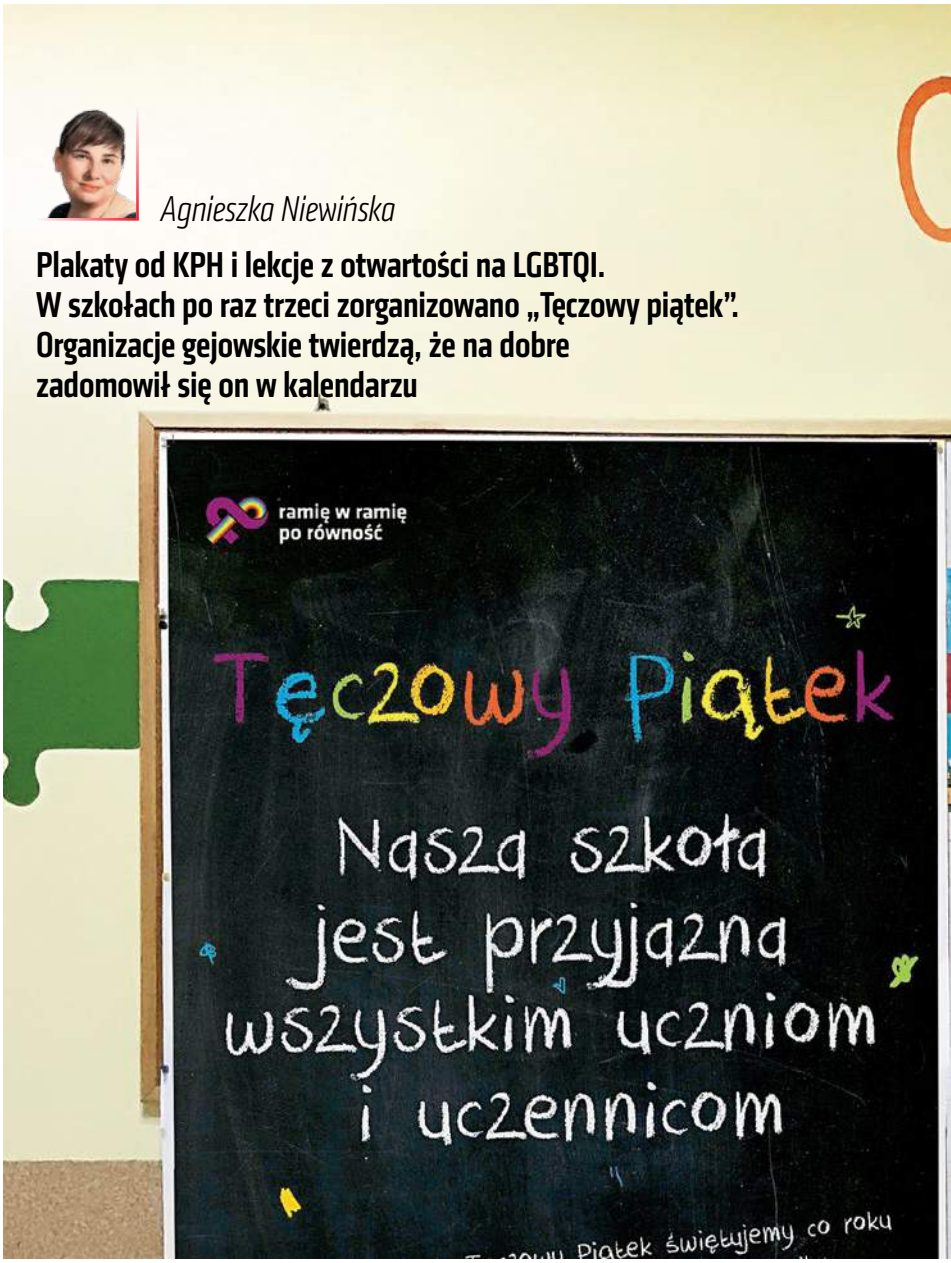

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tęczowa klasa

Agnieszka Niewińska

Plakaty od KPH i lekcje z otwartości na LGBTQI. W szkołach po raz trzeci zorganizowano „Tęczowy piątek". Organizacje gejowskie twierdzą, że na dobre zadomowił się on w kalendarzu

Tęczowe gadżety – plakaty do wywieszenia w klasach i na korytarzach, przypinki dla nauczycieli wspierających ruch gejów i lesbijek – w ubiegłym tygodniu trafiły do przeszło 200 szkół w całej Polsce. To dary od Kampanii przeciw Homofobii (KPH), która już po raz trzeci zorganizowała w polskich szkołach „Tęczowy piątek".

Organizacja twierdzi, że w każdej klasie jest co najmniej jedna osoba homoseksualna, biseksualna lub transpłciowa, a homofobia w placówkach edukacyjnych jest poważnym problemem, dlatego corocznie namawia szkoły, by zgłaszały się do udziału w tęczowym przedsięwzięciu zaplanowanym na ostatni piątek października. – „Tęczowy piątek" to akcja, która powstała z troski o bezpieczeństwo i dobro młodzieży szkolnej. To wartość powszechna i podobne inicjatywy mają miejsce w szkołach na całym świecie – twierdzi Joanna Skonieczna z KPH. – Każdego roku coraz więcej szkół bierze udział w „Tęczowym piątku". W 2016 r. było to 70 szkół, w 2017 – 150. W tym roku akcję zdecydowało się zorganizować 211 placówek – wylicza, dodając, że zgłoszenia szkół spływały do ostatniej chwili.

OSCAR WILDE I JEGO PARTNER

„Tęczowy piątek" z założenia nie ogranicza się jedynie do oplakatowania szkoły i oznaczenia przypinkami pedagogów przyjaznych osobom LGBT. KPH zapowiedziała bowiem, że w tęczowym dniu głównym tematem lekcji ma być akceptacja oraz otwartość na uczniów i uczennice nie tylko LGBT, ale jeszcze Q oraz I (osoby queer i interpłciowe). W tym celu szkołom obok pakietu tęczowych gadżetów wysłano też broszury i publikacje.

W jednej z nich KPH instruuje, jak być „sojusznikiem i sojuszniczką osób LGBT". W innej radzi, jak prowadzić zajęcia dla uczniów. „Uzupełnij program prowadzonych przez siebie lekcji o informacje dotyczące orientacji seksualnej i tożsamości płciowej. Wystarczy, że np. mówiąc o Oscarze Wildzie, wspomnisz o jego związku z lordem Alfredem Douglasem i o tym, jak to, że był gejem, wpływało na jego twórczość" – czytamy w przewodniku dla nauczycieli „Młodzież LGBTQ w mojej szkole może na mnie liczyć!". Broszurka zaleca także pedagogom, by zgłaszali się po materiały pomocnicze do lokalnych organizacji LGBT, i odsyła ich na stronę KPH.

W pakiecie dla szkół znalazła się także publikacja KPH „My rodzice. Pytania i odpowiedzi rodziców lesbijek, gejów i osób biseksualnych". KPH tłumaczy w niej np. że rodzic oszołomiony informacją, że jego dziecko to gej lub lesbijka, może mieć mylne wyobrażenie o homoseksualistach jako tych, którzy „»werbują« do swojego »stylu życia«". KPH uspokaja: „Nikt nie »uczynił« twego dziecka homoseksualnym. On lub ona prawdopodobnie od dawna wiedział/a, że jest inny/a – żadna grupa ani osoba go/jej nie »zdeprawowała«". Publikacja podsuwa też wiele wyjaśnień dla rodziców katolików. „Sam Jezus nigdy nie wypowiadał się na temat miłości do tej samej płci – ani w ustach Jezusa, ani w wypowiedzi żadnego z dwunastu apostołów nie znajdziemy żadnej wzmianki o homoseksualności" – czytamy w „My rodzice…". Publikacja objaśnia także, że Kościół katolicki obok zachowań homoseksualnych

eprasa.pl a980e6f3ab

potępia wiele innych: „masturbacja, antykoncepcja, seks przed- i pozamałżeński. Rzeczywistość społeczna rządzi się jednak własnymi prawami – osoby heteroseksualne żyją w konkubinatach, rozwodzą się i ponownie pobierają, używanie prezerwatyw jest powszechnie propagowane przez instytucje zajmujące się profilaktyką HIV/AIDS. Moralne sądy Kościoła są w tak wielu kwestiach nagminnie przez katolików ignorowane, a w tej jednej miałyby mieć absolutną moc wiążącą?".

Nie wiadomo, jak nadesłane przez KPH broszury wykorzystali nauczyciele i które przedmioty z planu lekcji zostały zastąpione antydyskryminacyjnymi zajęciami w ramach „Tęczowego piątku". KPH nie chce nawet podać listy szkół, które włączyły się do akcji. – Każda szkoła sama decyduje, jak ma wyglądać „Tęczowy piątek". Wierzymy, że to społeczność szkolna najlepiej zna własne potrzeby i w zgodzie z nimi dostosuje poszczególne aktywności do planu zajęć – twierdzi Skonieczna. – Informowanie rodziców o tym, jakie aktywności realizowane są w szkole, leży po stronie placówki. Jesteśmy przekonani, że tam, gdzie odbywa się „Tęczowy piątek", rodzice o tym wiedzą.

MEN: RODZIC MOŻE SIĘ SPRZECIWIĆ

Informacje o akcji KPH w szkołach wzburzyły tych spośród rodziców, którzy nie chcą, by to KPH decydowała o szkolnej agendzie. – Uprzedzaliśmy rodziców o tym, że środowiska LGBT szykują kolejną odsłonę akcji „Tęczowe piątki". Byli tym zaniepokojeni, bo to nachalna propaganda skierowana do dzieci i to poza plecami rodziców, którzy mają prawo wychowywać dziecko zgodnie ze swoimi przekonaniami. Szkoła powinna być bezpiecznym miejscem dla dziecka, a nie miejscem ideologicznej agitacji. Organizacje, które dążą do celów sprzecznych z tym, co mamy zapisane w konstytucji czy ustawie oświatowej – do zniszczenia struktur społecznych, małżeństwa, rodziny – nie powinny być w ogóle na teren szkół wpuszczane. I to niezależnie od tego, czy na ich obecność zgodziła się dyrekcja, czy rada rodziców – mówi Magdalena Trojanowska z inicjatywy Stop Seksualizacji Naszych Dzieci.

Co na to MEN? „Tęczowym piątkom" zamierza się przyglądać. Jak informuje rzeczniczka resortu Anna Ostrowska, zgodnie z prawem stowarzyszenia i organizacje – z wyjątkiem partii i organizacji politycznych – mogą działać w szkołach i placówkach oświatowych. – Jest to możliwe, jeżeli celem statutowym działających w szkole stowarzyszeń i organizacji jest działalność wychowawcza albo rozszerzanie i wzbogacanie form działalności dydaktycznej, wychowawczej i opiekuńczej szkoły lub placówki – tłumaczy Ostrowska.

KPH w swoim statucie szeroko opisuje cele wychowawcze. Ma w nim zapisane choćby „oddziaływanie wychowawcze na nieletnich" czy „poprawę jakości edukacji i dostępu do rzetelnej wiedzy o różnorodności orientacji seksualnych".

Anna Ostrowska przypomina jednak, że wejście do szkoły takiej organizacji jak KPH wymaga uzyskania zgody dyrektora, wyrażonej po uprzednim uzgodnieniu warunków tej działalności oraz po uzyskaniu pozytywnej opinii rady szkoły lub placówki i rady rodziców. – Rodzice mają prawo do decydowania o tym, jakie organizacje i z jakimi inicjatywami będą obecne w szkole – tłumaczy rzeczniczka. – Jeśli wiedzą o tym, że dziecko w szkole uczestniczy w wydarzeniu niezgodnym z ich wartościami, mają oni prawo wyrazić swój stanowczy sprzeciw. W razie wątpliwości mają również prawo zgłosić się do kuratorium oświaty – podkreśla rzeczniczka MEN.

Tyle że organizacje rodzinne od kilku lat zwracają uwagę, że politycy całą odpowiedzialność zrzucają na rodziców, którzy i tak są obciążeni wieloma obowiązkami. A seksedukatorzy, organizacje LGBT, stowarzyszenia promujące gender są na tyle aktywne, że rodzic, by uniknąć niechcianych przez niego zajęć, musi nieustannie dowiadywać się, czy szkoła nie ma w planach spotkania o tematyce LGBT albo równościowego teatrzyku. – PiS, odkąd przejął władzę, nie zrobił niczego, by zabezpieczyć dzieci przed inwazją środowisk LGBT. Efekt jest taki, że wchodzą one do szkół jak w masło. Rząd nie może wychodzić z założenia, że to rodzice obronią szkoły. To nie jest poligon, na którym konserwatywni rodzice mają walczyć z liberalnymi. Trzeba stworzyć zabezpieczenia prawne, które uniemożliwią takie działania na terenie szkół – uważa Magdalena Trojanowska.

OBOWIĄZEK ZNIKNĄŁ Z ROZPORZĄDZENIA

MEN w ogniu krytyki znalazł się już w lutym, kiedy instytut Ordo Iuris zaprezentował swój raport podsumowujący kampanię „Chrońmy dzieci". W czasie trwania akcji do instytutu wpłynęło przeszło pół tysiąca zgłoszeń od rodziców zaniepokojonych zajęciami prowadzonymi w szkołach przez organizacje zewnętrzne. W 40 szkołach dopuszczono warsztaty genderowe. W przypadku 57 proc. zgłoszonych szkół dyrektorzy nie wiedzieli nawet, na jakiej podstawie organizacje pozarządowe mogą działać na terenie szkoły, więc nie występowali o opinię rodziców na temat proponowanych dzieciom zajęć.

Prawnicy instytutu zwrócili jednak uwagę, że w czasie trwania ich akcji minister Anna Zalewska usunęła z rozporządzenia zapis o obowiązku przeprowadzania w szkołach „działań antydyskryminacyjnych". W efekcie dyrektorzy nie muszą już zapraszać organizacji z antydyskryminacyjnymi programami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

Krzysztof Masłoń

„Bezsennością w czasie karnawału" żegna się z nami pisarsko Janusz Głowacki

Głowa na Krakowskim Przedmieściu

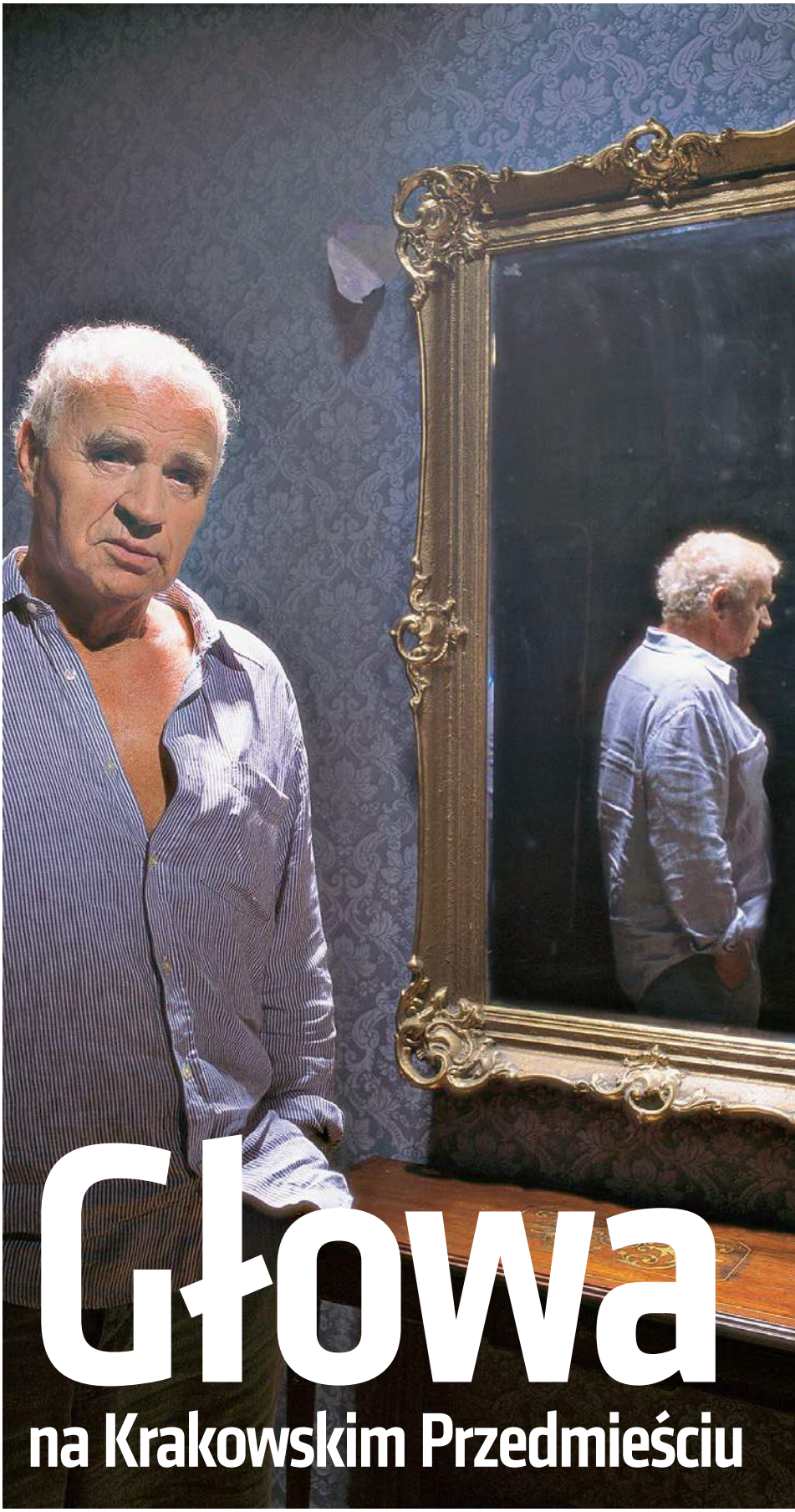

FOT. ROBERT LASKA/FORUM

Książka to niewielka, pisana ponoć równolegle ze scenariuszem wyreżyserowanej przez Pawła Pawlikowskego „Zimnej wojny", której sukcesu pisarz – zmarły latem zeszłego roku w wieku 78 lat – niestety, nie doczekał. O powodzenie „Bezsenności…" też jestem spokojny, Głowackiego czytano przecież od zawsze, a nowa, wydana nakładem W.A.B. książka nawiązuje wprost do bestselleru tego autora z początków naszego wieku „Z głowy". Pozornie jest też w niej to wszystko, za co polubili go czytelnicy: osadzenie we współczesnych realiach, celność obserwacji, barwny język, ironia z sarkazmem pospołu, dowcip. Że jednak żyjemy w społeczeństwie niesłychanie rozpolitykowanym, to i Głowa dał się ponieść politycznym emocjom, z fatalnym dla „Bezsenności w czasie karnawału" skutkiem.

Jednak po kolei… Anegdot w „Bezsenności…" jest jakby mniej, niż wcześniej bywało, niektóre mają niedługą, ale wyraźną brodę, częściej za to wychwytujemy zaakcentowaną w tej opowieści nutę jak nie tragizmu, to nostalgii. Wątki osobiste wyraźnie nawiązują do pamiętnej kody finalizującej „Z głowy", wzruszającego rozdziału o matce pisarza.

Z zaciekawieniem przeczytałem np. wspomnienia Głowy ze sławnej Partumiarni, jak od nazwiska głośnego przed laty plastyka, poety i happenera (nie znano wtedy jeszcze tego określenia) Andrzeja Partuma nazywano winiarnię czy raczej spelunę na Krakowskim Przedmieściu. Sam poznałem pana Andrzeja już później, u Plastyków przy Mazowieckiej, gdzie też rozsadzał swą witalnością skromne wnętrze kawiarni Domu Artysty Plastyka.

KTO KOGO SPALIŁ W JEDWABNEM

Wspomnienia Głowackiego są, jak można było się spodziewać, odpowiednio nasycone barwami, zdziwiła mnie wszakże pomieszczona na

eprasa.pl a980e6f3ab

marginesie tego opisu następująca refleksja: „W dwudziestym pierwszym wieku, mimo że to początek, u nas same wątpliwości. To znaczy to, jak pić denaturat, żeby nie oślepnąć, wie każde dziecko, ale kto spalił kogo w Jedwabnem – Polacy Żydów czy Żydzi Polaków – to już niekoniecznie, żeby nie wpuszczać uchodźców, bo roznoszą wszystko, co najgorsze, to wiadomo, ale gdzie i jak umarł Mickiewicz, i za co, to już nie". No cóż, w sławnym poemacie „Moskwa – Pietuszki" Wieniedikta Jerofiejewa podobne przemyślenia brzmiały tak (w przekładzie Andrzeja Drawicza): „Sposobu oczyszczania politury nie będę wam przypominać, bo zna go każde dziecko. W Rosji nikt dlaczegoś nie zna przyczyny śmierci Puszkina, natomiast sekret oczyszczania politury znają wszyscy". Nie ukrywam, że wersja rosyjska, nie tylko dlatego, że wcześniejsza, podoba mi się bardziej, zwłaszcza w oryginale, w którym mowa jest – jeśli dobrze pamiętam – nie o denaturacie, nie o politurze, ale o zwieroboju.

A o Wieniczce Jerofiejewie opowiada Głowa kilkadziesiąt stron dalej, jak to poznał go „podczas pierwszej w życiu podróży z Nowego Jorku do Moskwy w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, na fali odnowy. On już był po ciężkiej operacji, mówił, przykładając do krtani upiorny pistolet, a jego żona co piętnaście minut podsuwała mu pół szklanki koniaku.

I dopiero niedawno dowiedziałem się, że kiedy umarł, bohaterowie jego poematu »Moskwa – Pietuszki«, z którymi przejeździł trzy lata, mieszkając w pociągach, rzucili się na tę biedną kobietę, żądając kasy za książkę, której czuli się współautorami, i tak ją wymęczyli, że skoczyła z balkonu malutkiego mieszkanka w bloku". Jakkolwiek dziwnie to brzmi, trochę mi tego mało.

CZY MOŻE KTOŚ UMARŁ

Z anegdot spodobała mi się jedna o Julianie Stryjkowskim, że jak tańczył, to – z oszczędności – liczył kroki, i o poranku u państwa Pendereckich, gdy „genialny kompozytor pije kawę, a jego piękna żona przegląda nekrologi, żeby sprawdzić, czy może umarł ktoś, dla kogo warto mszę napisać". Trochę mało, a reszta wydała mi się znajoma.

Pamiętając o tym, co Głowacki napisał przed laty o swoich plagiatach i autoplagiatach, ani mi, nomen omen, w głowie oskarżać pisarza o takie poczynania. Przypomnę zresztą tamten wywód: „Kilkadziesiąt lat temu wydrukowałem w »Dialogu« swoją pierwszą sztukę pt. »Cudzołóstwo ukarane«. […] też była ściągnięta, tym razem z mojego własnego opowiadania »Kuszenie Czesława Pałka«. Zaraz potem, ku mojej radości, teatr w Rostocku zawiadomił, że chce ją wystawić. Poproszono jednak, żebym przed rozpoczęciem prób przyjechał do NRD i spotkał się z zespołem. Na spotkaniu, które odrobinę przypominało przesłuchanie, czyli właśnie moją sztukę, pod koniec zadano mi znajome pytania: dlaczego ośmieszam wszystkich, gdzie nadzieja i kto jest pozytywnym bohaterem sztuki? Odpowiedziałem, że publiczność. Tydzień później do ZAiKS-u przyszła wiadomość, że po spotkaniu z autorem uznano wystawienie mojej sztuki za niemożliwe".

W książce „Z głowy" na upartego ktoś też mógł doszukać się nazbyt czytelnych odniesień do, choćby, „Pięknych dwudziestoletnich" Marka Hłaski. Gdy, dajmy na to, pisał o Jerzym Andrzejewskim w te słowa: „Jerzy był wtedy po »Bramach raju« i »Idzie skacząc po górach«. Zabierał się do »Miazgi« i był w świetnej formie pisarskiej", to kontynuował „Pięknych…", tyle że powstałych prawie 40 lat później.

POSIERPNIOWY SCEPTYCYZM

Nie wszystkie pomysły prozatorsko-scenariuszowe (sztuki teatralne bronią się najlepiej) Głowy były udane. Czasem wplątywał się w przedsięwzięcia nader wątpliwe, takie jak położenie literackiego fundamentu pod „Wałęsę – człowieka z nadziei" czy raczej „z beznadziei". W tym miejscu pozwolę sobie na osobisty przyczynek do tej sprawy.

W 2009 r. zrobiłem z Januszem Głowackim wywiad, który położył kres naszej znajomości, wcześniej obiecującej, że wspomnę tylko swoją laudację, którą wygłosiłem pięć lat wcześniej na Foksal, w Domu Dziennikarza, z okazji wydania przez Świat Książki „Z głowy", po czym dłoń mi ściskał wylewnie sam Adam Michnik, dziś myślący pewnie o tamtym wydarzeniu ze zrozumiałym obrzydzeniem. Pisarz zaszczycił też swoją osobą promocję mojego zbioru tekstów opublikowanych pod wdzięcznym tytułem „Żydzi, Sowieci i my", po której ochoczo opróżniliśmy baterię wódek czystych w towarzystwie m.in. Marka Nowakowskiego, o którym w swojej pośmiertnie teraz wydanej „Bezsenności w czasie karnawału" stwierdził Głowa – z jakąż finezją! – że „pisał kiedyś naprawdę świetnie o Benku Kwiaciarzu czy tym starym złodzieju, a potem się kosztem literatury w ideologa prawicy zamienił".

Odnośnie zaś do wspomnianego wywiadu, który pod tytułem „Gołego patosu nie zauważyłem" ukazał się w marcu 2011 r. w „Rzeczpospolitej", to pierwotnie miał on towarzyszyć edycji „Moc truchleje" w serii wydawniczej Oficyny Volumen i Bellony „Kanon Literatury Podziemnej". Tekst został autoryzowany, tyle że jego druk w „Rz" po tym, gdy Głowa napisał scenariusz do filmu Wajdy o Lechu Wałęsie, nabierał dodatkowego smaku. Zwłaszcza że wszyscy dobrze pamiętali słowa Wajdy, że u Wałęsy on może być nawet szoferem, Głowacki zaś nie krył swojego sceptycyzmu zarówno do przywódcy Solidarności, jak i do tej ostatniej w ogóle. Czemu dał wyraz właśnie w niewielkiej powieści „Moc truchleje", okastrowanej przez cenzurę tak, że nie mogła się ukazać oficjalnie, w „Twórczości", przez opozycję zaś przyjętej bardzo niechętnie, o ile nie z oburzeniem.

KOLEJNY ODCINEK SERIALU

We wspominanym przeze mnie wywiadzie Głowa mówił: „– Mnie się w »Mocy...« najbardziej podoba to, co wymyśliłem, i dlatego jej pierwsza część wydaje mi się ciekawsza. Bo jeśli chodzi o sam przebieg strajku, to pisząc książkę, miałem złudne poczucie, że wiem więcej od innych, bo byłem tam – na miejscu. Nie wziąłem pod uwagę tego, że wszyscy będą pisać to samo i od strony informacyjnej ulegnie to dewaluacji.

– Będę bronił książki przed autorem, bowiem choć wszyscy pewnie widzieli to samo, to jednak nie zauważyłem, by poza panem ktoś zwrócił wtedy uwagę na znamienny fakt. Otóż, w trakcie strajku Lech Wałęsa nagle rozchorował się, miał 40 stopni gorączki, był niemal półprzytomny, ale pamiętał o jednym – by, nie daj Boże, nie wyznaczono mu następcy.

– No tak... Wydawało mi się też interesujące, że jakieś ważne posiedzenie Komitetu Strajkowego zostało przesunięte o godzinę, bo w telewizji nadawany był kolejny odcinek popularnego serialu »Pogoda dla bogaczy«. Sytuacje

eprasa.pl a980e6f3ab

dramatyczne zawsze sąsiadują z komicznymi – przynajmniej tak to widzę. Nigdy nie ma samego patosu.

– Gdański strajk niemal fizycznie sąsiadował z odbywającym się jakby nie do końca jawnie Festiwalem Piosenki w Sopocie, na którym Izabela Trojanowska śpiewała charakterystyczny dla tamtego czasu przebój: »Tyle samo prawd, ile kłamstw«.

– Dodam, że delegacja prostytutek, która przybyła do stoczni, by prosić o wypuszczenie na ląd trzymanych na redzie marynarzy tych państw zachodnich, których związki popierają nasz strajk – nie była, jak można się spodziewać, wyłącznie moim wymysłem".

Niezależnie od tego, jak później Głowacki tłumaczył się ze swojego udziału w „Wałęsie – człowieku z nadziei", tego było nadto i pisarz nawet list do „Rzeczpospolitej" sprokurował, niezadowolony z tego, że wydrukowano to, co powiedział w końcu nie tak dawno. Do tego jeszcze publikacja miała miejsce w gazecie, z którą po wygranych przez PiS wyborach było już mu nie po drodze. Ideologiem lewicy laickiej wprawdzie nie został, bo ten etat był od dawna zajęty, wystarczało mu członkostwo w komitecie honorowym poparcia Bronisława Komorowskiego, najważniejsze jednak, że pisał dalej, jak mniemał, wciąż świetnie, z czym jednak kłóci się m.in. jego nad miarę nagłośniona i nasłodzona powieść o Jerzym Kosińskim „Good Night, Dżerzi".

SIEBIE TEŻ MI NIE ŻAL

Głowacki przez lata przyzwyczaił nas, że swoim niepowtarzalnym poczuciem humoru potrafił zrównoważyć nawet swoje najbardziej ryzykowne pomysły. Pamiętają państwo, jeśli nie z opowiadania, to z filmu Wajdy „Polowanie na muchy" brawurową scenę, w której synek bohatera opowiada o tym, jak dziadziuś pierdnięciem uratował armię Andersa. No był w tym cały beznadziejny antypatriotyzm tzw. szkoły polskiej, ale można było tę scenę odebrać jako parodystyczną, a wreszcie była nieodparcie śmieszna, a śmiech jak nic innego potrafi rozładować nawet najbardziej stężałą atmosferę. W „Bezsenności w czasie karnawału" nie jest już śmiesznie, wręcz przeciwnie. I to od pierwszej strony książki, zaczynającej się od rozdziału „Karnawał 2017" i od tych słów: „Siedzę przy oknie i razem z całą cywilizowaną Europą popijam espresso. Mróz, mgła, śnieg, miasto blade jeszcze po nocy, a Wisła póki co pod lodem. Na parapecie wrony i mewy się tłuką o coś, co wysypałem dla wróbli, czarno-biała pląsawica, wrzaski i kłapanie dziobów. Wróble są w ogóle bez szans. Szare kulki, przycupnięte na gałęziach, boją się poruszyć. Żal mi ich, ale niech zdychają. O co chodzi? To nie są czasy dla małych, siebie też mi nie żal, a co, one mnie żałują? Jak im się nie podobało, to trzeba było wypieprzać z Polski.

Z Krakowskiego Przedmieścia słychać krzyki, może radosne, a może nie. Może ślub albo kondukt żałobny czy chrzciny, albo biczownicy spod krzyża się cieszą z odzyskanej niepodległości, a może to nasi dopadli Syryjczyka? Karnawał w pełni, to w każdym razie pewne.

Czyli popijam sobie razem z całą cywilizowaną Europą espresso i się zastanawiam, czy jak człowiek długo pożył i się napatrzył, to się ma jeszcze prawo uważać za przyzwoitego czy już niekoniecznie. Przecież nawet świnia by się wyrzygała".

Trwa zatem to womitowanie, na całego, z samych trzewi. „Krzyki na Krakowskim Przedmieściu ucichły, teraz słychać śpiewy. Nie grzeszne, cielesne, obmierzłe, niskie, wypatroszone z wyższych uczuć, ale romantyczne, moralne i religijne, jak nasze polskie patriotyczne pieśni »Trąbo nasza, wrogom grzmij« na przykład. Aż się chce wyjść z domu. […] Na wszelki wypadek ubiorę się tak, żeby nie zwracać uwagi, bo po co? Jak wspomniałem, nie wszyscy mnie lubią. Kiedy pisałem scenariusz dla Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie, to mnie pod krzyżem chcieli »zajebać«, że »jestem zdrajcą«. Teraz przeszedłem głębszą przemianę. Już wiem, że się dałem Wałęsie oszukać, bo Wałęsy w Stoczni nie było i zdaje się, że to w ogóle postać fikcyjna. Ale ci, co biją, są pewnie zajęci i mogli przegapić moje nawrócenie", „… w dole słyszę ciężkie oddechy tłumu. Pierwszy ma twarz uduchowioną, a na plecach puchowej kurtki modny ostatnio napis: »Wolna Polska bez Michnika i Wyborczej«. Idzie szybko, nie sapie, tylko mówi, chociaż po sześćdziesiątce chyba jest. A za nim ledwo nadąża dwóch dużo młodszych i zasłuchanych. Jeden ma pod pachą zwiniętą naszą biało-czerwoną. Też przyspieszam – ze wstydu, że się wlokę. Jeszcze pomyślą, że się nie nadaję. Słyszę, że dyskutują na ważne polskie tematy, którymi żyje Europa i cały świat, czyli ten najstarszy mówi:

– My, Polacy, mamy swoje wartości oparte na prawie rzymskim i chrześcijańskiej moralności.

A ten z flagą potakuje:

– Tak jest, jebać brudasów, jebać dzikusów.

– Gardzę wszystkimi, ale chcę, żeby mnie kochali i podziwiali, bo cały świat obserwuje z zapartym tchem, jak się z kolan podnosimy.

– Tak jest, jebać brudasów, jebać dzikusów".

JANUSZ GŁOWACKI „BEZSENNOŚĆ W CZASIE KARNAWAŁU" W.A.B. 2018

JAK SIĘ WIERZYŁO ATTYLI

I tak dalej, i temu podobne: kpinki z prezydenta przetykane po raz enty cytowanym Himilsbachem, a na koniec opis snu z jakże wdzięcznymi dwuwierszami: „Dziś są Żydów imieniny, niech się palą skurwysyny!", „Jarosław, Polskę zbaw!", „Cała Polska śpiewa z nami, wypierdalać z uchodźcami!", „Żydzi, zwróćcie pieniądze za gaz!".

Kto nadał literaturze przymiotnik „piękna"? Szkoda, że tego rodzaju nie za mądre pytania nasuwają mi się po lekturze ostatniej książki Janusza Głowackiego. Autora „Wirówki nonsensu" i „Polowania na karaluchy", „My Sweet Raskolnikow" i „Antygony w Nowym Jorku". Tego samego, który przed już strach pomyśleć ilu laty opublikował w „Kulturze" (warszawskiej) felieton „Attyla, czyli śmierć liberała", na pozór o sławnym wodzu Hunów, który ze swym ludem miał „prowadzić polemikę z rozwiązaniami estetycznymi upadającego Rzymu", a ponadto radykalnie rozwiązał kwestię wierzeń: „Wierzyło się mianowicie Attyli. Podobnie szkolony był też młody Hun. Już w piątym roku życia musiał znać prawidłową wymowę imienia wodza, a także musiał umieć skandować je w biegu. W tym kierunku harmonijnie rozwijana była jego osobowość do końca życia". O rany, jak świetnie pisał ten facet. W XX w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

Zysk z literatami

PATRONAT DO RZECZY

Czołowi polscy pisarze podróżnicy, twórcy kryminałów, bajek, biografii i dokumentaliści uczestniczyli w serii terenowych spotkań „Jesień z Kulturą" zorganizowanych w stolicy Wielkopolski

Było nadmorskie „Lato z Kulturą", była objazdowa „Wiosna z Kulturą", przyszedł czas na „Jesień z Kulturą" i miasto Poznań, w którym powstało oraz rozwinęło się wydawnictwo Zysk i S-ka. To ono, wspólnie z firmą Nowa Baśń, zorganizowały – pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy" – cykl spotkań z autorami popularnych książek, m.in.: Robertem Ziółkowskim, Dariuszem Lipińskim, Adamem Szulcem, Jakubem Skworzem, Jackiem Pałkiewiczem, Weroniką Kurosz i Michałem Kruszoną. W sumie zorganizowano sześć festynów. Odbyły się także dwie debaty poświęcone powstaniu wielkopolskiemu w 1918 r. oraz jego znaczeniu dla odradzającej się Rzeczypospolitej m.in. z udziałem dr. Tadeusza Zyska, prezesa wydawnictwa, oraz historyków: dr. Marka Rezlera i prof. Janusza Karwata.

Wszystkim „literackim" festynom towarzyszyły też imprezy dla dzieci. Najmłodsi mogli otrzymać kolorowe książeczki zachęcające do samodzielnego czytania.

– Daje się zauważyć zainteresowanie polską książką. Oczywiście ono nie jest tak duże, jak byśmy chcieli, ale jest – mówił nam Tadeusz Zysk. – Szczególnie dotyczy ono książek, których fabuła toczy się w miejscu, gdzie mieszkają czytelnicy. Rozpoznają oni pewien kod kulturowy, miejsca, w których także bywają bohaterowie. Często bywa, że jeżdżą w te miejsca i sprawdzają, czy są takie same jak w książce – opowiadał. Na podobne zjawisko zwracał uwagę również Robert Ziółkowski, dawniej policjant mający na koncie zatrzymania znanych wielkopolskich gangsterów, dziś autor kryminałów. W rozmowie z „Do Rzeczy" przyznawał, że często zdarza mu się, iż dawni koledzy z pracy, policjanci, w opisywanych przez niego postaciach próbują rozpoznać samych siebie lub przynajmniej dopasować książkowe postacie do historii, w których sami uczestniczyli.

Co było szczególną atrakcją dla czytelników? Forma festynów. Goście takich imprez mieli możliwość porozmawiania z pisarzami z zachowaniem sporej prywatności, w cztery oczy. Dzieci dopytywały np. Jakuba Skworza o Polskę z czasów młodości Adama Mickiewicza, korzystając z okazji, że jest on autorem książki „Adaś Mickiewicz. Łobuz i mistrz", a Adama Szulca, znanego fryzjera-barbera, autora książki „Fryzjer męski", pytano o znane osoby życia publicznego, które u niego się strzygą, i o kulisy fryzjerskiej sztuki.

Organizatorzy „Jesieni z Kulturą" nie wykluczają, że festyn w nowej odsłonie wróci w kolejnym roku. ©℗ ***(ww)***

REKLAMA

Kwintesencja męskiego stylu od Swiss Military Hanowa

Gdyby zegarki z kolekcji Phantom Chrono miały przybrać ludzką formę, byłyby mężczyznami. Prawdziwymi mężczyznami z krwi i kości. Czasomierze od SWISS MILITARY HANOWA zostały bowiem zaprojektowane tak, by w pełni oddawać męskiego ducha. Kolekcja SWISS MILITARY HANOWA to doskonałe połączenie tradycyjnego szwajcarskiego rzemiosła, sportowego designu oraz funkcjonalności. Zegarki stworzone, aby pomóc przetrwać w trudnych warunkach, przyciągają również wzrok dynamiczną stylistyką. Na tarczy każdego zegarka umieszczony został szwajcarski krzyż, będący gwarancją najwyższej jakości. Pięć niezwykłych modeli Phantom Chrono posiada koperty ze stali szlachetnej o średnicy 42 milimetrów oraz paski ze skóry naturalnej zapewniające komfort noszenia. Odporne na zarysowania szafirowe szkło oraz wodoszczelność aż do 100 metrów sprawiają, że Phantom Chrono doskonale sprawdzi się na każdej wyprawie. Cała kolekcja wyposażona została w wysokiej jakości szwajcarskie mechanizmy, gwarantujące dokładność i precyzję. Dzięki temu zegarek SWISS MILITARY HANOWA to idealny kompan aktywnego mężczyzny, niezawodny w każdej sytuacji!

Dostępne w butikach SWISS i na swiss.com.pl
cena 1190 zł/1280 zł

eprasa.pl a980e6f3ab

Na nieludzkiej ziemi

Piotr Gociek

„Donbas" Siergieja Łoźnicy – wielki film o straszliwym moralnym spustoszeniu, którego nosicielem jest Rosja

Nie trzeba się bawić w wyważanie racji, gdy sprawa jest oczywista, prawda nie leży pośrodku, tylko tam, gdzie leży. Od pierwszych sekund wiadomo, że na Kremlu „Donbas" się nie spodoba, a zwykli Rosjanie albo go nie zobaczą, albo wyłączą po dziesięciu sekundach. Pierwsze bowiem, co widzimy, nim padnie jeszcze pierwsze słowo, to napis informujący, że akcja rozgrywa się na okupowanej wschodniej Ukrainie. Po prostu. Taka jest prawda: nie ma żadnego ludowego powstania w Donbasie, żadnych separatystów, którzy w imię odrębności kulturowej czy narodowej walczą o niepodległość. Rosja weszła na Ukrainę i wzięła sobie jej kawałek, najpierw na Krymie, potem w Doniecku czy Ługańsku. I prowadzi z Ukrainą otwartą wojnę, tyle tylko że niewypowiedzianą oficjalnie.

Tak zwana Noworosja czy Doniecka Republika Ludowa (albo jakakolwiek inna deklarowana na terenie niepodległego państwa, jakim wszak jest Ukraina) to fikcja, to sztuczny twór na potrzeby rosyjskiej propagandy. Twór bardzo chory, wewnątrz którego dzieje się to, co jako specyfikę rosyjską przedstawił Siergiej Łoźnica w swojej poprzedniej fabule „Łagodna". Tamten film rozgrywający się na rosyjskiej prowincji i luźno inspirowany Dostojewskim był „metaforą kraju, w którym ludzie nieustannie zadają sobie nawzajem gwałt. Kraju, w którym aż kipi od przemocy we wszystkich postaciach" – cytuję tu słowa samego reżysera z materiałów promocyjnych filmu „Łagodna".

To samo się dzieje w „Donbasie" i jest wyrazem tego samego procesu. Nie chodzi o politykę, chodzi o moralność. „Unicestwienie. Całkowite spustoszenie. Kompletna dehumanizacja, która postępuje od czasu rewolucji październikowej" – raz jeszcze zacytuję Siergieja Łoźnicę. Noworosja to ponura parodia państwa, tak jak parodią prawdziwego wesela jest ślub udzielany w filmie Łoźnicy przez niby-urzędniczkę wspieraną przez lokalnych watażków oraz deputowaną do lokalnego niby-parlamentu i celebrującą dziwaczną „nową świecką tradycję".

ROPIEJĄCA RANA EUROPY

Noworosja to miejsce, w którym wszystko jest na niby, oprócz śmierci i cierpienia oraz ponurych planów prawdziwych sprawców donbaskiej tragedii. Kim są? W filmie nie padają nazwisko Putin, słowa „Rosja" czy „Rosjanin", ale jest wymowna scena, w której niemiecki dziennikarz rozmawia z grupą uzbrojonych po zęby „separatystów". „Skąd jesteście?" – pyta. W odpowiedzi słyszy najpierw zakłopotany śmiech, potem zwykły rechot i wypowiadane po kolei zdania: „Stąd, z takiego miejsca niedaleko, mieszkam nieopodal…". Tyle tylko że żaden nie potrafi dokładnie wskazać skąd, bo są takimi samymi „miejscowymi" jak „zielone ludziki" na Krymie. Gdy dziennikarz dopytuje, kto tu dowodzi, sołdaci wskazują na siebie nawzajem i się przekomarzają. Żaden nie chce się przyznać, żaden nie chce wskazać prawdziwego dowódcy. Dobrze wiedzą, że nie powinno ich tu być.

Noworosja to ropiejąca rana, która może zakazić wszystko dokoła – może nie samą Rosję, która sama jest źródłem choroby, ale wszystko inne: resztę Ukrainy, Europy, świata. Skąd o tym wiemy? Oto jeden z watażków tłumaczy, jak się sprawy mają: dawno temu, kiedy dobrzy sowieccy ludzie poszli do Niemiec, by dobić fa-

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

szystowską bestię, przetrącili kręgosłup frycom, a zapomnieli o wrogu wewnętrznym. I teraz ten wróg się ujawnił: faszyzm na Ukrainie, który trzeba wytępić. „Jak będzie trzeba, pójdziemy na Lwów! – woła wojak o ksywce Kaznodzieja. – Albo i na całą Europę!".

Noworosja wreszcie jest miejscem najobrzydliwszej iluzji, symbolem czasów, w których dominuje „rzeczywistość medialna", czyli zwykłe kłamstwo. Proszę uważnie się przyglądać pierwszej scenie filmu, w której macherzy od propagandy malują statystów i prowadzą ich na miejsce rzekomego ukraińskiego ataku artyleryjskiego na autobus miejski (mają udawać „naocznych świadków", co oczywiście uchwycą lokalne kamery i puszczą w świat jako „dowód"). Będzie ona miała wstrząsający ciąg dalszy i obnaży naturę najbardziej zmistyfikowanego konfliktu XXI w. Stop, widzę, że sam wpadam w kalki rosyjskiej propagandy. Przecież to nie konflikt, to zwykła inwazja, agresja. Młyny propagandy mielą jednak nieubłaganie i skutecznie, proszę posłuchać, ile także w naszych wiadomościach „republik ludowych" i „separatystów".

Łoźnica umiejętnie kładzie warstwy swojego obrazu, zostawiając odrobinę niepewności na dnie nawet jednoznacznych sytuacji. Oto wstrząsająca scena, w której nakręca się wściekłość i frustracja tłumu próbującego dokonać linczu na ukraińskim jeńcu. Agresywni „Noworosjanie" domagają się, żeby przyznał się do mordowania dzieci, rozkładania pól minowych i Bóg wie czego jeszcze. On odpowiada, że nic złego nie zrobił, bo był tylko kucharzem. Skojarzenie natychmiastowe. Iluż to oskarżanych o zbrodnie wojenne Niemców ratowało się przed zasłużoną karą opowieściami, że podczas wojny pracowali w kuchni albo byli kierowcami?! Kiełkuje więc w nas ziarno podejrzenia. A może ten cierpiący człowiek o twarzy męczennika z ikon jednak ma coś za skórą? Co oczywiście nie zmienia faktu, że nawet gdyby był kimś więcej niż kucharzem, to nie zasługuje na przemoc i samosąd ze strony nakręcających się z każdym ciosem oraz obelgą „Noworosjan".

Nieoczywistości ciąg dalszy. Do kogóż zwraca się z ironicznym uśmiechem starszy mężczyzna oprowadzający kamerę po podziemnym lochu, w którym mieszkają wygnani z domów mieszkańcy Donbasu, kiedy mówi: „Dziękujemy naszym przywódcom, prezydentom"? A potem kroczy przez ciasne pomieszczenia bez prądu, wody, gazu, w których na piętrowych pryczach tłoczą się wynędzniali towarzysze niedoli. Liczba mnoga, więc nie o jednego prezydenta czy przywódcę chodzi – tragedię w Donbasie wywołała agresja Rosji, ale wrzód ropieje również wskutek nieudolności Ukrainy oraz bierności wolnego świata, który przymyka oczy na oczywiste łamanie prawa międzynarodowego. Gdyby Ukraina była państwem zdrowszym, władze cieszyły się zaufaniem, urzędnicy nie kradli, generałowie nie okazywali się ukrytą opcją rosyjską, to bez wątpienia potwór o nazwie „Noworosja" nie wchłonąłby w Doniecku i Ługańsku tak łatwo i tak wielu poddanych.

O Ukrainie jest zresztą mowa wprost niemal na samym początku filmu, kiedy obserwujemy scysję w siedzibie władz jednego z ukraińskich miast. Niesłusznie oskarżana (chyba, nie wiemy tego na pewno) o wzięcie łapówki kobieta oblewa wiadrem odchodów lokalnego urzędnika, wytykając mu nepotyzm i korupcję. Z początku nie wiemy, czemu właściwie służy ta scena. W miarę oglądania „Donbasu" sens staje się jasny. Skoro Ukraina nie potrafi poradzić sobie z syfem na własnym podwórku, sparaliżowana przez złodziei i karierowiczów, to jak miałaby sobie dać radę z trucizną płynącą z zainfekowanego złem absolutnym terytorium okupowanego? Chwilę po tym, jak oglądaliśmy skorumpowanych urzędników ukraińskich, widzimy w następnej długiej scenie, nieco barejowskiej z początku, jak władcy terytorium okupowanego zagarniają dla siebie rzadkie dobra: mięso, mleko, mąkę, słodycze, odgrywając jednocześnie przed wygłodniałymi kobietami ze szpitala położniczego spektakl pt. „Walka ze złodziejstwem". Jak może Ukraina stawić czoła toksycznemu potworowi, skoro po jednej i drugiej stronie granicy kradnie się tak samo? W imię czego mają walczyć, opierać się, mieszkańcy kolejnych połykanych rejonów?

KRONIKA SPUSTOSZENIA

Filmy Siergieja Łoźnicy nie są łatwe w odbiorze. Bolą niczym kino Michaela Hanekego. W znakomitym „Szczęście ty moje" (2010) Łoźnica pokazywał, jak nihilizm i przemoc przechodzą z pokolenia na pokolenie na przeklętej ziemi. Temu służyła niespodziewana retrospekcja, w której cofaliśmy się od czasów współczesnych do II wojny światowej i dni zaraz po niej. W pokazywanym w Cannes „We mgle", którego bohaterem był człowiek niesłusznie oskarżony o współpracę z niemieckim okupantem, ukazywał jak człowiek sowiecki godzi się z wyrokami losu, nawet jeśli są niesprawiedliwe. Fatalizm, nihilizm, przekonanie, że na przeklętej ziemi nie może być inaczej.

Obydwa te filmy, wraz z niesamowitą „Łagodną" (2017) i z „Donbasem", układają się w przerażającego kronikę spustoszenia sowieckiego i postsowieckiego świata (dziś po prostu rosyjskiego), choć warto zapytać: Ile i w nas tego spustoszenia i czy rzeczywiście jesteśmy na nawrót choroby zaszczepieni? A może ratunku nie ma? „Gdy przekroczy się granicę między człowieczeństwem a tym, co nieludzkie, nie ma odwrotu" – mówi Łoźnica. Obejrzyjcie „Donbas". Jeśli macie sumienie, to zaboli was serce, zaboli was dusza, być może zapłaczecie. To wielkie kino wielkiego reżysera, którego przestróg nikt poza naszą częścią Europy nie będzie w stanie zrozumieć. Niestety.

★★★★★★

REŻ. SIERGIEJ ŁOŹNICA „DONBAS" („DONBASS") NIEMCY/ FRANCJA/ UKRAINA 2018

wyst. Valeriu Andriută, Natalya Buzko, Evgeny Chistyakov

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Skóra, fura i komóra

★★★☆☆☆

REŻ. FEDE ALVAREZ
„DZIEWCZYNA W SIECI PAJĄKA" („THE GIRL IN THE SPIDER'S WEB")
USA/NIEMCY/SZWECJA 2018

wyst. Claire Foy, Sverrir Gudnason, Sylvia Hoeks

Takiej bohaterki było nam trzeba. Wytatuowanej i zakolczykowanej, seksualnie labilnej, z postury dziewczęcej, z charakteru twardej jak damasceńska stal. Nadbudowa wyrosła z bazy, zaś Lisbeth Salander wykluła się z „Millennium". Śmierć autora powieści specjalnie jej nie zaszkodziła, może wręcz pomogła. Antykapitalista Stieg Larsson raczej nie pozwoliłby uczynić ze swego dziecka jeszcze jednej hollywoodzkiej marki.

Pierwsze podejście jankesów do prozy trockisty ze Sztokholmu zawiodło nadzieje księgowych wytwórni Sony. „Dziewczyna z tatuażem" okazała się daniem zbyt pikantnym jak na podniebienia światowej publiki. W dodatku Szwedzi dopuścili się dywersji, ekranizując naraz całą trylogię. Chociaż podniosły się głosy, że warto dać Salander jeszcze jedną szansę, nikt nie kwapił się z wyłożeniem gotówki. Do czasu, gdy wynajęty przez rodzinę pisarza ghostwriter Zlatana Ibrahimovicia sprokurował sequel, który wtargnął na szczyt list bestsellerów.

„Dziewczynę w sieci pająka" wypada uznać za sondowanie rynku. Pierwsze minuty seansu nie nastrajają optymistycznie. Lisbeth upokarza kolejną męską szowinistyczną świnię w stylu, który każe w niej widzieć kobiecą wersję Batmana, ewentualnie Janosika z telefonem komórkowym zamiast ciupagi. Na szczęście potem film łapie odpowiedni rytm. Blomkvista zredukowano do rozmiarów jednego z okazjonalnych sojuszników bohaterki. Jest ich kilku, lecz w zasadzie dziewczyna świetnie sobie radzi sama. Włamać się do komputerów NSA to dla niej bułka z masłem, razić faceta paralizatorem w podbrzusze – czysta przyjemność.

W nowym wcieleniu Salander nabrała tężyzny fizycznej, niezbędnej, by skutecznie stawić czoła „najbardziej brutalnemu gangowi w Sztokholmie". Paraduje w obcisłych, skórzanych wdziankach, wypasiony motocykl zamienia na jeszcze bardziej wypasione auto. Stawką w tej grze jest – jakżeby inaczej – ratowanie świata. Program kontrolujący amerykański arsenał jądrowy nie może wpaść w ręce kanalii. W „Skyfall" miejscem finałowej bitwy dobra ze złem był dom rodzinny Bonda, nasza hakerka, chcąc doprowadzić sprawę do końca, też musi wrócić do korzeni.

„Millennium", oczyszczone z ideologicznych miazmatów, przestało różnić się od innych produkcji typu „zabili go i uciekł". Mroczny klimat poprzednich ekranizacji też wyparował. Ocalały za to sceny schlebiające dumie Europejczyków. Agent z USA nie jest tu mile widzianym gościem. Szefowa szwedzkich służb grozi, że jeśli będzie się wtrącał, to zostanie odesłany do Disneylandu. Nawet de Gaulle nie pozwalał sobie na takie odzywki. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BOHEMIAN RHAPSODY"

Oczywisty materiał na przebojowy film, aż dziw, że taki pojawia się dopiero teraz: chodzi o dzieje grupy Queen i przede wszystkim życiorys jej charyzmatycznego wokalisty Freddiego Mercury'ego. Piosenkarz nie żyje od 17 lat, piosenki Queen nadal nucone są przez pół świata. W roli głównej Rami Malek, zaskakująca metamorfoza aktora znanego z serialu „Mr. Robot". ©℗

Piotr Gociek

- ***„Bohemian Rhapsody", reż. Bryan Singer, wyst. Rami Malek, Joseph Mazzello, Mike Myers, USA/Wielka Brytania 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Dziadek do orzechów i cztery królestwa", reż. Lasse Hallström, USA 2018***
- ***„Suspiria", reż. Luca Guadagnino, USA/Włochy 2018***
- ***„Jeszcze dzień życia", reż. Damian Nenow, Polska/Hiszpania 2018***
- ***„Dziedziczki", reż. Marcelo Martinessi, Brazylia/Paragwaj 2018***

eprasa.pl a980e6f3ab

Orzeł wylądował

Dziwną politykę historyczną uprawiają Amerykanie. Na rosyjski epos o Gagarinie odpowiedzieli filmem, podającym w wątpliwość sens wypraw kosmicznych. Zamiast patriotycznej dumy z tego, że Neil Armstrong i Buzz Aldrin jako pierwsi ludzie spacerowali po Księżycu, widzowie mają się cieszyć, iż astronauci wrócili do domów cali i zdrowi.

„To będzie przygoda" – mówi Janet, gdy jej mąż wyznaje, że zgłosił się do projektu Gemini (z którego potem wypączkuje misja Apollo). W filmie Chazelle'a ta przygoda nie jest w żadnym calu romantyczna. Kandydatom na gwiezdnych Kolumbów pisane są pot, krew i łzy. Neal z chłopaka do tańca i różańca zamienia się w obsesjonata. W wypadkach giną kolejni koledzy, on sam omal nie traci życia podczas testowego lotu. Po kilku latach nie potrafi już spojrzeć synom w oczy ani szczerze porozmawiać z żoną.

Sugestia, że grzechem pierworodnym amerykańskiego programu kosmicznego było jego upolitycznienie, jest tu aż nadto wyraźna. „Daliśmy się wyprzedzić Sowietom, więc teraz musimy zrobić coś spektakularnego" – tak motywują się pracownicy NASA. Tymczasem na Ziemi dzieją się rzeczy daleko ważniejsze. Ryan Gosling umie grać introwertyków, broni swego bohatera z pozoru drobnymi gestami. Rola godna Oscara, film wart obejrzenia. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★★☆
REŻ. DAMIEN CHAZELLE
„PIERWSZY CZŁOWIEK" („FIRST MAN")
USA 2018

wyst. Ryan Gosling, Claire Foy, Jason Clarke

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRACH, WERSJA BRYTYJSKA

Trzy historie dowodzące prawdziwości zjawisk nadnaturalnych stają się przedmiotem dochodzenia sceptyka, z każdym krokiem coraz bardziej zdumionego. Nie dość, że istnieje między nimi związek, to jeszcze mnóstwo okaże się w tej historii nie tym, czym wydaje się na początku. Ten nastrojowy film grozy budzić jednak musi mieszane odczucia.

★★★☆☆☆
REŻ. JEREMY DYSON, ANDY NYMAN
„PRZEBUDZENIE DUSZ"
WIELKA BRYTANIA 2017, KINO ŚWIAT

wyst. Andy Nyman, Martin Freeman, Paul Whitehouse

Z jednej strony trudno nie podziwiać sugestywnego tonu opowieści, aluzji do klasyki (z Kingiem włącznie) i dobrej aktorskiej roboty. Znakomity jest choćby Paul Whitehouse, kojarzony raczej z rolami komediowymi (pierwsza historia z tej upiornej antologii); na swoim poziomie, jak zawsze, Martin Freeman (opowieść ostatnia). Z drugiej strony, kiedy doczekamy wreszcie zaskakującego finału opowieści, odkrywamy, że mamy do czynienia z olbrzymim przerostem formy nad treścią. Oparta na popularnej sztuce teatralnej fabuła godna jest bowiem pochwał za to, jak została opowiedziana, a nie za to, czego dotyczy.

JAK ZABAWA, TO ZABAWA

Dorosłym nie ma co ufać, zwłaszcza tym w garniturach. Nigdy nie wiadomo, kogo spotkasz on-line. Czy po drugiej stronie nie kryje się przypadkiem 11-letni ninja? Pieniądze są ważne, ale przyjaźń ważniejsza. Kiedy wahasz się, czy pocałować dziewczynę, to po prostu ją pocałuj, nigdy nie wiadomo, czy będziesz miał kolejną szansę. Popkultura jest cool, jednak najlepsza – ta z lat 80. XX w. Steven Spielberg zaprasza na dwie godziny czystej zabawy, którą najbardziej docenią chyba ci, którzy pamiętają jeszcze czasy własnych fascynacji grami komputerowymi (dziś już vintage) i kinem spod znaku... no właśnie, Spielberga. Skala zabawy jest taka, że „Avatar" Camerona czy ostatnie hity serii „Szybcy i wściekli" wydają się w porównaniu z tym filmem kinem kameralnym. Puste? Może. Ale jak zrobione! Bardziej wymagający mogą sięgnąć po powieść Ernesta Cline'a, która była podstawą filmu. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★★★☆☆
REŻ. STEVEN SPIELBERG
„PLAYER ONE"
USA 2018, GALAPAGOS

wyst. Tye Sheridan, Olivia Cooke, Letitia Wright, Mark Rylance

GRA TYGODNIA: „WOJNA KRWI: WIEDŹMIŃSKIE OPOWIEŚCI" ★★★★★☆

Najpierw była gra karciana „Gwint", funkcjonująca jako urozmaicenie dialogów z bohaterami pobocznymi w „Wiedźminie". Ponieważ zaprojektowano ją tak dobrze, że doczekała się rzeszy fanów, polskie studio wyprodukowało pełnoprawny produkt pod nazwą: „Gwint – Wiedźmińska gra karciana". I tak dochodzimy do losów „Wojny krwi", stanowiącej samodzielny dodatek fabularny do tegoż tytułu. Wcielamy się w nim w rolę Meve – królowej Lyrii i Rivii, stającej do wojny z Nilfgaardem. Grafika przypomina komiks w rzucie izometrycznym, natomiast walki odbywają się w stylizowanym 3D. Ciekawe połączenie RPG z karcianką. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Karciana/RPG*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *CD Projekt RED*
- ***Kwalifikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl a980e6f3ab

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zbrodnia w teatrze San Carlo

Miłośnikom kryminałów nieobce jest z pewnością nazwisko Andrei Camilleriego. Napisał on m.in. ok. 20 książek z komisarzem Salvo Montalbano w roli głównej. Nawiasem mówiąc, nazwisko tego sycylijskiego komisarza wzięło się od nazwiska innego pisarza, też twórcy kryminałów, tyle że z Katalonii – Manuela Vázqueza Montalbána. Obu tych pisarzy, i Camilleriego, i zmarłego 15 lat temu Montalbána, z powodzeniem przedstawiała czytelnikowi polskiemu oficyna Noir sur Blanc, która teraz wprowadza na rynek kolejnego prozaika z Italii rodem, Maurizio de Giovanniego. Wraz z nim wkracza na kryminalną scenę komisarz Luigi Alfredo Ricciardi.

Sycylijski inspektor Montalbáno był smakoszem. W każdej z książek, w których występuje, roi się od opisów przeróżnych potraw, niekiedy nawet krótkich przepisów na ich przyrządzenie, a także opowieści o lokalnych restauracjach i innych przybytkach gastronomicznych. Komisarz Ricciardi z Neapolu, którego poznaliśmy właśnie za sprawą powieści „Łzy pajaca", nie ma podobnie przyziemnych zainteresowań. Ten arystokrata, służący we włoskiej policji na początku lat 30., czyli w epoce Mussoliniego, od dzieciństwa potrafi za to odtwarzać ostatnie chwile życia zmarłych osób, fizycznie odczuwając ich ból.

Proszę się nie obawiać, ten dar czy przypadłość, z pewnością przydatne w policyjnej pracy, nie dominują w powieści, w której wyjątkową rolę odgrywa opera. Nie tylko dlatego, że mordu, którego sprawcę stara się ustalić Ricciardi, dokonano w teatrze San Carlo, najstarszym teatrze operowym w świecie. W toku lektury poznajemy zajmującą analizę wystawianych razem na neapolitańskiej scenie oper: „Pajaców" Leoncavalla i „Rycerskości wieśniaczej" Mascagniego. Tę pierwszą znają wszyscy, którzy o operze mają jakie takie pojęcie, tę drugą również, przynajmniej od czasu, gdy Coppola wplótł jej wystawienie w trzecią część „Ojca chrzestnego". Jednak sposób prezentacji akcji spektaklu, wniknięcie w jego ukryte znaczenia, to wszystko znacznie wykracza poza zwyczajowy opis tego czy innego przedstawienia.

FOT. BASSO CANNARSA/OPALE/EAST NEWS

A przy tym, co ciekawe, powieściowy komisarz opery… nie lubi. „Nie lubił […] teatralnego przedstawiania uczuć. Wiedział lepiej niż ktokolwiek, że przeżywały tych, którzy ich doświadczali, zalewając i unosząc jak fala wszystko, co napotykały na swej drodze. Wiedział także, że nigdy nie miały tylko jednego smaku, że nigdy żadnego uczucia nie wyróżniał tylko najbardziej oczywisty, zewnętrzny aspekt. Że emocje, na dobre i na złe, miały tysiące twarzy, zawsze nieoczekiwanych i nieprzewidywalnych. Dlatego gardził tymi kolorowymi kostiumami i modelowanymi głosami, archaicznymi, uczonymi słowami w ustach biedaków, którzy w prawdziwym życiu istotnie umierali z głodu. Nie, zdecydowanie nie lubił opery".

Czy komisarz zmieni swoje zdanie o utworach Verdiego, Pucciniego i innych gigantów opery, która swój dom ma we Włoszech właśnie i nigdzie nie jest tak jak tam kochana? Innej z ważnych postaci powieści, ks. Pierino, największą przyjemność dają chwile spędzane na zapleczu teatru San Carlo, gdzie wpuszcza go portier, i może wtedy, w bardzo niewygodnej pozycji zresztą, obejrzeć i wysłuchać wystawianą operę. „Uważał za dar od Boga to, że mógł oglądać przedstawienia, obcując z krystaliczną duszą opery, obserwować ludzkie pasje, przedstawiane tak pięknie i z taką siłą. Ileż było w tym Boga, w tych łzach, w śmiechu, który dostrzegał na twarzach widzów na parterze, w lożach i na balkonie. Ileż ludzkiej miłości i boskiej gracji w tej muzyce, która prowadziła duszę za rękę tam, dokąd umysł nie umiał dotrzeć".

Postać komisarza Ricciardiego w książce De Giovanniego pojawiła się w 2005 r. Kolejne kryminały z Ricciardim cieszyły się coraz większym wzięciem, tłumaczone były na obce języki, we Włoszech powstaje teraz serial o tym policyjnym arystokracie. A „Łzy pajaca" ze spektakularną zbrodnią, operowym rozmachem i faszyzmem w tle potęgują ochotę na bliższe poznanie komisarza z Neapolu. ©℗

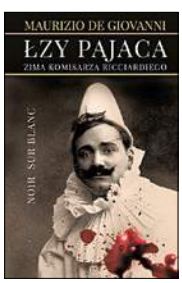

★★★★☆

MAURIZIO DE GIOVANNI „ŁZY PAJACA. ZIMA KOMISARZA RICCARDIEGO"
NOIR SUR BLANC 2018

eprasa.pl a980e6f3ab

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dwie Proximy

Dwie powieści o podróży do najbliższego Ziemi układu gwiezdnego, dwie różne tradycje. Duch Arthura C. Clarke'a zmaga się z duchem C.S. Lewisa? Porównanie jest uprawnione. Stephen Baxter, brytyjski autor powieści SF, pisze fantastykę mocno naukową, sceptyczny jest wobec religii, idzie tropem Wellsa. Z Clarkiem zdążył współpracować, a Wellsowi dopisał ciąg dalszy „Wehikułu czasu". Michael D. O'Brien, kanadyjski katolik, sięga po fantastykę jako metaforę w rozważaniach na temat przyszłości wiary, a swe apokaliptyczne wizje wiąże z antychrześcijańskimi trendami współczesności.

U Baxtera do kolonizacji planety krążącej wokół Proximy Centauri zabierają się skazańcy (nie z własnej woli). Niech meliorują, uprawiają zboża, budują chatki, czynią sobie poddaną nową ziemię. Uda im się? Świetnie. Nie uda? Żadna szkoda, ich błędy będą lekcją dla następnych pokoleń.

W powieści O'Briena gwiezdny statek „Kosmos" zaludniają elity naukowe, a narratorem jest fizyk, dwukrotny noblista. Świat, od którego ucieka, to technokratyczna antyutopia, w której tępi się wiarę, króluje inwigilacja i nawet kawa jest napojem zakazanym. Obszerna książka rozpędza się długo, pierwsza połowa to opis podróży, mechanizmów bezdusznego społeczeństwa przyszłości, refleksje Neila Hoyosa. W drugiej fabuła przyspiesza, a przybysze z Ziemi rozróżniać będą musieli dzieło Boga od dzieła Szatana, a równie epicka batalia rozegra się w nich samych.

W książce Baxtera to, co najciekawsze, także odbywa się w obcym układzie, na dziwnej planecie, która poddaje się kolonizacji, ale jednocześnie kryje wiele niesamowitych tajemnic, przede wszystkim intrygującą ekosferę, która jest najbardziej fascynującą kreacją pisarza (chyba nieco inspirowaną tryfidami Johna Wyndhama). Co ciekawe, również on opisuje działanie siły wyższej, ale u niego rolę tę odgrywają bardzo zaawansowani obcy, bez których działania ludzkość nie wyściubiłaby nosa poza Układ Słoneczny, no, w każdym razie nie tak szybko, jak się to jej udaje. Jakim sposobem wiara w to, że na Merkurym czeka na nas od milionów lat zakopane paliwo międzygwiezdne, ma być lepsza od wiary w to, że Wszechświat nie jest dziełem przypadku – tego już Baxter nie wyjaśnia, choć literacko i gdy chodzi o naukową inwencję, jest od O'Briena lepszy. ©℗

★★★★★★
STEPHEN BAXTER „PROXIMA" ZYSK I S-KA 2018

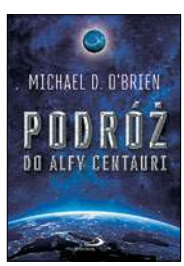

★★★★★★
MICHAEL D. O'BRIEN „PODRÓŻ DO ALFY CENTAURI" ŚWIĘTY PAWEŁ 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Klasyka w godnym wydaniu – po latach wraca na księgarskie półki słynna powieść, bez której nie sposób wyobrazić sobie literatury amerykańskiej i światowej. Elegancka dwutomowa edycja w twardej oprawie.

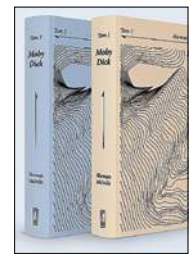

HERMAN MELVILLE „MOBY DICK" PIW

Powieści przyniosły mu sławę (zwłaszcza „Rzeźnia numer pięć" i „Kocia kołyska"), ale Vonnegut nowelista to także zjawisko godne uwagi – od przesyconych czarnym humorem opowiadań fantastycznych do małego realizmu.

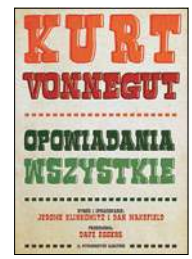

KURT VONNEGUT „OPOWIADANIA WSZYSTKIE" ALBATROS

Barwna powieść o rodzinie, której Polska zawdzięcza nie tylko znanych malarzy, lecz także pisarkę Zofię Kossak-Szczucką, poetkę Marię Pawlikowską-Jasnorzewską i humorystkę Magdalenę Samozwaniec. Wciągające i ładnie napisane.

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA „KOSSAKOWIE. BIAŁY MAZUR" ZYSK I S-KA

Wstrząsające relacje ofiar niemieckiej akcji germanizacyjnej. Odbierane w okupowanej Polsce dzieci trafiały do ośrodków selekcji rasowej, a potem do niemieckich rodzin. Wiele prawdę o pochodzeniu odkryło dopiero po latach. ©℗

poleca Piotr Gociek

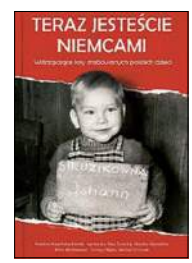

PRACA ZBIOROWA „TERAZ JESTEŚCIE NIEMCAMI" WYDAWNICTWO M

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
2. ***Marcin Wicha „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" (Karakter) – nowość sprzed roku wraca na listy bestsellerów, dzięki nagrodzie literackiej Nike 2018.***
3. ***Laila Shukri „Jestem żoną terrorysty" (Prószyński) – Polka mieszkająca w krajach arabskich tym razem w opowieści o rodzinach dżihadystów.***
4. ***Wiesław Myśliwski „Ucho igielne" (Znak) – dwukrotny laureat Nike o śmierci, miłości i przede wszystkim strachu przed życiem w niepewnym świecie.***
5. ***Nicholas Sparks „Z każdym oddechem" (Albatros) – faceci też piszą bestsellery dla pań. Nowa powieść autora „Listu w butelce" i „Dla ciebie wszystko".***

(Najchętniej kupowane tytuły w internetowej księgarni Taniaksiazka.pl)

eprasa.pl a980e6f3ab

Ciągle przed metą

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

Maria Piotrowska-Bogalecka nie pozostawia swoim muzykom złudzeń i jasno mówi, że nigdy nie dotrą na metę. – Chór jest tworem, który ciągle się zmienia, praca nad barwą, nad brzmieniem, balansem i proporcjami to proces, który nie ma końca – mówiła w radiowej Dwójce dyrygent Chóru Polskiego Radia. To, co charakteryzuje jeden z najstarszych zespołów wokalnych w Polsce, to różnorodność. W repertuarze chóru są i muzyka a capella, i formy wokalno-instrumentalne, a dzieła, po które sięga grupa, to podróż przez style i historię – od muzyki dawnej do kompozycji współczesnych. – Specjalizacja gatunkowa to prostsze rozwiązanie, ale my nie chcemy się ograniczać np. tylko do kultywowania i upowszechniania polskiej kultury z minionych wieków. Wykonywanie dzieł współczesnych również traktujemy jako swoją misję – dodawała w radiowej audycji szefowa chóru. I kiedy telewizje informacyjne skupione były na pokazywaniu słupków poparcia w wybroczy wieczór, w Studiu Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie trwał koncert galowy. Dzień później zespół wystąpił w Centrum Kongresowym ICE Kraków. Oba koncerty były kulminacją jubileuszowego roku. Chórowi stuknęła bowiem siedemdziesiątka. Nie mogło być inaczej i urodzinowe koncerty były podróżą przez epoki. Były więc i kompozycje dawne, i muzyka XIX-wieczna, i współczesna.

Historia chóru rozpoczęła się jesienią 1948 r., kiedy to do życia powołał go dyrygent i kompozytor Jerzy Gert. Aż do końca roku 1994 chór był częścią Orkiestry i Chóru Polskiego Radia i Telewizji. A później został opuszczony – najpierw przez TVP, później przez Polskie Radio. W 2012 r. zarząd radia podjął decyzję o likwidacji chóru, tłumacząc decyzję problemami finansowymi, ale nie skazał go na całkowite unicestwienie, oferując pomoc. Na szczęście doszło do porozumienia między Polskim Radiem a Fundacją Rozwoju Sztuki „Sonoris", pod której skrzydłami chór działa do tej pory.

I dziś możemy nie tylko wspominać dokonania chóru, lecz także rozmawiać o jego ambitnych planach. Te najbliższe – nagranie 150 psalmów Mikołaja Gomółki. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Rytm niebanalnych słów

Trzeci album Bovskiej jest swoistym concept albumem mówiącym o relacjach w dojrzałym związku. Absolwentka dwóch szkół artystycznych, która ma „trzy zera na liczniku", opisuje emocje… a przede wszystkim rozumie, że „wieczne wakacje już za nami, teraz praca". Praca nad miłością.

Słowa dominują. Na szczęście Bovska potrafi się nimi nie tylko bawić, lecz także wystukiwać rytmy, a wyśpiewując je, układa chwytliwe melodie. Od strony muzycznej to prosty album. I w tym jego siła. Jan Smoczyński nie ściga się w wyszukiwaniu beatów i pokręconych loopów. Jego elektronika jest podporządkowana narracji tekstu i barwie głosu liderki. Refreny są proste i dzięki temu tekst sam wchodzi do głowy.

Bovska w odróżnieniu od bardziej utytułowanych wokalistek nie utyskuje, że i ten kolejny bydlakiem był. „Bezwstydnie tu i teraz jestem"; „Chcę cię oswoić na później, gdy będzie jeszcze trudniej"; „Jutro zgasło, więc się śpiesz"; „Psuję ci krew, psuję szyk. Za dużo łez dajesz mi"; „Mój luksus to nie musieć nic. Po prostu, zwyczajnie być"; „Żyję w generacji szybkiej satysfakcji, gdzie smutek to nienaturalny stan"; „Bez cukru i soli – smutno mi jest"; „Trudno ze mną wytrzymać, ty wiesz jak"; „Myślałam… Wiem, myliłam się". ©℗

★★★★★

BOVSKA
„KĘSY"
BOVSKA

★★★★☆☆

LORA SZAFRAN/ BOGDAN HOŁOWNIA
„I TAK SIĘ TRUDNO ROZSTAĆ…"
POLSKIE RADIO

Niezapomniane piosenki Henryka Warsa, Władysława Szpilmana i Jerzego Wasowskiego w jazzowej interpretacji. Nostalgiczny koncert z maja 2017 r. na kwartet Bogdana Hołowni i głos Lory Szafran. Sympatycznie i barwnie.

★★★★☆☆

JACEK SKUBIKOWSKI
„WYSPA DZIKICH"
GAD

Wydawniczy hołd dla zmarłego przed 11 laty autora i wykonawcy, popularnego w latach 80. Czwarty synthpopowy album z 1985 r. wzbogacono o nagrania singlowe, teledyski, recitale telewizyjne, występy na festiwalu w Opolu. ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

Wydawnictwo Esprit poleca

BESTSELLERY TOMASZA TERLIKOWSKIEGO

To kapłan, który ma prawdziwy charyzmat do niezwykłych przygód. Przytrafiają mu się one dlatego, że jest w swym życiu otwarty na działanie Boga, któremu zaufał i którego pokochał.
Grzegorz Górny

~~29,90~~ 24,90

Poznaj historię niezwykłego kapłana – współpracownika Jana Pawła II i Benedykta XVI, żarliwego ewangelizatora i wielkiego apostoła św. Szarbela. Odkryj kulisy życia w Watykanie i posłuchaj fascynujących historii kapłana, którego parafią jest samochód.

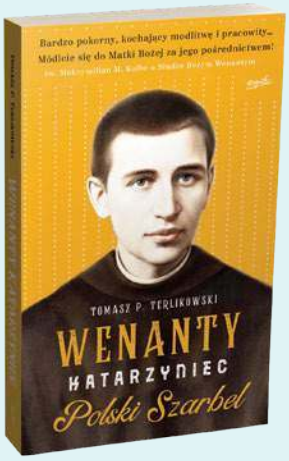

~~29,90~~ 24,90

Sługa Boży Wenanty Katarzyniec dał się poznać tysiącom ludzi jako wyjątkowy orędownik, zwłaszcza w kwestiach finansowych. Problemy ze znalezieniem pracy, spłata wysokiego kredytu, kłopoty biznesowe – wielu świadków potwierdza, że ten zakonnik skutecznie rozwiązuje każdą sprawę. Kim był tajemniczy przyjaciel Maksymiliana Kolbego?

~~24,90~~ 19,90

Sięgnij po nowennę za wstawiennictwem o. Wenantego i rozważania z jego pism, listów i nauk, inspirowane bogactwem myśli wielkich świętych: Ignacego Loyoli, Tomasza a Kempis, Alfonsa Marii Liguoriego czy Ludwika Marii Grigniona de Montfort.

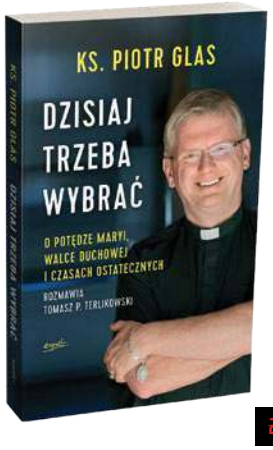

~~29,90~~ 24,90

Pierwszy wywiad z jednym z najbardziej znanych rekolekcjonistów! Ksiądz Piotr Glas od wielu lat ewangelizuje, prowadzi modlitwę o uzdrowienie i wyjaśnia niebezpieczeństwo duchowych uwikłań. Jak się nawrócił? Czy miał duchowe kryzysy w drodze do Boga? Jak wyglądała jego posługa egzorcysty?

~~29,90~~ 24,90

Ksiądz Piotr Glas podjąć trudną walkę o szczęście wieczne. Słynny rekolekcjonista, który podczas Wielkiej Pokuty na Jasnej Górze odmówił modlitwę o uwolnienie Polski spod mocy ciemności, bierze do ręki Dekalog i proponuje, by stał się on naszą mapą na drodze do Boga.

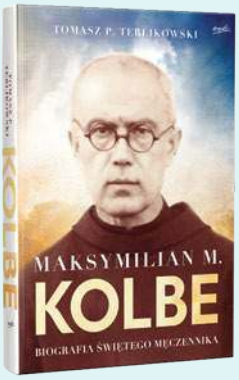

~~54,90~~ 49,90

Mówiono o nim, że posiada niezwykły umysł, jest genialnym organizatorem i wielkim wizjonerem. Pojawiały się też opinie o jego antysemityzmie czy twardym charakterze. Kim tak naprawdę był jeden z największych polskich świętych? Przeczytaj tę fascynującą biografię.

Zamów na **esprit.com.pl** lub telefonicznie: **12 267 05 69, 12 264 37 09, 12 264 37 19**. Oferujemy atrakcyjne rabaty! Przy zamówieniu **powyżej 70 zł** – przesyłka gratis.

eprasa.pl a980e6f3ab

Grzegorz Kucharczyk

Lewicowi intelektualiści wciąż walczą o wolność. A na jej straży stoi państwo – uzbrojone w sądy i paragrafy

FOT. ARKADIUSZ ŁAWRYWANIEC/FORUM

Pustka i

W ogłoszonym w 1970 r. „Liście wielkopostnym do duchowieństwa i wiernych" prymas Polski kard. Stefan Wyszyński ostrzegał, że „zrodziło się na świecie potężne liczebnie pokolenie »synów kłamstwa«. Zasiewają oni wszędzie ducha zwątpienia, negacji, chorobliwego krytycyzmu, który wszystko chce obalić, chociaż nie wie, co ma budować i jak to czynić. […] Jeżeli pozwalają sobie na anarchię inne narody, dostatnie, niewiedzące, co robić z czasem i pieniędzmi, to jest ich sprawa. Ale nas na to nie stać! […] Nie możemy ulegać propagandzie ludzi owładniętych pychą umysłu, zbytnią pewnością siebie, zmiennych przekonań i własnych sposobów »zbawiania« świata. […] Nie wszystko, co czyni młodzież za granicą, ma naśladować młodzież polska. Ma ona rodzime tradycje i piękne wzory do naśladowania. Musimy całą siłą, niesłychanie odważnie bronić młodzieży przed bezładem uczuć, myśli i dążeń".

W ten sposób Prymas Tysiąclecia odnosił się do „pokolenia 1968 r." rozpoczynającego właśnie swój marsz na zachodnioeuropejskich i amerykańskich campusach uniwersyteckich, a wkrótce także poprzez polityczne i kulturowe instytucje świata zachodniego. Tak też słowa kardynała odczytał Adam Michnik, które „niepokojąco przypominały" mu język komunistycznej propagandy wymierzonej w marcu 1968 r. we „wrogów ustroju". Takie było tło krytyki pod adresem prymasa zamieszczonej przez Michnika w jego książce pt. „Kościół, lewica, dialog" (1977), uchodzącej za „otwarcie się" laickiej lewicy (dawnych partyjnych „rewizjonistów") na Kościół katolicki w Polsce i na jego zasługi dla obrony podstawowych praw człowieka przed komunistycznym zniewoleniem.

Jednak sprawa oceny zachodniego „pokolenia 1968 r." nie była traktowana przez Michnika jako przedmiot dialogu i kompromisu z Kościołem w Polsce, którego wyrazicielem był prymas Wyszyński. A mówimy przecież o latach 70. ubiegłego wieku. Od tego czasu minęło ponad 40 lat, a dla polskiej odmiany tzw. nowej lewicy, nad którą intelektualny (i nie tylko) patronat objął możny we wpływy po 1989 r. redaktor Michnik, zachodni „sześćdziesięcioósmacy" stali się matrycą, oryginałem do bezwzględnego naśladowania. Zarówno gdy chodzi o action directe (por. udział lewackich bojówek w rozbijaniu warszawskiego Marszu Niepodległości parę lat temu), jak i o intelektualne inspiracje. Bez poznania „szkoły frankfurckiej" i wyrosłych z niej kolejnych pokoleń filozoficznych oraz literackich postmodernistów trudno się rozeznać, kogo aktualnie naśladują autorzy „Krytyki Politycznej" i pism pokrewnych.

NIEUSTAJĄCE ZAUROCZENIE

Poznanie oryginału – to jest jeden z powodów, dla których należy sięgnąć po jedną z najnowszych publikacji sir Rogera Scrutona „Głupcy, oszuści, podżegacze. Myśliciele nowej lewicy", która właśnie ukazała się nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka. Książka brytyjskiego konserwatywnego filozofa politycznego – bodaj najwybitniejszego w tej kategorii w świecie anglosaskim – jest rozszerzoną wersją jego opublikowanej po raz pierwszy w 1985 r. monografii o „Myślicielach nowej lewicy", która doczekała się u nas po 1989 r. paru

eprasa.pl a980e6f3ab

zakłamanie

edycji. Tym razem Scruton poszerzył swój wykład o czasy po upadku komunizmu. Odniósł się do fascynującego – nie tylko dla badacza dziejów myśli politycznej, lecz także w pewnym sensie dla psychologa społecznego – zjawiska „odnajdywania się" nowej lewicy w świecie po upadku reżimów komunistycznych w Europie Środkowej i Wschodniej.

Najkrócej rzecz ujmując, z perspektywy twórców ideologii neomarksistowskiej nowej lewicy nic się nie zmieniło po 1989 r. Komunizm umarł (choć nie dla wszystkich, jak pokazuje przykład S. Žižka), niech żyje (nadal) rewolucja. Rewolucja musi toczyć się nadal, wykorzystując inne narzędzia i znajdując nowe obiekty, które czekają na jej „wyzwalającą" moc (obecnie imigranci, wcześniej młodzież). Temu towarzyszy trwająca już niemal 30 lat prowadzona przez intelektualistów związanych z nową lewicą akcja ratunkowa pod hasłem: „Komunizmu już nie uratujemy, ratujmy marksizm". Jak pokazują tegoroczne huczne obchody w Trewirze 200-lecia urodzin Karola Marksa, m.in. z udziałem przewodniczącego Komisji Europejskiej J.C. Junckera (formalnie chrześcijańskiego demokraty), akcja zakończyła się pełnym powodzeniem.

MARKS WIECZNIE ŻYWY

Przejęty przez twórców ideologii nowej lewicy świat pojęć i opisu rzeczywistości – od „szkoły frankfurckiej" do Hobsbawma, Žižka, twórców (twórczyń) genderyzmu-feminizmu – jest z gruntu marksistowski. Historyczność (tj. zmienność) wszystkiego – nie tylko uwarunkowań społecznych i gospodarczych, lecz także podstawowych norm kulturowych i takich podstawowych kategorii rzeczywistości jak natura człowieka, pęd do „wyzwalania" podległych „opresji" oraz roszczenie do „naukowości" – oto w największym skrócie intelektualne dziedzictwo marksizmu, które jest po 1989 r. „twórczo" rozwijane przez kolejne już pokolenie myślicieli zachodniej nowej lewicy.

Rzecz jasna jej korzenie sięgają „głębiej". Parafrazując cesarza Francuzów, gdyby „podrapać" Marksa, wyjdą

eprasa.pl a980e6f3ab

niemiecka filozofia idealistyczna (aż do jej ojca, czyli I. Kanta) i jakobińskie marzenie o radykalnej transformacji złego świata. W 1790 r. Edmund Burke w swoich „Rozważaniach o rewolucji we Francji" jako jedną z głównych przyczyn przewrotu wskazywał na „barbarzyńską filozofię, będącą owocem zimnych serc i zmąconych umysłów". A więc idące od Rousseau przekonanie, że zło toczące świat jest wobec człowieka zewnętrzne (zauważmy: zupełne odwrócenie ewangelicznej perspektywy, według której „wszystko, co nieczyste, z wnętrza człowieka pochodzi"), pochodzi z wadliwej pod względem społecznym i politycznym konstrukcji świata.

Słowo „konstrukcja" jest tutaj kluczowe. Zakłada ono bowiem możliwość, a nawet konieczność „rekonstrukcji" świata zewnętrznego, wychowania go do cnoty. Taki program głosili i wcielali w życie za pomocą „obywatelki gilotyny" jakobini – intelektualni uczniowie J.J. Rousseau. Kolejne ich pokolenie ujawnia się wśród intelektualistów nowej lewicy. Wspólnym mianownikiem prezentowanych przez nich wywodów jest uporczywe tropienie i demaskacja „struktur dominacji" (władzy, przy czym władza jest traktowana synonimicznie z przymusem/wyzyskiem) czy to w dziedzinie społecznej, politycznej, czy w dziełach literackich (dekonstrukcjonizm).

ROGER SCRUTON „GŁUPCY, OSZUŚCI I PODŻEGACZE" ZYSK I S-KA 2018

Władza rozumiana jako przymus – uczy swoich zwolenników Michel Foucault, jeden z czołowych guru nowej lewicy – jest w społeczeństwie rozproszona, a jako „stosunek dominacji" obecna jest wszędzie, nawet w szpitalach, ale przede wszystkim w rodzinie pojmowanej jako trwały związek mężczyzny i kobiety. Stąd krok do kolejnej kluczowej tezy intelektualistów nowej lewicy, czyli polityzacji sfery intymnej. Skoro celem działania politycznego ma być emancypacja jednostki ze wszelkich form opresji (poczynając od podstawowej „struktury dominacji", czyli rodziny), to oznacza to upolitycznienie wszystkiego, w tym strefy intymnej. A może przede wszystkim jej.

„WYCHOWYWANIE DO CNOTY" – KOLEJNE PODEJŚCIE

Za sprawą twórców ideologii nowej lewicy powraca w naszych czasach „przysposabianie do cnoty". Już nie pracuje nad tym „obywatelka gilotyna", tak jak w czasach „Nieprzekupnego". W tej roli występuje jednak ciągle państwo, tym razem wyposażone w tzw. ustawodawstwo równościowe i paragrafy zwalczające „mowę nienawiści". W praktyce oznacza to walkę za pomocą instytucji państwowych z wierzącymi serio chrześcijanami, którzy jako urzędnicy czy jako duchowni nie chcą firmować dekretowanej z góry „różnorodności" ani „tolerancji [czytaj: afirmacji] dla ludzi LGBT". Tak funkcjonuje dyktatura relatywizmu (Benedykt XVI). Sformułowana przez Saint-Juste'a w apogeum rewolucyjnego terroru zasada głosząca, że „nie ma wolności dla wrogów wolności", ciągle obowiązuje. Los Mary Wagner, szlachetnej obrończyni prawa do życia dzieci nienarodzonych, systematycznie oskarżanej w Kanadzie o „naruszanie reprodukcyjnych praw kobiet", jest tego dobitnym dowodem. Jednak przecież nie jedynym.

Dlatego ma rację brytyjski filozof, gdy w odniesieniu do ideologów nowej lewicy w tytule swojej książki pisze o oszustach i podżegaczach. Oszuści, bo odmieniając przez wszystkie przypadki słowa „wolność", „emancypacja", „różnorodność", w praktyce – gdy ich uczniowie przeszli zwycięsko przez instytucje władzy politycznej i medialnej – przed prawdziwą wolnością wypowiedzi, badań naukowych, starcia idei wzdragają się i boją się jej jak diabeł święconej wody. A na straży takiej „wolności w różnorodności" stoi państwo uzbrojone w paragrafy i sądy. Wszystko już jednak było. Przecież już twórcy oświeceniowej „Encyklopedii", przedstawiani w legendzie jako ofiary „opresyjnej cenzury ancien régime'u", biegali do królewskich cenzorów, by uciszyli oni katolickich krytyków ich dzieła. Wszystko w imię „walki z przesądami".

Czytając dokonywaną przez Scrutona analizę twórczości kolejnych ideologów nowej lewicy, za każdym razem przypominałem sobie dictum innego wybitnego Anglika, Gilberta K. Chestertona, który napisał kiedyś, że „są ludzie, którzy wielbią intelekt, i są tacy, którzy go używają". Wspominając elukubracje twórców ideologii multikulturalizmu, genderyzmu etc., trudno nie odnieść wrażenia, że przez wielki szacunek dla intelektu nie był on przez nich zbyt często używany.

ZUPEŁNE ZAĆMIENIE UMYSŁU

Dochodzimy w ten sposób do pierwszego z wymienionych w tytule książki Scrutona rzeczownika. Próżno szukać w nowolewicowych wywodach zdrowego rozsądku czy logiki. Ta ostatnia zresztą – jak mówią twórczynie „myśli" feministycznej – jest przejawem „dominacji maskulinistycznego światopoglądu" i dlatego np. nauczanie matematyki w krajach Trzeciego Świata jest traktowane przez część z nich jako wyraz „kulturowego imperializmu białych mężczyzn". A cóż powiedzieć o innych modnych w kręgach nowej lewicy teoriach głoszonych z pewnością dogmatów, choć żaden materiał empiryczny ich nie potwierdza (dość wspomnieć afirmowaną nie tylko przez wąsko pojętą nową lewicę teorię o globalnym ociepleniu klimatu z winy człowieka lub tzw. pokutną historiografię inkryminującą „wszystkie winy białych mężczyzn" z poprzednich epok).

Przywoływany przed chwilą Chesterton twierdził w pierwszej połowie XX w., że „dzisiejsze pogańskie społeczeństwo utraciło nie tyle religię, co rozum. Utraciło ten intelektualny instynkt, którym dzieci człowiecze kierowały się poprzednio na co dzień niczym światłem dnia". Z wielką wiarą – pamiętajmy, że pisał w czasach przed Vaticanum II, reformami posoborowymi i „nową troską duszpasterską" promotorów „nowego paradygmatu Kościoła" – dodawał, że to „rzymska religia będzie jedyną religią racjonalistyczną – w ścisłym tego słowa znaczeniu. Inne religie będą tylko relatywistyczne. Ogłoszą, że rozum jest względny i nie można na nim polegać; ogłoszą, że Byt to zaledwie Stawanie się albo że Czas jest w całości tylko okresem przejściowym; w matematyce oznajmią, że w okolicach takiej czy innej gwiazdy dwa i dwa daje pięć; w metafizyce i moralności będą lansować pogląd, że istnieje dobro poza dobrem i złem. W miejsce materialisty, który twierdził, że dusza nie istnieje, pojawi się nowy mistyk, twierdzący, że nie istnieje ciało".

Jakby widział przed sobą intelektualistów nowej lewicy, podnoszących relatywizm do rangi nowego bóstwa, nowej religii; ludzi, których intelektualne itinerarium pokazuje, że kryzys wiary nieuchronnie prowadzi do kryzysu rozumu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

Ruszaj przed siebie z Rentis.

Dokąd tylko zechcesz.

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 309 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl a980e6f3ab

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Garść oczywistości

Jeżeli PiS przegra następne wybory, to głównie za sprawą prawicowych dziennikarzy. Szczerze mówiąc, to chyba najsłabszy element tego, co nazywa się dobrą zmianą.

Nie chce mi się powtarzać zgranych już nieco sformułowań o politrukach i propagandzistach, którzy minęli się z powołaniem. Raz, że to faktycznie oklepane, dwa – już jakiś czas temu zdałem sobie sprawę, iż obrażanie kogoś nieco utrudnia przekonanie go do czegokolwiek. Czyli jeżeli ktoś wrzeszczy: „Co za debile mieszkają w tej Warszawie! Jakim trzeba być głupcem, żeby głosować na Trzaskowskiego! Wstyd!" – to są bardzo niewielkie szanse, że ci, którzy mają się wstydzić, doznają olśnienia. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że utwardzą się w swoim przekonaniu.

Zostawmy zatem to, czy redaktor X jest propagandzistą, a dyrektor Y lizusem. Chodzi raczej o dwie znacznie istotniejsze kwestie. Pierwsza jest taka, że media kontrolowane przez prawicę konsekwentnie ograniczają swój zasięg. To znaczy, że coraz mniej ludzi czyta prawicową prasę (i prasę w ogóle), słucha publicznego radia i ogląda publiczną telewizję. Pojawia się pytanie: Dlaczego tak się dzieje? Oczywiście można to tłumaczyć wpływami Niemców albo australijskich dziobaków. To nawet dość prawdopodobne.

Jednak można też dojść do wniosku, że niektórych rzeczy nie daje się już po prostu czytać, słuchać i oglądać. Że – za przeproszeniem – rzygać się od tego chce.

Druga rzecz jest taka, że media mogą być oknem na świat. I tak zwykle je traktujemy, czerpiąc z nich wiedzę. Jednak mogą być też murem odgradzającym od rzeczywistości. I niestety media formacyjne (nie tylko prawicowe) tym właśnie się stają.

Pół biedy, jeśli użytkownik takiego medium zdaje sobie sprawę, że obcuje z murem, a nie z oknem. Mam takich prawicowych znajomych, którzy oglądają „Wiadomości" dla jaj i ryczą ze śmiechu, bardziej niż na kabaretach. Oni mają świadomość, że są w sytuacji ludzi z jaskini z platońskiej przypowieści i czerpią z tego specyficzną perwersyjną przyjemność.

Gorzej, jeśli tej świadomości brak. Szarak będzie sobie z tym żył i nic strasznego się nie zdarzy. Jednak dla polityka kontakt z rzeczywistością to absolutny fundament wykonywanego przez niego zawodu. Iluż ja już widziałem polityków, którzy odjeżdżali, bo mylili media z opinią publiczną?! To takie powtarzalne.

I dlatego, jeżeli już ktoś uważa się za prawicowego dziennikarza, to nie powinien swej ulubionej formacji odcinać medialnym murem od rzeczywistości. Nie powinien pakować swych faworytów do „Truman Show". W ten sposób najzwyczajniej działa na ich szkodę. Czyli też swoją. Bo milej jest chyba porządzić trzy kadencje niż jedną. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Powyborczo

Ktoś z dziennikarzy przejęzyczył się, komentując wyniki wyborów. „PiS poniosło sukces" – powiedział. I coś w tym jest. Manipulując matematyką, można oczywiście się cieszyć, że stan posiadania w sejmikach wzrósł co najmniej (statystyka jest dynamiczna) pięciokrotnie, i podawać zwycięstwo w licznych gminach czy powiatach. Nie zmienia to jednak sprawy, że w stołecznym mieście Warszawie, niezależnie od wyników w kolejnych wyborach w latach 2019–2020, przez pięć następnych lat skazani będziemy na wojnę o każdy plac, pomnik, nazwy ulic, demonstrację itp. No, chyba że Duch Święty, który dawno temu opuścił Hankę Bufetową, oświeci Rafała Trzaskowskiego i skupi się on na gospodarowaniu, a nie na marzeniach o kolejnych szczeblach własnej kariery. Równie ciekawi mnie odpowiedź na pytanie: Jak to się stało? Kto zawinił – TSUE, który przeraził Polaków perspektywą polexitu, film „Kler" godzący w podstawy naszej narodowej tożsamości, permanentny, brutalny hejt na Jakiego i Morawieckiego? Według mnie warto też uderzyć się we własne piersi i zapytać, ile mamy zasługi w tym, że w przypadku pani Zdanowskiej w Łodzi, pana Smogorzewskiego w Legionowie czy pana Małkowskiego w Olsztynie do głosu doszła wrodzona przekora Polaków nakazująca działać na przekór KAŻDEJ władzy, zwłaszcza gdy ta chce (nawet słusznie) zrobić komuś kuku.

> **Do głosu doszła wrodzona przekora Polaków nakazująca działać na przekór KAŻDEJ władzy**

Będąc pod wrażeniem niebywałej waleczności i pracowitości Patryka Jakiego, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że większość jego wysiłku poszła na przekonywanie już przekonanych i że wynik w Warszawie miałby niewiele gorszy, gdyby nie prowadził żadnej kampanii. To, że wybory wygrywa się, pozyskując niezdecydowanych, należy do abecadła polityki. Przegrana w wielkich miastach to także wyjątkowo ciężka klęska na froncie ideowym. Opozycja nadal będzie miała kontrolę nad teatrami i placówkami kulturalnymi. Uliczni obrońcy konstytucji znów złapali wiatr w żagle.

Wątpliwe, aby Koalicja Obywatelska znalazła się już na drodze rekonkwisty Polski z rąk PiS-owskich ciemiężców, ale może się łudzić. Najważniejsze pytanie, które stoi dziś przed obozem dobrej zmiany i Naczelnikiem w szczególności, to pytanie o wnioski. Czy należy cieszyć się sukcesem, czy wyciągnąć krytyczne wnioski? Również personalne. Dzwony bijące na wiwat naprawdę niewiele się różnią od pogrzebowych. ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. FOTOLIA

Potrzebujemy polskiego pieniądza

15 mld zł rocznie – tyle kapitału może trafiać na polski rynek już po trzecim roku działania Pracowniczych Planów Kapitałowych. PPK mają być realną alternatywą dla zagranicznej kroplówki inwestycyjnej, od której jesteśmy teraz uzależnieni

Polska gospodarka, mimo że na tle europejskich konkurentów rozwija się niezwykle dynamicznie, to ciągle cierpi na zapóźnienia cywilizacyjne wynikające m.in. z niemal 40-letniego okresu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W głównej mierze potrzebujemy własnego kapitału. Nasz dług publiczny finansowany jest m.in. z zagranicznych pożyczek. Idealny model zaciągania długoletnich zobowiązań to dług wewnętrzny. Czyli taki, w którym państwo pożycza pieniądze od swoich obywateli.

– Ten model finansowania zmienia się na naszą korzyść, ale bardzo powoli. Na polskim rynku jest po prostu zbyt mała ilość gotówki, którą moglibyśmy dysponować długofalowo i jednocześnie przy niskim oprocentowaniu – uważa Marcin Leoszko, ekonomista ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. – PPK mogą tę sytuację odmienić. My naprawdę potrzebujemy pieniądza jak kania dżdżu.

I rzeczywiście, Polacy mają ok. 2 bln zł aktywów finansowych. Na pierwszy rzut oka to potężna kwota, która zaspokoiłaby bieżące potrzeby inwestycyjne kraju. Problemem jednak jest to, że znaczna część tej kwoty to gotówka (600 mld zł). Jedynie 337 mld jest zainwestowanych na giełdzie, a 341 mld zgromadzonych na depozytach bankowych.

To z kolei bardzo komplikuje sprawę oszczędności i inwestycji. Bo gotówka jest depozytem bardzo płynnym, trudnym do finansowania długofalowych inwestycji. PPK, czyli powszechny, dobrowolny i prywatny system długoterminowego oszczędzania dla pracowników, tworzony i współfinansowany przez pracodawców i państwo, mogą odmienić ten trend. Z jednej strony mogą nauczyć Polaków oszczędzania i świadomego podejmowania decyzji w kwestii swojej przyszłości. Z drugiej długoterminowo zwiększając potencjał rozwoju polskiej gospodarki i zmniejszając zadłużenie zagraniczne.

Mogą spełnić jeszcze jedną, niezwykle istotną rolę – przynajmniej częściowo uniezależnić nas od kapitału pochodzącego z zachodnich funduszy inwestycyjnych i stworzyć dla nich realną alternatywę.

Dzisiaj to one decydują, jakie projekty ekonomiczne wesprą swoimi pieniędzmi. Zresztą ponad 90 proc. z największych funduszy inwestycyjnych świata w Polsce w ogóle nie było. Z prostej przyczyny: nasz kraj nie znajdował się w gronie najbardziej rozwiniętych gospodarek świata. A tylko na takich rynkach działali międzynarodowi giganci. W ostatnich dniach sytuacja się co prawda zmieniła, ponieważ Polska jako pierwszy od dekady kraj awansowała do niezwykle prestiżowego grona 25 największych rynków. FTSE Russell, czyli brytyjski dostawca indeksów giełdowych, uznał, że polską gospodarkę można postawić obok amerykańskiej czy brytyjskiej. To jednak nie spowoduje od razu lawinowych inwestycji. Na to potrzeba czasu, którego nie mamy.

– Najważniejszą przyczyną wprowadzenia przez rząd Pracowniczych Planów Kapitałowych jest jednak niestabilna sytuacja finansowa Polaków – uważa Leoszko.

Aż 70 proc. z nas nie zabezpiecza się na przyszłość. Nie odkładamy pieniędzy na starość, licząc, że jakoś to będzie. A sytuacja jest bardzo zła. Zachodzące w Polsce procesy demograficzne sprawiają, że możemy mieć problemy z wygodnym życiem emeryta z samych składek ZUS. Dlatego aż 66 proc. pracowników dobrze ocenia pomysł PPK. 97 proc. z nich za główną ich zaletę uważa, że będą dziedziczne i prywatne – czyli realnie będziemy mogli z nich skorzystać w każdej życiowej sytuacji.

eprasa.pl a980e6f3ab

Pan od znaczków

Piotr Woyciechowski

Jeden z najsłynniejszych na świecie projektantów znaczków pocztowych współpracował z aparatem bezpieczeństwa PRL

Polak z urodzenia. Obywatel Szwecji. Rezydent w Sztokholmie, mieszkaniec Monako. Nadworny rytownik króla Szwecji. Genialny artysta. Twórca najmniejszych form graficznych – znaczków pocztowych i bloczków pocztowych oraz rytów wykorzystywanych przy druku banknotów. Zdaniem Zygmunta Jagodzińskiego, biografa mistrza i znawcy jego twórczości, Czesława Słanię zaliczyć należy do postaci epokowych, legendarnych, wręcz kultowych. W dwutomowym dziele wydanym w 2006 r. nakładem Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych SA, zatytułowanym „Czesław Słania – polski grafik. Genialny rytownik", Jagodziński tak opisuje mistrza: „Miał mistrzowskie wyczucie perspektywy, bezbłędnie operował światłocieniem, podobnie jak to czynił Rembrandt, doskonale czuł formę. Miał bystry zmysł obserwacyjny, fenomenalną pamięć wzrokową, nadzwyczajne zdolności odtwórcze".

Czesław Słania wykonał ponad 1 tys. projektów znaczków dla co najmniej 32 państw. Najwięcej dla Szwecji (395), Danii (242), Monako (135) i Wysp Owczych (93). Zlecenia otrzymywał także od takich egzotycznych krajów jak Hongkong, Jamajka i Singapur. Dorobek ten sprawił, że jego nazwisko wpisano do Księgi rekordów Guinnessa jako twórcy rekordowej liczby wygrawerowanych znaczków pocztowych.

Tematyka prac filatelistycznych Czesława Słani obejmowała portrety, florę i faunę, historię i kulturę. Już po śmierci Słani odkryto, że mistrz miał zwyczaj podczas grawerowania znaczka umieszczać na nim mikroskopijne imiona swoich bliskich (tzw. tajnopisy). Ponadto członkowie rodziny (w tym sam autor) służyli niejednokrotnie jako modele podczas prac nad anonimowymi postaciami, które znajdują się na znaczkach.

Czesław Słania należy także do najbardziej utytułowanych Polaków za

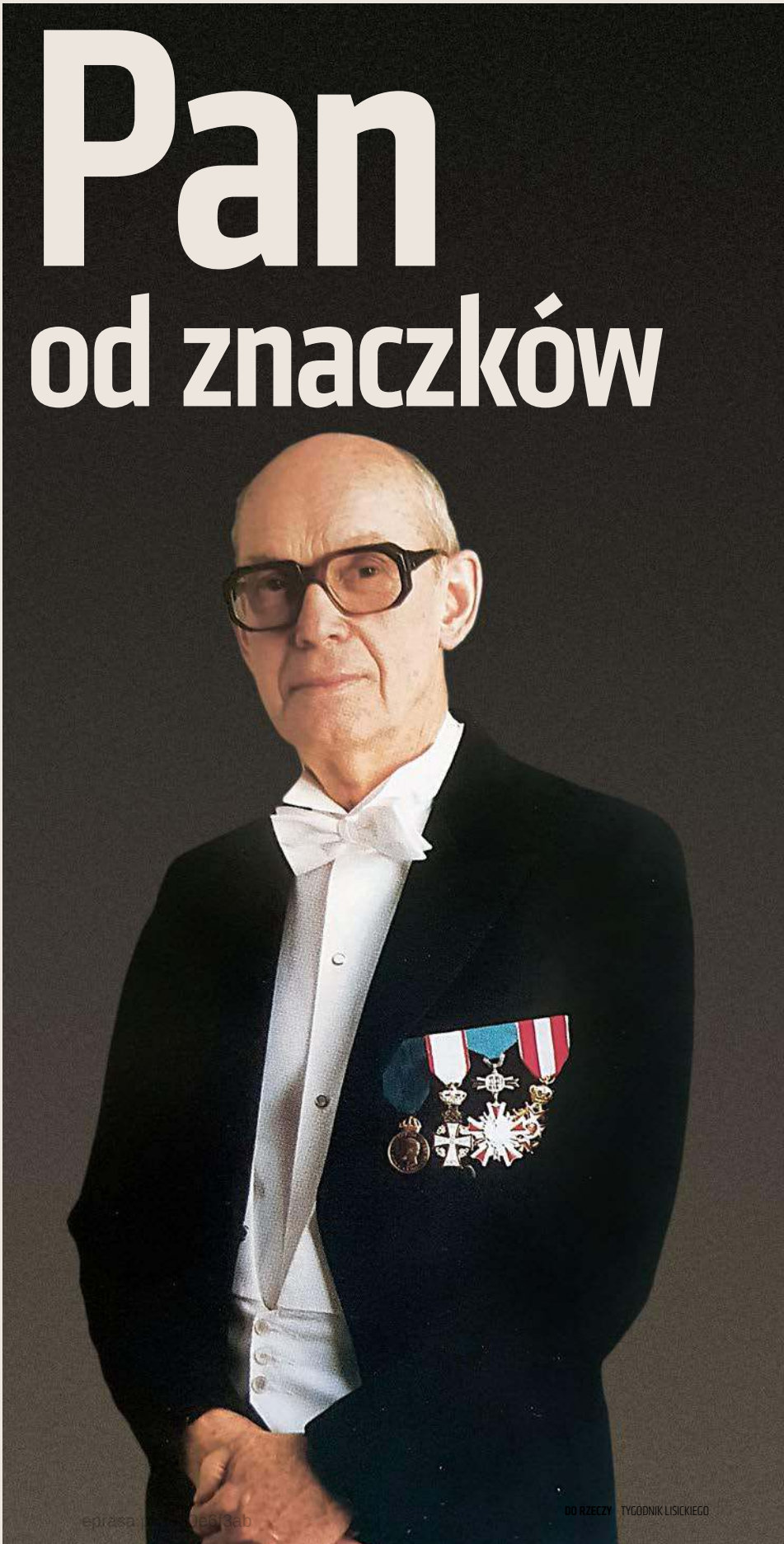

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa

granicą. Dwukrotnie przyznano mu tytuł Polaka Stulecia w Szwecji (lata 1999 i 2002).

UCIECZKA Z PRL

Słania urodził się 22 października 1921 r. w Czeladzi-Piaskach. Dzieciństwo spędził w Osmolicach pod Lublinem. Chodził do lubelskiego gimnazjum. Już w młodości zdradzał nieprzeciętne zdolności rysunkowe. Potrafił kopiować (podrabiać) wszystko, na co miał ochotę: legitymacje szkolne, banknoty, bilety. Po zakończeniu II wojny światowej losy rzuciły go do Krakowa. W 1946 r. zdał dużą maturę i otrzymał świadectwo dojrzałości. W tym samym roku, po zdaniu egzaminów, został przyjęty na studia w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (późniejszej ASP). Absolutorium uzyskał w 1951 r., a dyplom ukończenia uczelni wyższej dopiero w 1953 r. Jeszcze przed rozpoczęciem studiów, a także w ich trakcie, Czesław Słania pracował w Drukarni Narodowej filii Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych w Krakowie. W 1950 r. został przyjęty do pracy w PWPW na stanowisko praktykanta rytownika. W tym samym roku przeniósł się do Warszawy, gdzie zamieszkał w przydzielonym przez PWPW mieszkaniu służbowym przy ul. Franciszkańskiej 4. Pracę kontynuował w odbudowanej po zniszczeniach wojennych PWPW przy ul. Sanguszki 1. Swój wyjątkowy i nieprzeciętny talent Słania ujawnił przy okazji prac nad znaczkiem pocztowym z podobizną Jarosława Dąbrowskiego i wykonania rytów portretowych Józefa Stalina. Uznanie przyniosła mu praca dyplomowa „Bitwa pod Grunwaldem Jana Matejki", wykonana stalorytem w formie znaczka pocztowego. W PWPW Czesław Słania pracował blisko 11 lat, od 1945 r. (na stanowisku rytownika sześć lat) do momentu jego ucieczki z PRL w 1956 r.

W czerwcu 1956 r. Słania wykupił wycieczkę w biurze turystycznym Orbis do Szwecji. 23 sierpnia 1956 r. wypłynął statkiem „Mazowsze" do Sztokholmu, skąd już nie powrócił. Wraz z pięcioma innymi pasażerami odmówił powrotu do PRL i pozostał w Szwecji. Władze komunistyczne uznały to za akt zdrady. Dziesięć lat później Słania uzyskał obywatelstwo Szwecji za cenę zrzeczenia się obywatelstwa PRL. Zrobił zawrotną karierę w swoim zawodzie. Do kraju powrócił dopiero w 1993 r. Zmarł 17 marca 2005 r. w Krakowie. Został pochowany na cmentarzu Rakowickim.

Jest jednak jeszcze inna twarz wielkiego artysty rytownika. Mniej znana. Twarz komunisty, politruka, konfidenta i konformisty.

PPR I ARMIA LUDOWA

Żeby to zrozumieć, należy się cofnąć do okresu okupacji niemieckiej i działalności Słani w komunistycznej konspiracji. Czesław Słania, jak sam przyznaje w swoim oficjalnym życiorysie, do PPR wstąpił w 1942 r. Miał wtedy 21 lat. Wiosną 1944 r. wstąpił do oddziału Armii Ludowej, przyjmując pseudonim Żuk. Nie walczył zbrojnie. Zajął się wyrabianiem dla organizacji niemieckich dokumentów. Podrabiał także banknoty. Tuż po tzw. wyzwoleniu Lubelszczyzny przez sowieckie wojska wybrano go na sekretarza Powiatowego Komitetu PPR w Lublinie (wrzesień 1944 r.). W październiku tego roku wstąpił na ochotnika do Ludowego Wojska Polskiego i został skierowany do Centralnej Szkoły Polityczno-Wychowawczej w Lublinie. Zdecydował się na ten krok w momencie, kiedy na zamku w Lublinie działało już polityczne więzienie karno-śledcze podległe bezpośrednio władzom sowieckim. W katowni tej torturowano i mordowano żołnierzy AK.

Po ukończeniu szkoły politycznej Słania otrzymał stopień podporucznika. Po krótkim epizodzie pracy w Tajnej Kancelarii Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego, w lutym 1945 r., został skierowany do dyspozycji gen. Aleksandra Zawadzkiego, ówczesnego wojewody śląsko-dąbrowskiego. Zawadzki to mroczna postać: przedwojenny komunista, członek KPP i agent NKWD. Słania miał okazję z nim blisko współpracować. Musiał więc wiedzieć o masowych deportacjach Ślązaków w głąb sowieckiej Rosji do pracy przymusowej w kopalniach i łagrach.

W październiku 1945 r. Słania jako oficer polityczny został zdemobilizowany. Przyczyną zwolnienia stała się gruźlica płuc, którą Słania miał zataić przed wstąpieniem do LWP. Za zasługi otrzymał dyplom „Żołnierzowi Demokracji", odznakę „Grunwaldu" i medal „Zwycięstwa i Wolności".

W sierpniu 1956 r. wyjechał do Szwecji, skąd odmówił powrotu do PRL. Dwa tygodnie po ucieczce bezpieka wszczęła wobec Czesława Słani tzw. sprawę agenturalną na osobę o kryptonimie Grafik z powodu zdrady ojczyzny. Rozpoczęto śledztwo mające na celu wyjaśnienie okoliczności ucieczki. Uznano, że ze względu na wysokie kwalifikacje zawodowe uciekiniera i charakter produkcji specjalnej PWPW zachodzi obawa o wykorzystywanie Słani przez zachodnie ośrodki wywiadowcze do fałszowania dowodów osobistych i paszportów oraz banknotów PRL.

Rozpracowaniem objęto najbliższą rodzinę Słani (w tym żonę, którą porzucił) oraz jego współpracowników w PWPW. Zrewidowano lokal mieszkalny przy ul. Franciszkańskiej. Bardzo szybko ustalono adres zamieszkania Słani w Sztokholmie oraz dane Szweda, który mu udzielił gościny. Miał nim być Evert Sven – pracownik szwedzkiego odpowiednika PWPW. Rozpoczęto kontrolę korespondencji najbliższej rodziny Czesława Słani oraz kilku kolegów. Zwrócono się także do Departamentu I (wywiad) z wnioskiem o przeprowadzenie na terenie Szwecji obserwacji Słani za pomocą posiadanej agentury.

AGENT „MAJEWSKI"

W aktach rozpracowania „Grafika" odnotowano, że Czesław Słania od września 1951 do listopada 1953 r. był wykorzystywany na terenie PWPW przez aparat bezpieczeństwa jako rezydent o pseudonimie Majewski. To najwyższa w hierarchii forma tajnej współpracy z UB, która zakładała możliwość kierowania przez rezydenta pracą kilku innych TW. W okresie tym jednak, jak zauważono, „rezydent »Majewski« sieci agenturalnej nie obsługiwał". Niestety, materiały źródłowe dotyczące działalności TW „Majewski" nie zachowały się do naszych czasów.

Ustalono, że Słania wiosną 1956 r. często był wzywany do UB. Afiszował się przed kolegami w pracy znajomością i kontaktami z dwoma wysokimi oficerami centrali bezpieki w Warszawie. Jedno nazwisko było znane, był to tow. Sienkiewicz. Możliwe, że chodzi o kpt. Edmunda Sienkiewicza, byłego adiutanta gen. Aleksandra Zawadzkiego i szefa jego ochrony w okresie, gdy pełnił funkcję wicepremiera rządu PRL.

Stosunkowo szybko, bo już po niespełna sześciu miesiącach, rozpracowanie zakończono. W lutym 1957 r. akta sprawy „Grafik" złożono do archiwum. Możliwe, że na decyzję o zakończeniu rozpracowania wpływ miała zmieniona sytuacja polityczna w PRL. W październiku

eprasa.pl a980e6f3ab

1956 r. do władzy doszedł Władysław Gomułka. Nastąpiła tzw. odwilż październikowa polegająca na destalinizacji, chwilowej liberalizacji życia politycznego oraz zmian strukturalnych i personalnych w komunistycznej bezpiece.

Niewykluczone jednak, że na decyzję mogły mieć wpływ inne czynniki o charakterze operacyjnym. W końcowych fragmentach sprawy „Grafik" oficer prowadzący sporządził notatkę datowaną na 7 stycznia 1957 r., w której znalazła się znamienna uwaga: „Według opinii pracowników […] Departamentu II [kontrwywiad – przyp. aut.], po porozumieniu się z Departamentem I można by sprawę złożyć w archiwum. Porozumienie z Dep. I przed złożeniem w archiwum pracownicy tłumaczyli tym, że figurant może lub mógł być związany z Dep. I przed wyjazdem z kraju". Rzeczywiście, wywiad interesował się Słanią. Jego akta zarchiwizowano pod numerem 5212. Niestety, i te materiały się nie zachowały.

Jest jeszcze jedna poszlaka mogąca świadczyć o tym, że ucieczka Słani z kraju mogła być kontrolowana przez komunistyczną bezpiekę. W postanowieniu o zamknięciu rozpracowania za oficjalną przyczynę pozostania za granicą uciekiniera uznano możliwość wyleczenia się w komfortowych warunkach z choroby płuc. Szkopuł w tym, że Czesław Słania po ucieczce nigdy nie poddał się leczeniu i praktycznie do końca życia cieszył się dobrym zdrowiem.

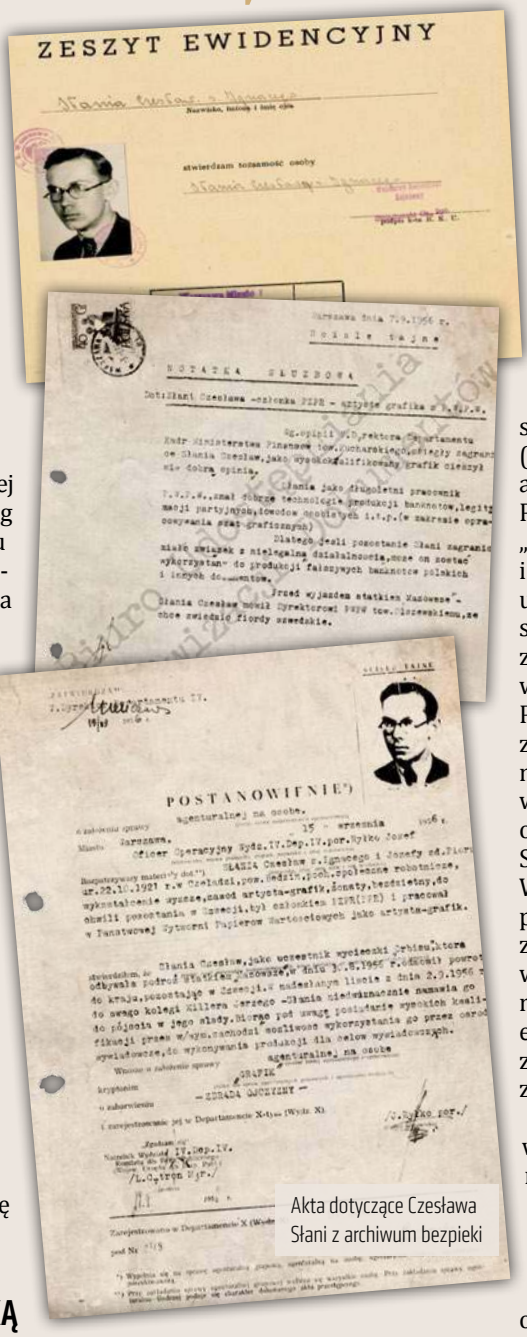

Akta dotyczące Czesława Słani z archiwum bezpieki

DRUGIE SPOTKANIE Z BEZPIEKĄ

To niejedyne wątpliwości co do Czesława Słani. W 1970 r., 14 lat po odmowie powrotu do kraju i pięć lat po uzyskaniu szwedzkiego obywatelstwa, nastąpiło odnowienie jego kontaktów z SB.

Krakowska bezpieka, dzięki inwigilacji korespondencji rodziny Słani mieszkającej w Polsce, dowiedziała się, że ten ma zamiar spotkać się z jego matką, rodzoną siostrą Leokadią oraz jej córką Marianną na terenie Czechosłowacji. W wyniku przygotowań i porozumienia z czeską bezpieką doszło do nawiązania kontaktu operacyjnego ze Słanią w końcu kwietnia 1970 r. w miejscowości Smokovec k. Popradu. W rozmowie na terenie restauracji hotelu Bellevue, w którym Słania zatrzymał się wraz z rodziną, uczestniczyło dwóch funkcjonariuszy kontrwywiadu SB z Krakowa.

Treść i przebieg prawie dwugodzinnej rozmowy Słani z SB obrazuje stopień jego lojalności wobec komunistycznego państwa oraz ujawnia nieznane dotąd wątki jego współpracy ze służbami PRL na terenie Szwecji.

Funkcjonariusze bezpieki rozpytywali Słanię o wrogą wobec PRL działalność środowisk emigracyjnych w Szwecji. Ten chętnie udzielał informacji. Podczas rozmowy scharakteryzował działalność znanych mu organizacji, w tym Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Koła Lwowian. Opowiadał o osobach powiązanych z Radiem Wolna Europa. Scharakteryzował i wymienił z imienia oraz nazwiska łącznie 14 osób, którymi bezpieka mogłaby być zainteresowana. Wszystko to za cenę umożliwienia Słani odwiedzin w kraju oraz pomocy w udzieleniu zgody władz paszportowych na wyjazd jego rodziny do Szwecji.

Indagowany na okoliczność kontaktów ze służbami wywiadowczymi przyznał, że na terenie Sztokholmu spotykał się z płk. Władysławem Frong (pisownia oryginalna), ówczesnym attaché wojskowym przy ambasadzie PRL w Szwecji. Jak przyznał sam Słania, „kontaktowali się stosunkowo często" i płk Frong kilkakrotnie korzystał z jego usług w kwestii rozeznania miejscowych stosunków. Ostatecznie kontakty zostały zerwane po wymianie obsady ataszatu wojskowego w Sztokholmie. W realiach PRL zarówno attaché wojskowy, jak i pozostali pracownicy ataszatu byli oficerami wywiadu wojskowego. I rzeczywiście, w dostępnych materiałach archiwalnych odnajdujemy ślad zainteresowania się Słanią ze strony wojskowej bezpieki. Wskazuje na to wypożyczenie w 1962 r. przez WSW akt sprawy „Grafik". Niestety, ze względu na szczupłość materiałów w IPN z tego okresu oraz na nieuporządkowany stan archiwum MSZ wątek ewentualnej współpracy Czesława Słani z wywiadem wojskowym jest trudny do zweryfikowania i pogłębienia.

Zdaniem funkcjonariuszy w rozmowie w Czechosłowacji Słania wyraził zgodę na udzielenie SB dalszej pomocy i na odbycie następnego spotkania. Umówiono je w Smokovcu, w tym samym hotelu. Jednakże żadnych dokumentów nie podpisał. Miał wyraźne obawy o zachowanie konspiracji kontaktów z SB, dlatego chciał, aby ewentualne przyszłe spotkania nie odbywały się na terytorium PRL. Słania otrzymał adres skrzynki kontaktowej SB w Krakowie, na którą miał wysłać list z ustaloną treścią i terminem kolejnego przyjazdu do Czechosłowacji. Jeden raz powiadomił SB o swoim przyjeździe – w sierpniu 1970 r. Nie wiadomo z jakich przyczyn, ale do ponownego spotkania nie doszło. Na monity i późniejsze próby wywołania ze strony SB nie reagował.

W tym miejscu urywa się ślad świadomych kontaktów Czesława Słani ze Służbą Bezpieczeństwa. Nie znamy detali jego ewentualnej współpracy z komunistycznym wywiadem wojskowym lub cywilnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwoni na Śląsku

Na początku 1945 r. siły 1. Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej wkroczyły na Śląsk. Dla mieszkańców regionu rozpoczął się koszmar, który do historii przeszedł jako „tragedia górnośląska". Gwałty, grabieże, zabójstwa, obozy koncentracyjne i deportacje w głąb Związku Sowieckiego. Odwet bolszewików był straszny i ślepy. Ich ofiarą padli Niemcy, Ślązacy i Polacy.

Tym tragicznym wydarzeniom poświęcony jest ciekawy zbiór artykułów i materiałów źródłowych wydany przez IPN – „Koniec wojny na Śląsku".

Jak pisze Joanna Hytrek-Hryciuk, do jednej z największych masakr doszło w Opolu, gdzie czerwonoarmiści zabili 280 cywilów. Tyle samo ludzi zginęło w Boguszycach. Dwieście ofiar pochłonęły zbrodnie w Miechowicach, 150 – w Czarnowąsach. Wśród ofiar były dzieci.

„No i tu zostały same kobiety – czytamy w jednym ze wspomnień. – I one miały te trupy pozbierać. Chodziły od chałupy do chałupy, bo to w każdej chałupie był trup i na takie sanki. A te kobiety były młode i stare, słabe. Na Kirchof je zawiozły, a tam tyle śniegu, ziemia zamarznięta. No i jak tam wydłubały te kobiety, tak wydłubały i tak ich pochowali".

A oto wspomnienie mieszkanki Boguszyc:

„Byłam w mieszkaniu sama, gdy wpadł jeden Ruski. Miał wielką czapę, ledwo było spod niej widać twarz. Ale jego skośne oczy widziałam dobrze, ciągle je widzę. Zagnał mnie do izby, bagnetem rozciął mi spódnicę i bieliznę i kazał kłaść się na łóżka. Nie posłuchałam. Uderzył mnie karabinem w ramię. Przystawił mi nóż do gardła. Przewrócił mnie na podłogę. Śmierdział wódką i brudem. Pastwił się nade mną. W izbie znalazło się kilku, chyba sześciu, innych żołnierzy. Nie powstrzymało ich, że byłam półprzytomna, że krwawiłam".

Sprawa ma też swoją drugą – mniej znaną – stronę, na co w książce zwrócił uwagę prof. Mikołaj Iwanow.

„Zajęcie Śląska przez Armię Czerwoną odbyło się według tych samych zasad i z zastosowaniem tej samej tradycyjnej taktyki sowieckiego dowództwa. Nie oszczędzano ani wroga, ani siebie. Nawet w końcowym etapie wojny straty Armii Czerwonej znacznie przewyższały straty przeciwnika. Zasada »naprzód bez względu na straty« obowiązywała nadal".

Zbrodnicze szafowanie krwią własnych żołnierzy jest jednym z powodów, dla których czerwonoarmiści zachowywali się na Śląsku tak strasznie. Skoro i tak jutro zginiemy, to przynajmniej sobie pohulamy! ©℗

★★★★★★

KSAWERY JASIAK, KRZYSZTOF KAWALEC, PIOTR STANKA [RED.]
„KONIEC WOJNY NA ŚLĄSKU. ROK 1945"
IPN 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Cmentarz Łyczakowski

Początek listopada nieodmiennie kieruje myśli w stronę tych, którzy odeszli, a skomplikowana historia naszego kraju spowodowała, że wiele grobów wybitnych rodaków pozostało poza granicami obecnej Polski. Na terenie innych państw znajdują się także dwie z czterech najważniejszych polskich nekropolii: wileńska Rossa i lwowski cmentarz na Łyczakowie. Ten ostatni uchodzi za jedną z najstarszych nekropolii w tej części Europy, założony został bowiem w 1786 r. i zgodnie z założeniami swoich twórców szybko stał się obiektem kultury, terenem spacerów i miejscem zadumy nad przemijaniem.

Na nagrobkach Łyczakowa rozwinięto całą symbolikę żałobną

Wybór lokalizacji był szczęśliwy, teren obfitował w pagórki i zbocza z tarasami, doskonale też spisali się wykonawcy, wśród których nie zabrakło znakomitych rzeźbiarzy. Na nagrobkach Łyczakowa rozwinięto całą antyczną i chrześcijańską symbolikę żałobną. W efekcie mamy tutaj do czynienia z niezwykłym bogactwem symboli smutku, żalu, pociechy, ukojenia i wiary.

O randze cmentarza zadecydowała również renoma pochowanych tutaj osób. Nie zabrakło wybitnych literatów (Konopnicka, Zapolska, Łoziński, Goszczyński, Bełza), plastyków (Grottger, Harasimowicz), naukowców (Banach, Kętrzyński, Balzer, Dybowski), wojskowych (Ordon) i polityków (Smolka). Na specjalną uwagę zasługują też kwatery powstańców listopadowych i styczniowych oraz cmentarz Orląt Lwowskich.

Pogrzeby wybitnych rodaków organizowano z wielką starannością i cieszyły się one ogromnym zainteresowaniem. Nie bez powodu uważano, że można „lepiej urodzić się gdzie indziej, lepiej się ożenić", ale „nigdzie nie można mieć piękniejszego pogrzebu". W efekcie pojawiła się nawet moda zapraszania „znakomitych ludzi, aby przyjeżdżali umierać we Lwowie".

Na niektórych nagrobkach upływający czas zatarł napisy, co dodatkowo pobudza wyobraźnię. Nie wiemy, kto spoczywa w pięknym grobowcu ozdobionym figurą małej dziewczynki (tzw. Dziuni) autorstwa Leonarda Marconiego. Jaki dramat sprzed lat symbolizuje ta w mistrzowski sposób wykonana rzeźba? Nie wiadomo też, czyje szczątki kryją w sobie dwa grobowce zwieńczone wspaniałymi posągami przypisywanymi Julianowi Markowskiemu. Szczególne uczucia wzbudza mogiła nieznanego z nazwiska Leosia, nad którą czuwa wyrzeźbiony przez Antona Schimsera skrzydlaty Hypnos. Można odnieść wrażenie, że bóg snu zatrzymał się tu tylko na chwilę, by zaczerpnąć tchu, i odleci gdzieś dalej, by przysiąść przy łożu innego umierającego i przynieść mu ulgę w cierpieniu. ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

Łaskawość generała

Piotr Litka

Jedynymi skazanymi w sprawie uprowadzenia i morderstwa ks. Jerzego Popiełuszki pozostają czterej funkcjonariusze „kościelnego" Departamentu IV MSW. Do archiwum IPN trafiły niedawno nowe dokumenty dotyczące tej zbrodni

Kapitana Grzegorza Piotrowskiego zatrzymano 23 października 1984 r., chwilę po rozmowie w gabinecie gen. Czesława Kiszczaka. Później przez kilka dni Piotrowski przebywał na terenie MSW pilnowany przez pracowników resortu. Do mokotowskiego aresztu przewieziono go dopiero 25 października 1984 r. Porucznika Leszka Pękalę zatrzymano w tym samym dniu co Piotrowskiego. Do aresztu został przyjęty w tym samym dniu co jego przełożony. Porucznika Waldemara Chmielewskiego zatrzymano 24 października 1984 r. wieczorem. Za kraty trafił dwa dni później. Pułkownika Adama Pietruszkę – najwyższego rangą funkcjonariusza MSW zatrzymanego w tej sprawie – aresztowano w przededniu pogrzebu ks. Popiełuszki, 2 listopada 1984 r. Do aresztu na Mokotowie dotarł 4 listopada.

Prokuratura zarzuciła Pietruszce sprawstwo kierownicze, a jego podwładnym m.in. to, że 19 października 1984 r. uprowadzili ks. Popiełuszkę i towarzyszącego mu Waldemara Chrostowskiego. Po ucieczce Chrostowskiego ksiądz był bity i torturowany. Około

eprasa.pl a980e6f3ab

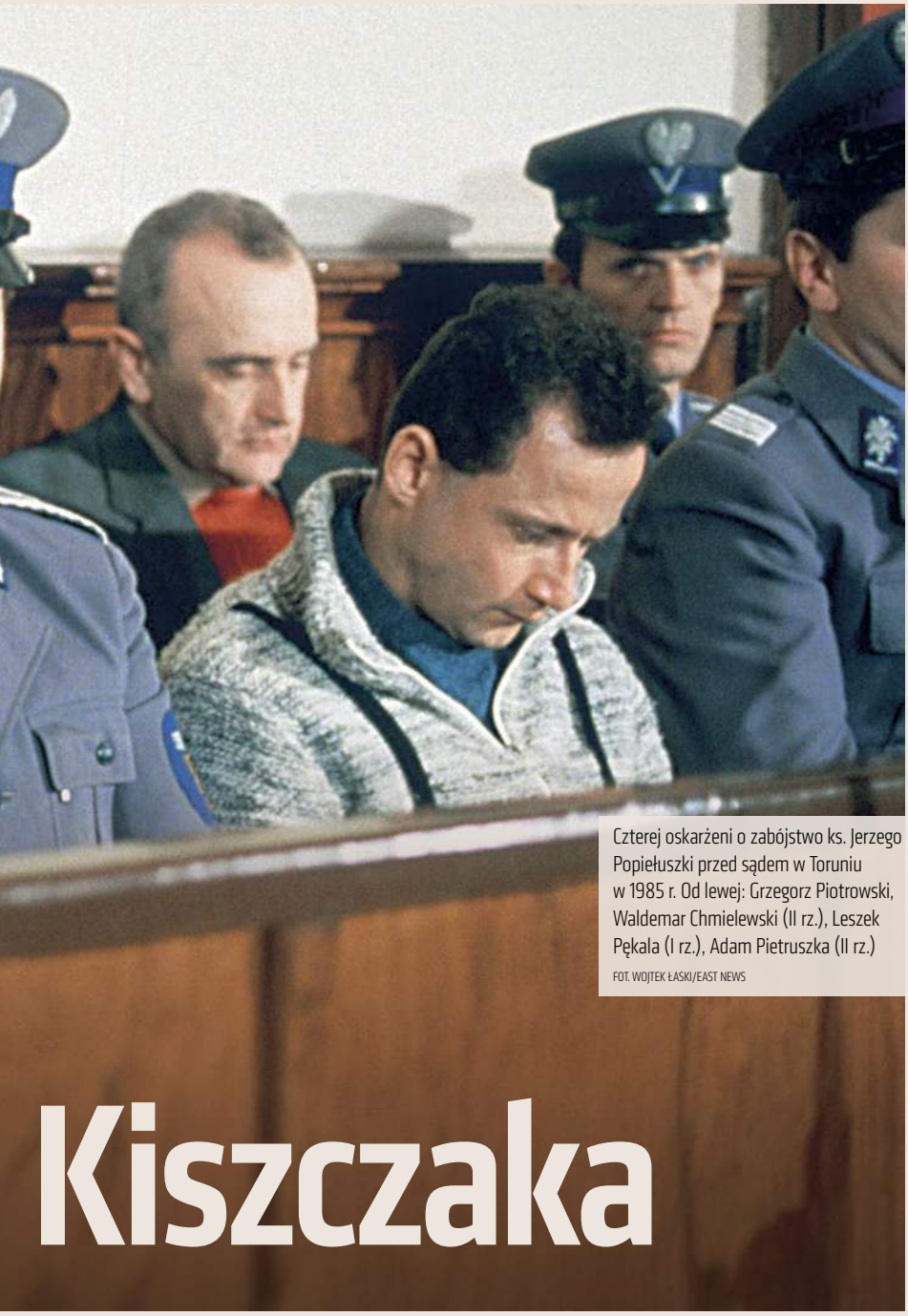

Czterej oskarżeni o zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki przed sądem w Toruniu w 1985 r. Od lewej: Grzegorz Piotrowski, Waldemar Chmielewski (II rz.), Leszek Pękala (I rz.), Adam Pietruszka (II rz.)

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

Kiszczaka

północy zwłoki duchownego miały zostać wrzucone do Wisły na tamie we Włocławku. W śledztwie i podczas procesu do winy nie przyznał się Pietruszka. Trzech porywaczy złożyło obszerne wyjaśnienia, przyznając się do uprowadzenia księdza. Jednak – jak twierdzili wielokrotnie – nie mieli zamiaru zamordowania kapłana. 7 lutego 1985 r. Sąd Wojewódzki w Toruniu skazał Piotrowskiego i Pietruszkę na 25 lat pozbawienia wolności; 15 lat miał spędzić w więzieniu Pękala, a 14 lat – Chmielewski. 22 kwietnia tego samego roku Sąd Najwyższy podtrzymał wyroki z Torunia. Żaden ze skazanych byłych funkcjonariuszy MSW nie odsiedział kary w całości.

GENERAŁ SONDUJE

Już 10 lipca 1986 r. gen. Czesław Kiszczak spotkał się w budynku MSW w Warszawie z przedstawicielami Kościoła: abp. Bronisławem Dąbrowskim i ks. Alojzym Orszulikiem. W rozmowie z nimi Kiszczak nawiązał do głośnej w stanie wojennym sprawy aresztowania w nocy z 4 na 5 marca 1982 r. ks. Sylwestra Zycha. Duchownemu zarzucano m.in. „udział w związku zbrojnym" i przechowywanie broni, z której w warszawskim tramwaju 18 lutego 1982 r., podczas próby odebrania służbowego pistoletu, postrzelono milicjanta – sierż. Zdzisława Karosa. Kilka dni później Karos zmarł. We wrześniu 1982 r. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał ks. Zycha na cztery lata więzienia. Po prokuratorskiej rewizji Sąd Najwyższy (Izba Wojskowa) podwyższył wyrok do lat sześciu.

„Siedzimy nad tym tematem – stwierdził Kiszczak podczas spotkania z przedstawicielami episkopatu w lipcu 1986 r. – Rozważane są różne koncepcje, szersze i węższe. Nie będzie to prawdopodobnie amnestia, ale akt łaski. […]. W związku z rozpatrywaniem zastosowania aktu łaski można by rozważyć sprawę zwolnienia ks. Zycha […]. Jest to sprawa łatwiejsza. Sprawą trudniejszą jest zwolnienie Chechłacza i Łupanowa [biorących bezpośredni udział w próbie rozbrojenia Karosa – przyp. P.L.]. Chechłacz został skazany na 25 lat, Łupanow – na 15. Można by wnieść o zmniejszenie im kary do połowy. Boję się jednak, że jeśli ruszymy sprawę sprawców zabójstwa Karosa, to powstaje problem zabójców ks. Popiełuszki".

Strona kościelna odpowiedziała, że „nie należy łączyć sprawy zabójców ks. Popiełuszki ze sprawą zabójców Karosa, ponieważ wywoła to zły oddźwięk w społeczeństwie. Zabójstwo ks. Popiełuszki było dokonane […] z premedytacją, podczas gdy zabójstwo Karosa dokonało się w szczególnych okolicznościach – początek stanu wojennego – i było raczej przypadkowe".

„Przyznaję – replikował gen. Kiszczak – że sprawa jest nieporównywalna. Gdyby zastosować wobec zabójców ks. Popiełuszki pewien akt łaski, to może władza na tym ucierpieć. Władza zyskała przez to, że udowodniła, iż nie ma nic wspólnego z zabójstwem ks. Popiełuszki. Proces odbył się publicznie, sprawcy mogli się bronić i mówić, co chcieli. Nie należałoby zaprzepaścić tego, co zostało osiągnięte. Sprawa jest delikatna".

Prawdopodobnie generał sprawdzał jedynie, w jaki sposób abp Dąbrowski zareaguje na zaproponowane przez niego rozwiązanie. Już dwa miesiące później rozpoczął bowiem starania o przeprowadzenie zamysłu, o którym dyplomatycznie powiadomił stronę

eprasa.pl a980e6f3ab

kościelną. Jesienią 1986 r. w piśmie do ówczesnego prokuratora generalnego Józefa Żyty podkreślał, iż „proces karny [w Toruniu] jednoznacznie wskazał, że wyżej wymienieni [Pękala, Chmielewski i Pietruszka], popełniając zarzucane im czyny, kierowali się względami natury politycznej". We wniosku do prokuratora Kiszczak pominął Piotrowskiego.

To przeoczenie zostało „naprawione" niecały rok później. To wówczas po raz drugi zastosowano przepisy amnestyjne z roku 1986 wobec skazanych w „procesie toruńskim". Łaska darowania kary objęła tym razem również Piotrowskiego. Dzięki temu rozwiązaniu wyroki całej czwórki skazanej w Toruniu nie były już tak wysokie. 25-letnie wyroki Piotrowskiego i Pietruszki zmniejszono w sumie do niespełna 15 i 10 lat. Pękala i Chmielewski mieli jeszcze lepsze perspektywy szybkiego odzyskania wolności: pierwszemu zostało sześć lat odsiadki, a drugiemu zaledwie cztery lata i sześć miesięcy. Zmniejszono też wyroki ks. Zychowi i skazanym razem z nim chłopcom.

W uzasadnieniu drugiego wniosku w sprawie skazanych w procesie toruńskim Kiszczak podkreślał, iż „istnieją racjonalne przesłanki uzasadniające przekonanie, że objęcie ich ponownie dobrodziejstwem cytowanej ustawy spełni zakładane cele społeczne i profilaktyczne". Sąd Najwyższy podzielił optymizm ministra. Opierając się na zasadach „humanizmu socjalistycznego", zastosował przepisy amnestyjne po raz drugi.

NAGRODY I KARY

Adam Pietruszka jeszcze podczas śledztwa popadał w liczne konflikty ze służbą więzienną. Za kratami bywał „krnąbrny i mało zdyscyplinowany". Po wyroku wyznał funkcjonariuszom, że liczył na uniewinnienie. Przez cały okres odbywania kary zarówno on sam, jak i jego rodzina podczas widzeń na terenie zakładów karnych byli inwigilowani. Do archiwum IPN trafiły obszerne stenogramy z rozmów prowadzonych przez byłego pułkownika Departamentu IV MSW z jego najbliższymi: żoną i synem. Były one częścią większej operacji o kryptonimach: Trawa, Teresa i Robot. Jednak te nowe „więzienne stenogramy" nie były znane wcześniej. Pozwalają one na lepszą orientację w sytuacji skazanego pułkownika. Z dzisiejszej perspektywy z zarejestrowanych i ze spisanych wówczas rozmów jasno wynika, że Pietruszka i jego bliscy prowadzili grę z gen. Kiszczakiem. Kiedy Kiszczak przekonał się, że sprawa nie ma szans na wznowienie przed sądem, a co za tym idzie – na ukaranie innych winnych w sprawie mordu dokonanego na kapelanie Solidarności, zaczął luzować reżim, któremu poddany został jeden z głównych oskarżonych w toruńskim procesie. Pietruszka zaczął wychodzić na przepustki. W sumie „poza terenem jednostek penitencjarnych" przebywał 129 dni. Z Zakładu Karnego we Włocławku wyszedł 9 września 1994 r.

Inaczej potoczyły się losy kpt. Grzegorza Piotrowskiego. Ponad 10 lat po zatrzymaniu i aresztowaniu odzyskał wolność po odbyciu dwóch trzecich kary (28 października 1994 r.). Decyzja sądu została jednak zaskarżona i wkrótce Piotrowski trafił ponownie za kraty (wiosna 1995 r.). Do wyroku z Torunia doszły inne, m.in. za udział w uprowadzeniu na początku stycznia 1983 r. działacza lubelskich „Spotkań" – Janusza Krupskiego – i za obrazę sądu. Od samego początku po uprawomocnieniu się wyroku z Torunia – według opinii funkcjonariuszy służby więziennej – Piotrowski jako „skazany za przestępstwo umyślne" i „z uwagi na fakt, iż był zatrudniony w MSW" wymagał „izolacji od innych osadzonych".

Najwcześniej wolność odzyskał Chmielewski. Prowadził firmę handlującą sprzętem sportowym i organizującą m.in. kursy żeglarskie, bo – jak zauważał w krótkiej reklamowej notce z niewyraźnym zdjęciem – „woda jest moim żywiołem"

Pomimo wysokiego wyroku Piotrowski spędzał sporo czasu poza terenem jednostek penitencjarnych. Z dokumentacji, która trafiła do IPN, wynika, że przerwy w wykonywaniu kary pozbawienia wolności objęły łącznie 265 dni. Dalej: na pięciodniowych przepustkach Piotrowski spędził 95 dni. Widzenia 24-godzinne to 108 dni plus dodatkowe bezdozorowe krótsze wyjścia poza teren jednostki penitencjarnej: kolejne 203 dni oraz 6 godzin. Tak zwane trzydziestki (przepustki 30-godzinne) to w przypadku Grzegorza Piotrowskiego 35 wyjść oraz 180 dni w systemie wyjść wielodniowych (między 14 a 28 dni). Łącznie: kilkaset dni wolności.

Mniej szczęścia miał podczas odsiadki Waldemar Chmielewski, który podczas całego wyroku poza „terenem jednostek penitencjarnych" spędził łącznie 10 dni. W więzieniu pracował odpłatnie w drukarni i pralni. Uzyskał nawet tytuł przodownika.

Interesująco wyglądają w dokumentach penitencjarnych Chmielewskiego zapisy związane z przepustkami wystawianymi osobom z zewnątrz, które mogły (za zgodą sądu) odwiedzać jeszcze tymczasowo aresztowanego byłego funkcjonariusza MSW. I tak w trakcie trwania procesu toruńskiego z Chmielewskim kilkakrotnie spotykał się przedstawiciel Biura Śledczego MSW – por. Jan Antonowicz. To o tyle interesujące, że ten właśnie człowiek prowadził przesłuchania Leszka Pękali w śledztwie w sprawie uprowadzenia i zabójstwa ks. Popiełuszki. Z zachowanych dokumentów wynika jedynie, że Antonowicz z Chmielewskim rozmawiali dwukrotnie na temat innej sprawy prowadzonej przez Biuro Śledcze (do przepustek wpisano skrupulatnie sygnaturę). Wiemy jednak, że były też inne spotkania: trwały czasami 10 minut, a innym razem nawet 50. Dochodziło do nich w dniach, kiedy Chmielewski składał wyjaśnienia przed sądem. Między innymi rano 3 stycznia 1985 r. Antonowicz rozmawiał z Chmielewskim przez kwadrans. To był drugi dzień składania przez niego wyjaśnień, po złożeniu zeznań przez Pękalę. Później Antonowicz odwiedził Chmielewskiego 18 stycznia 1985 r., czyli wtedy, gdy przed toruńskim sądem zeznawali świadkowie, m.in. Waldemar Chrostowski (kierowca ks. Popiełuszki) oraz Janusz Dróżdż (zastępca Grzegorza Piotrowskiego).

Jeszcze przed odzyskaniem wolności Chmielewski pojechał podczas jednej z przepustek do dawnego miejsca pracy. Odwiedził ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Krzysztofa Kozłowskiego, który po latach wspominał, że skazany w Toruniu były funkcjonariusz podległego mu resortu powoływał się w rozmowie z nim na swoje rzekome wcześniejsze ustalenia z szefem Biura Śledczego MSW – pułkownikiem (a później generałem) Zbigniewem

eprasa.pl a980e6f3ab

Minister spraw wewnętrznych PRL gen. Czesław Kiszczak, 1984 r.
FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

Pudyszem. Chodziło – jak wspominał po latach Kozłowski – o jakieś „zabezpieczenie materialne, jakąś rekompensatę finansową". Chmielewski niczego jednak nie dostał. Na początku grudnia 1993 r. opuścił Zakład Karny we Włocławku.

Nietypowy był los czwartego z oskarżonych i skazanych w Toruniu: por. Leszka Pękali. Okazuje się, że sprawiał on już na samym początku odsiadki spore problemy. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu w Toruniu (27 grudnia 1984 r.) na Mokotowie użyto wobec niego „środków przymusu bezpośredniego". Przyczyna? Jak zapisano w krótkiej notatce dołączonej do akt penitencjarnych: tymczasowo aresztowanego umieszczono w celi zabezpieczającej, ponieważ obrażał funkcjonariuszy służby więziennej. Kilka dni później okazało się, że Pękala agresywnie zachowywał się także wobec współosadzonych. Miał głośno krzyczeć, płakać i „miotać się po celi".

Za kratami Pękala krzepł i się uspokajał. Nagradzany za prace społeczne podczas odbywania wyroku pracował m.in. w warsztacie „łączności i RTV" (to pokłosie jego doświadczeń z pracy w resorcie, gdzie zajmował się m.in. zakładaniem podsłuchów). Utrzymywał też kontakt z ludźmi z wolności: z rodzicami, krewnymi i ze znajomymi ze studiów. Dużo pisał. W jednym z grypsów przejętych jeszcze podczas śledztwa Pękala wspominał: „Wszystko, co robiłem, robiłem w dobrej wierze, przekonany, że służę wielkiej i dobrej sprawie. Zostałem okrutnie oszukany. Za swój brak wyobraźni i zaślepienie, fanatyzm przyjdzie mi teraz zapłacić i to wysoką, przerażającą cenę". Na przepustkach Pękala przebywał łącznie 25 dni. Zakład Karny w Rzeszowie opuścił 23 października 1990 r.

WYJŚCIE

Najwcześniej wolność odzyskał Chmielewski (1989). Cztery lata później powrócił za kraty, by jeszcze przez blisko sześć miesięcy odbyć resztę kary. W więzieniu zmienił nazwisko: na brzmiące bardziej szlachecko, wręcz nobliwie. Po wyjściu z więzienia zmienił miejsce zamieszkania i wygląd. Prowadził firmę handlującą sprzętem sportowym i organizującą m.in. kursy żeglarskie, bo – jak zauważał w krótkiej reklamowej notce z niewyraźnym zdjęciem – „woda jest moim żywiołem". I chyba dobrze mu się wiodło.

Jako drugi więzienie opuścił Pękala (1990). W uzasadnieniu warunkowego zwolnienia sąd zauważył m.in. „że jednak jakimś paradoksem jest, że Kościół katolicki w tej męczeńskiej śmierci zadanej z przyczyn politycznych osiągnął swoiste dobrodziejstwo – w postaci wyniesienia na ołtarze ofiary zabójstwa, co jest niezwykłe w dziejach niejednego państwa". Po odzyskaniu wolności Pękala mieszkał w Warszawie pod zmienionym imieniem oraz nazwiskiem i pracował m.in. w firmie zbierającej ogłoszenia i reklamy dla stołecznych gazet. Po artykule opublikowanym w 20. rocznicę śmierci ks. Popiełuszki, w październiku 2004 r., rozwiązano z nim umowę o pracę.

Pietruszka odzyskał wolność w 1994 r. Jako jedyny z całej czwórki skazanych nie zmienił adresu, numeru telefonu stacjonarnego, wyglądu ani nazwiska. W starej papierowej warszawskiej książce telefonicznej figurował jako „mgr prawa". Obecnie emeryt.

Piotrowski opuścił więzienie jako ostatni. Z Zakładu Karnego w Opolu wyszedł wcześnie rano 16 sierpnia 2001 r. Po odzyskaniu wolności współpracował m.in. z antyklerykalnym łódzkim tygodnikiem „Fakty i Mity", gdzie publikowano obraźliwe teksty dotyczące ks. Jerzego Popiełuszki i papieża Jana Pawła II. Używał pseudonimu Sławomir Janisz, który nawiązywał do jego operacyjnego nazwiska – Janiszewski – oraz do drugiego imienia. Mieszka w Łodzi.

BEZ EPILOGU

24 lipca 1990 r. warszawska prokuratura wszczęła śledztwo, którego początkiem było tzw. ustne zawiadomienie o przestępstwie złożone przez Adama Pietruszkę w Zakładzie Karnym w Barczewie. Były funkcjonariusz MSW twierdził, że zarówno podczas śledztwa, jak i po wyroku prowadził rozmowy z gen. Kiszczakiem oraz płk. Pudyszem. Obydwaj mieli oferować Pietruszce obietnice zmniejszenia kary w zamian za „niedrążenie sprawy". Pułkownik miał być „tamą na procesie", obiecywano mu też generalskie szlify. Podobne rozmowy Kiszczak i Pudysz prowadzili z Piotrowskim. W aktach penitencjarnych Pietruszki i Piotrowskiego nie ma po tych spotkaniach śladu.

Według prok. Andrzeja Witkowskiego, który dwukrotnie po 1989 r. prowadził śledztwa w sprawie zbrodni dokonanej na ks. Jerzym Popiełuszce, „proces toruński" przypominał procesy z lat stalinowskich. – Tylko – zastrzega Witkowski – z uwzględnieniem realiów lat 80. Przećwiczono to dokładnie przy sprawie Grzegorza Przemyka rok wcześniej. W obu procesach złamano podstawowe zasady procesowe, a zmniejszenie kar dla skazanych w Toruniu – równie kuriozalne – było późniejszym potwierdzeniem tej bezprzykładnej manipulacji, którą wielu wciąż bezmyślnie i naiwnie przyjmuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Podczas pisania tekstu korzystałem z akt penitencjarnych A. Pietruszki, G. Piotrowskiego, L. Pękali i W. Chmielewskiego, akt śledztwa i procesu toruńskiego oraz akt dotyczących śledztwa i procesu generałów: Ciastonia i Płatka przechowywanych w IPN, książki P. Rainy „Rozmowy z władzami PRL. Arcybiskup Dąbrowski w służbie Kościoła i narodu: 1982–1989", t. 2, Warszawa 1995, i fragmentów książki Piotra Litki „Ksiądz Jerzy Popiełuszko. Dni, które wstrząsnęły Polską", Kraków 2010 (wydanie 2, uzupełnione).

eprasa.pl a980e6f3ab

Schizma geopolitycznego znaczenia

Tomasz P. Terlikowski

Schizma wewnątrz prawosławia stała się faktem. Patriarchat moskiewski zerwał jedność eucharystyczną z patriarchatem Konstantynopola. Powód? Uznanie przez ten ostatni niezależności Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej

Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, to nie jest nieistotna informacja z przestrzeni religii. Uznanie autokefalii Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej ma na tyle poważne skutki geopolityczne, że Władimir Putin zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, gdy tylko służby prasowe patriarchatu konstantynopolitańskiego poinformowały o decyzji patriarchy Bartłomieja w sprawie Ukrainy. Nerwowa, by nie powiedzieć histeryczna, reakcja patriarchatu moskiewskiego uświadamia zaś, jak ważna dla Rosji jest Ukraina i jak potężne znaczenie – nie tylko religijne, lecz także geopolityczne – może mieć uniezależnienie się prawosławnego Kijowa od Moskwy.

KONIEC „RUSKIEGO ŚWIATA"

Wszystko zaczęło się kilkanaście dni temu, gdy patriarcha Konstantynopola Bartłomiej, honorowy zwierzchnik prawosławia, zdecydował się oficjalnie rozpocząć procedurę uznania autokefalii (niezależności od Moskwy) ukraińskiego prawosławia. Ukraińskie władze, a także dwie niekanoniczne (to znaczy nieuznawane przez pozostałe wspólnoty prawosławne) Cerkwie zabiegały o to od dawna, ale zdecydowanie i jednoznacznie sprzeciwiała się temu Moskwa. Mimo oporu patriarchat Konstantynopola zdecydował się jednak na rozpoczęcie procesu, o którym wiedział, że musi on wywołać gigantyczny skandal wewnątrz prawosławia, a może nawet doprowadzić do schizmy.

Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Otóż usamodzielnienie się Moskwy oznacza dla Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej wizerunkowy dramat. Oto bowiem Kijów, pierwszy Kościół ruskiego prawosławia, miejsce, z którego wywodzi się ruskie (a co za tym idzie – także rosyjskie) chrześcijaństwo, uzyskuje niezależność od Moskwy i zaczyna odgrywać samodzielną rolę religijną, która przekłada się także na znaczenie polityczne. Tak się zaś składa, że Ukraińska Cerkiew Prawosławna (a konkretniej trzy odrębne cerkwie, jedna związana z Moskwą i dwie niezależne) są – jeśli chodzi o liczbę wiernych i kapłanów – większe niż Rosyjska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego. Rosyjska Cerkiew z najbardziej liczebnej staje się więc drugą co do wielkości wspólnotą prawosławną. Jakby tego było mało, niezależność Kijowa jest ciosem w polityczną koncepcję „russkago mira", której Władimir Putin, nie bez udziału prawosławnych hierarchów, od dawna używał do uzasadniania silnej obecności politycznej w krajach postsowieckiej, w tym przede wszystkim na Ukrainie. Odzyskanie przez Kijów religijnej niezależności oznacza przecież, że… nie sposób już mówić o jedności prawosławnej Moskwy i Kijowa czy

eprasa.pl a980e6f3ab

Prezydent Ukrainy Petro Poroszenko przemawia podczas modlitwy dziękczynnej za udzielenie autokefalii Ukraińskiej Cerkwi

FOT. STR/NURPHOTO/GETTY IMAGES

o geopolityczno-religijnej wspólnocie narodów i Cerkwi.

ZNIKAJĄCY PRYMAT

To właśnie dlatego reakcja Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na decyzję maleńkiego i pozbawionego wpływów politycznych patriarchatu Konstantynopola była nie tylko błyskawiczna, lecz także bardzo ostra. Gdy tylko Konstantynopol zaczął pierwsze kroki na drodze uznania autokefalii Ukrainy, Moskwa zareagowała zerwaniem z nim jedności eucharystycznej. A jakby tego było mało, część i to najbardziej wpływowych hierarchów rosyjskich, zaczęła przekonywać, że w ogóle nie można już mówić o jakiejkolwiek kanonicznej roli Konstantynopola wewnątrz prawosławia.

Jako pierwszy taką opinię sformułował metropolita Hilarion, drugi co do znaczenia hierarcha Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Jego zdaniem w związku z rozpoczęciem prac wokół autokefalii zmieniło się rozumienie prymatu Konstantynopola. A dokładniej prymat (wprawdzie honorowy, ale jednak) znikł. – Stajemy obecnie przed nową cerkiewną rzeczywistością: nie mamy już jednego koordynującego centrum Cerkwi prawosławnej i musimy sobie z tego zdawać sprawę. Patriarchat Konstantynopola sam zlikwidował swoją rolę takiego centrum – oznajmił metropolita Hilarion.

Myśl tę natychmiast podchwycili inni. – Rosyjska Cerkiew Prawosławna, jak każda inna Cerkiew, nie jest zobowiązana do podporządkowania się decyzjom patriarchatu Konstantynopola – oznajmił sekretarz oddziału zewnętrznych spraw kościelnych patriarchatu moskiewskiego o. Igor Jakimczuk. Skąd tak radykalna ocena? Odpowiedź jest zdaniem duchownego prosta. Otóż tak się składa, że przywileje Konstantynopola związane być miały z faktem, że to właśnie tam rezydował cesarz. – Obecnie, gdy od dawna nie istnieje już imperium bizantyjskie, a Stambuł nie jest już nawet stolicą Turcji, zniknęły także kanoniczne podstawy choćby dla symbolicznego prymatu patriarchatu Konstantynopola w świecie prawosławnym – dodał.

Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że te kwestionujące dotychczasowy porządek kanoniczny prawosławia słowa są najostrzejszymi, które zostały wypowiedziane. O wiele dalej poszedł bowiem metropolita zaporoski i melitopolski Łukasz, który uznał, że Konstantynopol nie tylko się pozbawił prymatu, ale w ogóle zerwał z Bogiem. – Powinniśmy zastanowić się, gdzie jest Bóg? W Fanarze [tak określana jest rezydencja patriarchy Konstantynopola – przyp. red.] Go nie ma. Fanar odwrócił się od Boga, odpadł od Cerkwi – przekonywał metropolita Łukasz. Te radykalne stwierdzenia doprowadziły go zaś do wniosku, że wszelkie dokumenty podpisane przez Bartłomieja nie mają obecnie znaczenia, są bowiem… sygnowane przez głowę wspólnoty, która jest już poza prawosławiem.

SŁOWA I REALNY PODZIAŁ

Tak ostre sformułowania w debatach wewnątrzprawosławnych nie są niczym szczególnie nowym. Od dawna prawosławni hierarchowie toczą ze sobą podobne walki na miny i potępienia. Tym razem jednak sprawa jest poważna, Rosyjska Cerkiew Prawosławna ma bowiem ogromne wpływy w prawosławnym świecie, walczy o naprawdę dużą stawkę i ma za sobą potęgę państwa rosyjskiego. To dlatego już teraz część prawosławnych Cerkwi wezwała patriarchat Konstantynopola do rozpoczęcia dialogu z Rosyjską Cerkwią Prawosławną. „Widząc konieczność uniknięcia dalszej eskalacji obecnego kryzysu, patriarchowie Serbii i Antiochii wzywają swojego brata, Jego Świątobliwość Patriarchę Ekumenicznego, do odnowienia braterskiego dialogu z Rosyjską Cerkwią Prawosławną, aby przy udziale przedstawicieli innych Cerkwi autokefalicznych on rozwiązał konflikt między patriarchatami Konstantynopola a Moskiewskim i przywrócił więzy pokoju wewnątrz świata prawosławnego" – można przeczytać w liście patriarchów Ireneusza i Jana X. Ciekawe przy tym, że list skierowany jest właśnie do patriarchy Bartłomieja, a nie do patriarchy Cyryla, choć to on zerwał więzy jedności eucharystycznej.

Inne Cerkwie na razie milczą, ale nie ulega wątpliwości, że wkrótce przynajmniej część z nich zajmie jakieś stanowisko. W dalszej debacie poszczególne wspólnoty prawosławne będą się opowiadać po jednej lub po drugiej stronie sporu (w zależności od tego, czy bliżej im do Moskwy, czy do Konstantynopola), a to oznaczać będzie długotrwałą dyskusję, w której uczestniczyć będą także służby specjalne Rosji, którym autokefalia Kijowa jest wyjątkowo nie na rękę. Dyskusja taka nie jest rzecz jasna niczym nowym, bo identycznie wyglądały spory (choć bez tak radykalnych kroków) po uznaniu autokefalii Estońskiej Cerkwi Prawosławnej. Tyle że w tamtej sytuacji gra toczyła się o wiele mniejszą stawkę, ponieważ znaczenie Estonii na globalnej mapie jest jednak zdecydowanie mniejsze niż Ukrainy.

W niczym nie zmienia to jednak faktu, że sytuacja religijna i geopolityczna na Ukrainie już się zmieniła. Dwie niekanoniczne wspólnoty prawosławne są już uznane przez Konstantynopol, a to oznacza, że rząd w Kijowie może jeszcze skuteczniej rozgrywać je w politycznych debatach, a także wspierać rozwój specyficznie ukraińskiego prawosławia. I tego groźby oraz pokrzykiwania Moskwy zmienić nie mogą. Dla Konstantynopola zaś decyzja ta oznacza nie tylko zaznaczenie własnej pozycji na mapie światowego prawosławia, lecz także… powołanie do istnienia istotnego gracza, który – co do tego nie ma wątpliwości – będzie w znaczącym stopniu wzmacniał pozycję patriarchy ekumenicznego w wewnątrzprawosławnych sporach. I tego Władimir Putin nie jest już w stanie zmienić, choć niewątpliwie będzie próbował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

Bój to będzie ostatni?

Dominika Ćosić

Czy przed majowymi wyborami europejski mainstream zdąży zrozumieć różnicę między populizmem a rzeczywistymi potrzebami mieszkańców Unii?

Już cztery lata temu europejski mainstream narzekał na wzrost znaczenia populistów i ogłupienie wyborców europejskich. W ówczesnej kampanii do Parlamentu Europejskiego wyraźnie dał się słyszeć głos polityków, takich jak Marine Le Pen czy Geert Wilders. Wiele wskazuje na to, że w wyborach w maju przyszłego roku główna walka będzie toczyła się między z jednej strony obozem Le Pen–Wilders–Salvini, a z drugiej Alexandrem Stubbem i Fransem Timmermansem. Ci drudzy zamiast rozwiązywania realnych problemów europejskich chcą prowadzić wojnę o praworządność z rządami w Warszawie, Budapeszcie i Rzymie, co paradoksalnie może napędzić głosów tzw. populistom.

Zgodnie z obowiązującą od lat zasadą funkcja szefa Komisji Europejskiej przypadała politykowi tej frakcji, która zdobyła najwięcej miejsc w Parlamencie Europejskim. Sama procedura prowokowała oskarżenia o brak przejrzystości i poszanowania dla demokracji. Przyszłego przewodniczącego KE wybierali bowiem na drodze nieoficjalnych konsultacji szefowie rządów. W dodatku musiał to być element większej układanki – do podziału były w sumie (od czasu wejścia w życie traktatu lizbońskiego) cztery stanowiska: szef KE, szef PE, szef Rady Europejskiej oraz szef unijnej dyplomacji. Po uwzględnieniu wyniku wyborów do PE wyglądało to jak podział łupów między dwiema największymi frakcjami: chadekami i socjalistami. Jednak już cztery lata temu w przypadku elekcji przewodniczącego KE pojawiła się instytucja tzw. spitzenkandidat, czyli kandydata na kandydata, wyłanianego na drodze prawyborów. I tak właśnie pod koniec 2013 r. o nominacje chrześcijańskich demokratów zawalczyli ustępujący komisarz, były minister spraw europejskich Francji, Michel Barnier i premier Luksemburga z kilkunastoletnim doświadczeniem na tym stanowisku, Jean-Claude Juncker. Ostatecznie po wewnętrznym głosowaniu kandydatem na szefa KE został Juncker. Po wyborach do PE, w których zwyciężyli chadecy, najważniejsze funkcje zostały podzielone między chadeków: szef KE (Juncker), szef Rady Europy (Donald Tusk) oraz socjalistów (szefowa dyplomacji, Federica Mogherini) i szef PE (Martin Schulz).

Po czterech latach krajobraz polityczny w Unii Europejskiej zaczął się dynamiczniej zmieniać. Tak zwani populiści rządzą już w Polsce, na Węgrzech i we Włoszech, w Austrii koalicjantem jest skrajna prawica, populistyczna prawica i lewica zyskują na popularności w kolejnych krajach europejskich. Coraz więcej wskazuje na to, że to ona będzie mogła uzyskać dobry wynik w wyborach do PE, czyli tym samym będzie przynajmniej teoretycznie miała szanse na nominowanie swoich kandydatów na czołowe stanowiska unijne. Co w tej sytuacji robi europejski mainstream? Ze strachu przed takim wariantem proponuje, by odejść od zasady wybierania spitzenkandidata... Ten pomysł jednak przepadł, jednym z tych polityków, który uznał go za niedorzeczny, był szef chadeków w PE Martin Weber.

KANDYDACI NA KANDYDATA

46-letni, pochodzący z Bawarii polityk CSU, Martin Weber, jako jeden z pierwszych ogłosił swoją chęć kandydowania. Niemiecki polityk uważany jest za bliskiego kręgom kanclerz Angeli Merkel. Jak na standardy europejskiej chadecji, która podobnie jak inne frakcje polityczne w porównaniu z Polską jest przesunięta na lewo, może być uważany za konserwatystę. Chociaż także i on brał udział w debatach o Polsce w PE, gdzie oskarżał polski rząd o łamanie praworządności, robił to bardziej na prośbę kolegów frakcyjnych z Platformy Obywatelskiej niż z osobistego zacietrzewienia. Bardzo długo starał się zapewnić parasol ochronny węgierskiemu premierowi, Viktorowi Orbánowi, broniąc go przed atakami francuskich i skandynawskich chadeków, żądających wyrzucenia Fideszu z EPP. Jest pragmatykiem, uchodzącym za umiarkowanego. Gdyby faktycznie doszło do rozmów o przyłączeniu Prawa i Sprawiedliwości do EPP, choć teraz oficjalnie temu zaprzecza, to w przypadku korzystnego dla PiS wyniku nie bojkotowałby takich negocjacji. W swojej raczkującej kampanii mówi o praworządności, demokracji, wartościach europejskich. Nie ma w tym jednak inkwizytorskich tonów.

Inaczej to wygląda w przypadku jego jedynego do tej pory oficjalnie zgłoszonego kontrkandydata, byłego europosła, ministra spraw zagranicznych i premiera Finlandii, Alexandra Stubba. Stubb, cztery lata starszy od Webera, uważa się za mentalnie młodszą generację polityków. Jest europejskim federalistą, de facto bliższym

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl a980e6f3ab

liberałom niż chadekom. Lub inaczej mówiąc – jest typowo skandynawskim chadekiem. Już podczas swojej pierwszej konferencji prasowej, w Strasburgu, ogłaszając swój start, bezpardonowo zaatakował rządy w Warszawie, Rzymie i Budapeszcie. Te rządy, jego zdaniem, naruszają podstawowe wartości europejskie i są na bakier z demokracją. Zapowiedział walkę z populizmem, który – według niego – jest jednym z kluczowych niebezpieczeństw dla Unii Europejskiej. Z tej konferencji, ale także całej dotychczasowej drogi i deklaracji politycznych Stubba widać, na czym chce oprzeć kampanię wyborczą – na walce z populizmem o rząd dusz europejskich.

Jak wygląda oferta socjalistów? Zaskakująco podobnie. Jak na razie znamy nazwiska dwóch kandydatów. To Frans Timmermans i Maroš Šefčovič.

Zacznijmy od słowackiego polityka. Jest wiceprzewodniczącym KE, zajmującym się polityką energetyczną. I on chce, choć nie doktrynersko, walczyć z duchami populizmu i nacjonalizmu. Mówi o praworządności i poszanowaniu dla rządów prawa. Jednak mówi także o Europie równych szans, programach aktywizacji zawodowej dla młodych ludzi, inwestycjach w gospodarkę. Jest bardziej pragmatykiem niż ideologiem.

Jego rywalem jest doskonale znany w Polsce inny wiceprzewodniczący KE, Frans Timmermans. Holenderski polityk uzyskał już wsparcie niemieckich socjalistów, choć nie ma jeszcze oficjalnego poparcia swojego własnego kraju. O poparciu dla działań Timmermansa w zakresie praworządności mówił co prawda kilka miesięcy temu premier Holandii, Mark Rutte, ale to nie to samo co oficjalne błogosławieństwo dane na tę misję. Timmermans nie kryje, że swoją kampanię zamierza opierać na artykule 7 i walce z „reżimami" w Polsce i na Węgrzech, a niedługo pewnie i we Włoszech. Dla polityka reprezentującego partię, która dostała potężny łomot w ostatnich wyborach parlamentarnych w Holandii półtora roku temu, to po prostu polityczna trampolina.

O tym, który z nich przekona swoje partie do wysunięcia go jako ich kandydata na szefa KE, przekonamy się na początku listopada, kiedy to w Helsinkach swój wybór ogłoszą chadecy, a w Lizbonie socjaliści. Oczywiście może się zdarzyć, że do tej pory wyskoczy jakiś czarny koń – mówiło się np. swego czasu o ambicjach francuskiego komisarza, Pierre'a Moscoviciego, ale także o szefowej unijnej dyplomacji, Włoszce Federice Mogherini. Ci kandydaci nie wpłynęliby jednak znacząco na zmianę dyskursu kampanijnego.

ELITY A RZECZYWISTOŚĆ

A wszystko wskazuje na to, że ta kampania do PE, ta prowadzona przez główne partie (bo przecież obok socjalistów i chadeków taki sam przekaz mają liberałowie ze swoim liderem, Guyem Verhofstadtem jako nieśmiertelnym kandydatem do rządzenia Unią Europejską) upłynie pod hasłem walki z populistami i walki o przywrócenie praworządności na zainfekowanych populizmem Węgrzech, we Włoszech i w Polsce.

Wszystko wskazuje na to, że ta retoryka świadczy o oderwaniu od rzeczywistości elit europejskich. Zamiast próbować zrozumieć, na czym polega fenomen rosnącego poparcia dla antymainstreamu, dlaczego obywatele wolą ten nurt, obrażają obywateli europejskich. Politycy pokroju Stubba czy Timmermansa udają, że nie ma problemu nielegalnej imigracji, złej, niedostatecznej integracji muzułmańskich mieszkańców Europy, zagrożenia terrorystycznego i wreszcie braku perspektyw dla młodych ludzi na południu kontynentu. Te problemy – ich zdaniem – nie istnieją, w przeciwieństwie do „reżimów" w Polsce, we Włoszech i na Węgrzech. I kompletnie nie zdają lub nie chcą sobie zdawać sprawy z tego, że tak hierarchizując problemy i zagrożenia, przyczyniają się do wzrostu popularności prawdziwych populistów. Elity nie wyciągnęły lekcji z brexitu. Zamiast zrozumieć, że wielu Brytyjczyków głosowało po prostu przeciw zwiększaniu kompetencji instytucji unijnych i zwiększaniu ich władzy oraz możliwości ingerowania w politykę wewnętrzną krajów członkowskich, dygnitarze unijni woleli obwiniać nieuświadomionych i zwiedzionych przez Nigela Farage'a Brytyjczyków, którzy właściwie nawet nie wiedzieli, za czym głosują. Marine Le Pen i Geert Wilders zacierają ręce z radości, licząc w dodatku, że uda im się poszerzyć koalicję o włoskiego wicepremiera z Ruchu Pięciu Gwiazd, Matteo Salviniego. Salvini zaś chciałby do sojuszu zaprosić Orbána. I może się zdarzyć, że ta formacja polityczna także wysunie swojego spitzenkandidata, co byłoby koszmarem sennym dla mainstreamu.

Swojego kandydata może jednak wysunąć także ostatni aktor w tej grze, francuski prezydent Emmanuel Macron, który sam siebie określa jako polityka progresywnego. Według najnowszych sondaży wybory do PE we Francji mogą przynieść najlepsze wyniki właśnie ludziom Macrona, ugrupowaniu Le Pen oraz skrajnym socjalistom Melanchona. Jeśli jednak Macron wprowadzi sporą reprezentację, to jego ambicją będzie raczej stworzenie własnej politycznej frakcji, do której będzie zapraszał chętnych z innych krajów, niż dołączenie do liberałów lub socjalistów. I także on będzie mógł swojego kandydata proponować.

W teorii więc walka o czołowe stanowiska unijne po maju 2019 r. przestałaby być układem między socjalistami a chadekami, na scenę wkroczyliby bowiem nowi aktorzy. W takiej samej mierze zależy to jednak od wyników tychże wyborów, jak i od siły przebicia mainstreamu, bo jednym z narzędzi stosowanych przez demokratów walczących z populistami jest kordon sanitarny. Gdyby doszło do takiego rozwiązania, to przepaść między mainstreamem a wyborcami będzie jeszcze większa, co ostatecznie nie przyniesie niczego dobrego.

Co zatem winny robić elity europejskie? Bezkrytycznie słuchać wyborców, czyli upodabniać się do populistów? Na pewno nie całkowicie, bo to też nie jest dobrym rozwiązaniem. Powinny po prostu przestać ignorować europejskie ulice, zanim będzie za późno. Zastanowić się nad tym, jakie są rzeczywiste problemy mieszkańców Unii, co ich niepokoi, co zagraża najbardziej przyszłości wspólnoty, i po tej refleksji spróbować znaleźć rozwiązanie. Pamiętając jednak, że hasło „Jeszcze więcej Europy" jako panaceum na wszelkie bolączki daje efekt odwrotny do zamierzonego. Ponieważ to nie rządy w Budapeszcie, a już na pewno nie w Warszawie (z Włochami jest sprawa bardziej skomplikowana), ale nadgorliwi eurofederaliści najbardziej szkodą Unii Europejskiej i przybliżają ryzyko exitów w kolejnych krajach europejskich.

I jeszcze na koniec sprawa formalna. Czy wypada, by urzędnik unijny, którym przynajmniej z definicji jest komisarz, brał aktywny udział w kampanii politycznej? Nie. Zatem zarówno Timmermans, jak i Šefčovič powinni wziąć urlopy z KE. Zwłaszcza Frans Timmermans, jednocześnie prowadzący wojnę z polskim rządem o reformę sądownictwa oraz tzw. praworządność i robiący na tym swoją kampanię, budzi potężne wątpliwości co do swojej bezstronności. W interesie zatem samej Komisji Europejskiej byłby jego urlop na czas kampanii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest korespondentką TVP w Brukseli.

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. MICHAEL GOTSCHALK/GETTY IMAGES

Oczami Niemców

Łukasz Warzecha

Niemiecki system medialny trzyma się mocno – bo zabezpieczają go procedury, które wymagają porozumienia i ucierania poglądów

W upalne poniedziałkowe popołudnie 15 października ok. godz. 18 wsiadaliśmy w Moguncji wraz z trojgiem innych polskich dziennikarzy do opóźnionego kilkanaście minut pociągu pospiesznego do Dortmundu przez Kolonię, która była naszym celem. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co się stało kilka godzin wcześniej na kolońskim dworcu głównym. Pociąg był pełny, ludzie stali i siedzieli na podłodze. Jechał okrężną trasą z powodu pożaru ekspresu ICE kilka dni wcześniej na głównym szlaku. Gdy konduktorka poinformowała o opóźnieniu i problemach na trasie, pasażerowie zaczęli się śmiać. Jak wyjaśniła nasza niemiecka koleżanka, to dlatego, że remonty, awarie i wynikające z nich opóźnienia są w ostatnim czasie na Deutsche Bahn sytuacją tak częstą, że wywołują już tylko śmiech.

Jechaliśmy przepiękną doliną Renu, co jakiś czas sprawdzając informacje w komórkach. Nagle na polskim portalu znaleźliśmy wiadomość o dramacie na Köln Hauptbahnhof.

Mieliśmy szczęście. Nasz pociąg był ostatecznie tylko lekko opóźniony. Z dworca musieliśmy jednak pójść okrężną drogą, bo wszystkie wyjścia od strony, gdzie kilka godzin wcześniej barykadował się zamachowiec, były otoczone przez policję i zamknięte. W zamian przywitał nas niesamowity widok majestatycznego gmachu gotyckiej katedry, sięgającej ponad 150 m w niebo, a ukończonej po ponad 600 latach od rozpoczęcia prac (czyli w 1880 r.).

Wszystko to składało się na ciekawy obraz: zamachowiec na dworcu – brak szczegółów sprawy w niemieckich mediach – więcej detali w polskich – kolońska katedra – wydarzenia z sylwestra 2015 r. właśnie na placu pod katedrą – sposób, w jaki informowały o nich niemieckie telewizje, radia i gazety. A my byliśmy w Niemczech właśnie po to, żeby o niemieckich mediach z Niemcami rozmawiać i zrozumieć, jak działają. Nic dziwnego, że temat sylwestra w Kolonii pojawiał się we wszystkich rozmowach, które toczyliśmy podczas bardzo intensywnego tygodnia.

Wkrótce informacje o zdarzeniach na kolońskim dworcu zjawiły się i na niemieckich portalach. Bez trudu, choćby na portalu Deutsche Welle (publiczne medium na zagranicę z rocznym budżetem w wysokości 317 mln euro), znajdziemy informację, że zamachowcem był 55-letni Syryjczyk, w 2015 r. uznany za uchodźcę. I to stanowi różnicę ze sposobem opisywania takich zdarzeń przed Kolonią.

NIEMIECKI SPOSÓB MYŚLENIA

Nie sposób zrozumieć niemieckich mediów, nie rozumiejąc niemieckiego sposobu myślenia o państwie i polityce. Oraz nie uwzględniając, że niemiecki publiczny system medialny nie jest pomysłem samych Niemców, ale został opracowany i wdrożony po II wojnie światowej, w 1948 r., pod kuratelą aliantów, przede wszystkim Brytyjczyków, mających za wzór BBC. Ich celem było zapobieżenie powtórce z lat 30., gdy jednej partii i jednemu dyktatorowi łatwo było wziąć pod but wszystkie niemieckie media. Teraz system miał być, po pierwsze, rozdrobniony, czyli podzielony pomiędzy landy, a po drugie – wyposażony w wielopiętrowe filtry, uodparniające go w miarę możliwości na polityczne naciski. I w tej postaci przetrwał do dziś.

Oba najważniejsze niemieckie publiczne giganty medialne, ARD (radio i telewizja) i ZDF (telewizja), to nie jednolite stacje, lecz federacje stacji regionalnych, w większości kompilujące swój program z materiałów lokalnych, ale też realizujące własne programy (w tym najpopularniejszy codzienny program informacyjny „Tagesschau") i użyczające z kolei tej zawartości członkom „federacji". Ani tu, ani na poziomie lokalnym nie ma rozwiązania podobnego

eprasa.pl a980e6f3ab

do polskiego, w ramach którego prezesa stacji mianują w zasadzie politycy, przy pozornym pośrednictwie wyłanianego przez nich organu.

Szefów (Intendanten) poszczególnych stacji wybiera na kadencję rada danej rozgłośni, w skład której wchodzą przedstawiciele organizacji politycznych, społecznych i obywatelskich. Lista tych organizacji umieszczana jest w ustawie odpowiedniego kraju związkowego, a więc zależy od głosowania w jego Landracie. Dla przykładu, lista zawarta w heskiej ustawie ma 27 punktów i są na niej m.in. Kościoły ewangelicki, katolicki, związek szkół wyższych, związek gmin żydowskich, rada landu do spraw muzyki, związek rolniczy, związek muzeów, niemiecki związek zawodowy urzędników, związek handlowców, związek wolnych zawodów w Hesji, związek myśli muzułmańskiej czy Freies Deutsches Hochstift, zajmujący się dziedzictwem Goethego czy Schillera. Ustawa stanowi też, że członkowie rady nie reprezentują w niej partii czy konfesji ani nie są związani poleceniami czy instrukcjami.

Kto znajdzie się na liście, zależy oczywiście na końcu od polityków zasiadających w parlamencie kraju związkowego. Jako że na ogół rządzą koalicje, więc skład rady jest jakimś odbiciem ich kształtu. Jednak od porozumienia na poziomie Landratu co do składu rady do nominacji szefa rozgłośni daleka droga, wymagająca ucierania się wielu opinii. Negocjacje w sprawie wyboru mają, rzecz jasna, polityczny kontekst. Nie jest to jednak proste polityczne mianowanie.

Podobny system działa na poziomie ARD i ZDF. I one mają swoje rady – komitet nadzorujący ARD ma w składzie jedynie około jednej trzeciej polityków. Reszta to reprezentanci organizacji różnego rodzaju. Tamtejszego „intendenta" nominują z kolei szefowie sfederowanych stacji, ale i tak ważniejszy od niego jest prezes – tę funkcję sprawują rotacyjnie szefowie poszczególnych stacji członkowskich ARD. A zatem droga do wywarcia jakiegokolwiek politycznego wpływu na ARD poprzez jego (rotacyjnego) szefa jest wyjątkowo długa: od uzgodnień w 12 Landratach, dotyczących składu rad stacji członkowskich, do rotacyjnej prezesury.

Można by oczywiście naciskać poprzez finanse, ale i tu nie jest łatwo. Po reformie w 2012 r. opłata abonamentowa liczona od mieszkania wynosi 17,5 euro na miesiąc. Jej wysokość ustala niezależna komisja, analizując zapotrzebowania, zgłaszane przez poszczególne stacje. Wysokość abonamentu można zmienić raz na cztery lata. Jeśli stacja zgromadzi jakieś rezerwy finansowe, nie może ich wydawać na inwestycje, ale są one przez komisję traktowane jako przesłanka do obniżenia abonamentu w kolejnym okresie. Finansowanie z reklam jest natomiast mocno ograniczone.

MEDIALNE SPISKI?

Czy niemieccy dziennikarze chodzą na pasku kanclerz Merkel? To postawienie sprawy tak uproszczone, że aż nieprawdziwe. Tak, większość z nich reprezentuje sposób myślenia, który nazwalibyśmy lewicującym, ale zarazem nie można tego przekładać na polskie kategorie. Po pierwsze – bo procesy społeczne w Niemczech zachodziły inaczej niż w Polsce i wiele z naszego punktu widzenia trudnych do zaakceptowania stwierdzeń – np., że kultura islamska jest już częścią kultury niemieckiej – tam przestało budzić powszechny sprzeciw. Co nie znaczy, że odważni dysydenci nie próbują i tego dogmatu podważać, czasami nawet znajdując na to miejsce w niemieckich publicznych mediach, choćby na zasadzie ekstrawagancji. Po drugie – bo, jakkolwiek niewiarygodnie by to zabrzmiało, niemieccy dziennikarze mediów publicznych cieszą się dużą niezależnością, a wydawanie poleceń dotyczących gości w programach czy sposobu ujęcia tematu nie należy do normy. Nawet jeżeli takie próby się zdarzają, są filtrowane na najwyższym poziomie i nie dochodzą do samych dziennikarzy. Mogą się pojawiać najwyżej w postaci niezobowiązujących sugestii, za których nieuwzględnienie nic nie grozi.

W 2012 r. głośna była historia Michaela Schreppa, ówczesnego rzecznika bawarskiej CSU, który próbował wpłynąć na ZDF, aby nie relacjonowała konwencji SPD. Skończyło się to skandalem i rezygnacją Schreppa. Rzecz z punktu widzenia polskich standardów trudna do wyobrażenia.

Oczywiście – można powiedzieć, że i tak istnieje konsens co do poruszania się w granicach wyznaczanych przez poprawność polityczną czy interes państwa. Tak jest, co jednak nie zmienia faktu, że nie ma tu mowy o presji i naciskach. Jest najwyżej dyskusja w gronie redaktorskim – ale właśnie dyskusja, próba osiągnięcia porozumienia, to bardzo głęboko zakorzeniona część powojennej niemieckiej mentalności.

Jak zatem było z Kolonią w 2015 r.? Między bajki można włożyć opowieści, że miał miejsce jakiś medialno-rządowy spisek, a dziennikarze, milcząc, działali na polecenie Bundeskanzleramt. W tę bajkową wersję uwierzył niestety, jak się zdaje, także prezydent Andrzej Duda, nawiązując do niej podczas pełnej emocji dyskusji na Forum Polsko-Niemieckim w Berlinie w ubiegłym tygodniu.

Rzecz miała się inaczej: wydarzenia z grudnia 2015 r. były tak niebywałe, że niejako zawiesiły system. Od kilkunastu lat w niemieckim kodeksie prasowym – dotyczącym mediów drukowanych, ale też służącym za drogowskaz wszystkim mediom publicznym – znajduje się zapis, że o narodowości sprawcy należy poinformować, jeśli ma ona związek z jego czynem. Wydaje się to logiczne, a systemowe uregulowanie tej kwestii w kraju, gdzie od dawna mieszkają imigranci, było potrzebne. Inna sprawa, że odpowiedź na pytanie o związek narodowości z czynem jest w znacznej mierze ocenna. Zależy zatem także od poglądów dziennikarza, od tego, czy bliższy jest mu pogląd, że imigracja nie powoduje większych problemów, czy też, że zagraża stabilności państwa.

Dziennikarze mediów publicznych po wydarzeniach w Kolonii działali zgodnie z utartym schematem: czekali na informacje od policji, żeby móc ocenić, czy o narodowości napastników należy pisać czy nie; dyskutowali, wahali się, analizowali. W tym czasie inne media, mające mniej skrupułów, podały już, że chodziło o azylantów. Ta sytuacja mocno nadszarpnęła zaufanie Niemców do publicznych mediów, choć nadal pozostaje ono bardzo wysokie. Sprawiła, że dziś także one skłonne są jak najszybciej poinformować o narodowości sprawcy przestępstwa. To wynik presji ze strony odbiorców, ze strony AfD (kwestionującej nieustannie rzetelność mediów publicznych czy sposób ich finansowania), wreszcie – ewidentnego kryzysu tego, co nazywane jest niemieckim konsensusem.

Mimo to pogłoski o krachu niemieckiej państwowości – i niemieckich mediów – są zdecydowanie przedwczesne. System, zbudowany na obsesyjnym wręcz przywiązaniu do procedur i instytucji, na konieczności mozolnego ucierania porozumienia, wreszcie na ogromnych z polskiego punktu widzenia pieniądzach (Westdeutscher Rundfunk, z siedzibą w Północnej Nadrenii-Westfalii, ma budżet roczny na poziomie niemal 1,5 mld euro – a to tylko jedna z landowych stacji) – trzyma się nieźle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. JOHN SALANGSANG/BFA/REX/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

KONIEC Z BAJKAMI O KSIĘCIU

Aktorka Keira Knightley (na zdjęciu) uznała, że tak dalej być nie może, i zakazała swojej córce oglądania dwóch bajek Disneya. W rozmowie w telewizji przyznała, że chodzi o „Kopciuszka" i „Małą Syrenkę". Powód? Są za mało feministyczne. Aktorce nie podoba się, że bogata dziewczynka ma czekać na ratunek od mężczyzny. Inna aktorka – Kristen Bell – wyznała z kolei, że nie pozwala córkom oglądać „Królewny Śnieżki". Bo nie wolno całować kogoś, kto śpi...

TRANSUCZCIWOŚĆ SPORTOWA

Rachel McKinon, 36-letnia kobieta, która wcześniej była mężczyzną, zdobyła pierwsze miejsce w kolarskich zawodach dla kobiet w kategorii wiekowej 35–44 lata w Stanach Zjednoczonych. Nie wszystkie zawodniczki wytrzymały poprawnościową atmosferę i to, że musiały mierzyć się z transseksualistą. Trzecia w tym wyścigu, Jen Wagner-Assali, na Twitterze napisała, że to nie było w porządku. Oczywiście w sieci dostało się jej natychmiast za nienowoczesność. Wagner-Assali przeprosiła za swój komentarz i napisała, że zamieściła go, bo była sfrustrowana przegraną.

BŁĄD W MECZECIE

Tureckie media doniosły o przykrej sprawie, która spotkała muzułmanów z miejscowości Sugören. Nowy imam odkrył, że zbudowana w 1981 r. świątynia niedokładnie oddawała kierunek Mekki, w której stronę powinni modlić się muzułmanie. Wszystko ma zostać przebudowane, ale zanim to się stanie – imam postanowił pomóc tymczasowo i nakleił na podłodze świątyni białe strzałki, które pokazują poprawny kierunek.

NAJSTARSZA SAMOWOLA BUDOWLANA

Jeden z najsłynniejszych kościołów – bazylika La Sagrada Família – budowana jest od ponad 130 lat. Okazało się, że to samowola budowlana, która nie ma stosownych pozwoleń. Według BBC opłaty za to sięgają już 41 mln dol. Uregulowane mają zostać w ciągu 10 lat. Sama świątynia ma zaś zostać ukończona w 2026 r.

BLOKADA WIDMO, KARA NAPRAWDĘ

Latem głośno było o młodej szwedzkiej aktywistce, która wykazała się odwagą, blokując start samolotu, aby nie doprowadzić do deportacji Afgańczyka. Okazało się jednak, że Afgańczyka, którego chciała ocalić, w ogóle w tym samolocie nie było. Za to całkiem realna będzie kara za blokowanie odlotu. Prokuratura poinformowała, że kobieta odpowiadać będzie przed sądem i grozi jej grzywna oraz do sześciu miesięcy pozbawienia wolności. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Nowym Jeruzalem

Pamiętacie jeszcze powiedzenie: „Pokaż mi swoją bibliotekę, a powiem ci, kim jesteś"? W Italii od pewnego czasu w nachalnej postępowej pedagogice taką rolę odgrywa stosunek do migracji.

Dla katolickiej lewicy domagający się kontroli migracji wicepremier i szef MSW Matteo Salvini właśnie dlatego jest wcieleniem diabła. Niewierzący postępowcy przekonują z kolei, że jest pogrobowcem Mussoliniego i Hitlera.

Były już burmistrz miasteczka Riace (1,7 tys. dusz), niejaki Mimmo Lucano, ostatnio został męczennikiem religii migranckiej. Jej dogmat mówi, że jedynym lekarstwem na kryzys demograficzny i wyludnianie małych ośrodków w Europie są migranci. Dlatego w Riace co czwarty mieszkaniec pochodzi z Afryki albo z Azji, nie licząc kilku setek w ośrodku dla migrantów. Od kilku lat do mieściny ciągną pielgrzymki postępowców, aby to Nowe Jeruzalem obejrzeć na własne oczy.

Okazało się jednak, że pan Lucano organizował również fikcyjne małżeństwa między przybyszami a miejscowymi. Oskarżono go też o wiele przestępstw finansowych, których beneficjentami byli migranci. W związku z tym posadę stracił i czeka go proces. Jako prześladowany za wiarę zaproszony został do sztandarowego programu TV RAI „Jaka dziś pogoda". Podzielił się w nim kilkoma cennymi myślami. Na przykład, że nie powinno być własności prywatnej. Potem przyznał, że złamał prawo. Zaraz jednak dodał, że prawa w nazistowskich Niemczech były „legalne". Postępowy prowadzący Fabio Fazio na porównanie systemu prawnego Italii do prawodawstwa w Niemczech Hitlera nie zareagował słowem.

Przekraczamy kolejną granicę. Zdaniem obozu postępu w imię religii migranckiej można, a nawet należy łamać prawo. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl a980e6f3ab

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Już 5 listopada w „Do Rzeczy”

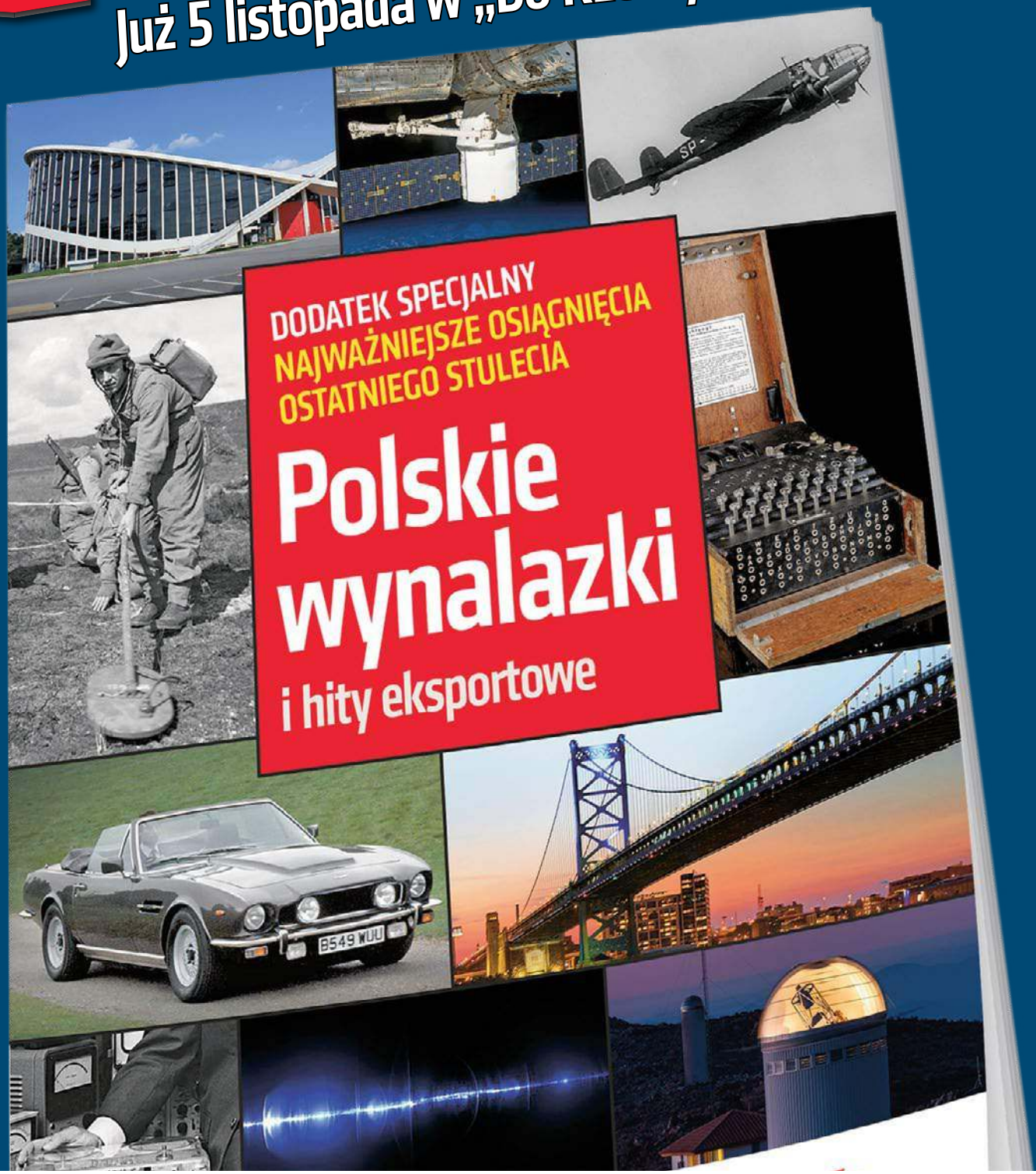

Partnerzy strategiczni:

LOTOS

ATLAS

PKO Bank Polski

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl a980e6f3ab

Włosi walczą o suwerenność

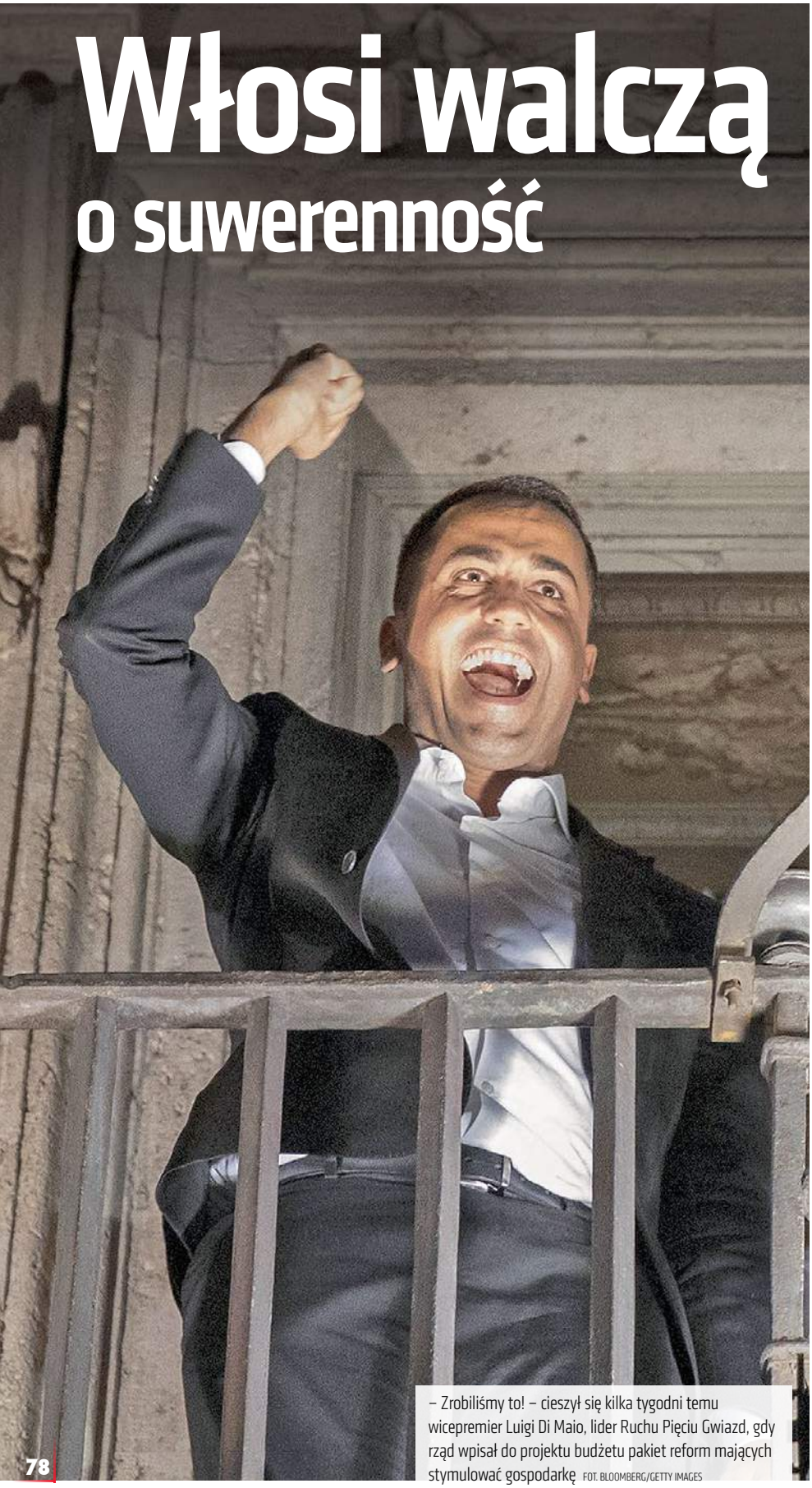

– Zrobiliśmy to! – cieszył się kilka tygodni temu wicepremier Luigi Di Maio, lider Ruchu Pięciu Gwiazd, gdy rząd wpisał do projektu budżetu pakiet reform mających stymulować gospodarkę FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Jacek Przybylski

Pierwszy raz w historii Komisja Europejska odrzuciła propozycję budżetu kraju członkowskiego. Rząd w Rzymie musi wprowadzić zmiany pod dyktando eurokratów. Włosi nie chcą jednak, aby ich budżet powstawał w Brukseli, i nie chcą rezygnować z programu mającego rozruszać ich gospodarkę

Ta historia idealnie nadaje się na hollywoodzki film. Są w niej gigantyczne pieniądze, walka o władzę nad własnym krajem, rozradowany tłum Włochów i Włoszek wiwatujących przed rzymskim Palazzo Chigi na cześć swego populistycznego rządu oraz kruczki prawne wykorzystywane przez eurokratów do zmuszenia krnąbrnych buntowników do uległości wobec unijnych przywódców.

– Trzeba zrobić wszystko, aby uniknąć powtórki z Grecji, ponieważ jeden kryzys w strefie euro wystarczy – grzmiał w październiku szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker, krytykując projekt włoskiego budżetu. Zaniepokojenie urzędników w Brukseli budzi przede wszystkim plan podniesienia deficytu, który zgodnie z prognozami włoskiego rządu miałby wynieść 2,4 proc. PKB przez kolejne trzy lata. Teoretycznie to wcale nie tak dużo. W tym roku deficyt we Włoszech ma wynieść 1,8 proc. PKB, ale jeszcze w roku 2017 wynosił 2,3 proc. Prognozowany przez nowe władze w Rzymie deficyt byłby niższy od limitu 3 proc. PKB wyznaczonego w unijnym pakcie stabilizacji i wzrostu, jednocześnie byłby jednak aż trzy razy wyższy niż sugerowany przez Komisję Europejską z powodu rekordowo wysokiego długu publicznego, który wynosi aż 131 proc. włoskiego PKB.

W gorszej sytuacji w UE są tylko Grecy, których dług sięga 180 proc. PKB. Dla porównania: w drugim kwartale 2018 r. wielkość polskiego długu spadła do 50,7 proc. PKB, a deficyt wyniósł 0,7 proc. Górna granica zadłużenia w UE wynosi 60 proc., ale nie chodzi tylko o zasady. Dług Greków szacuje się bowiem na

eprasa.pl a980e6f3ab

340 mld euro, tymczasem dług Włoch, jeden z największych na świecie, to już 2,33 bln euro. I ciągle rośnie. Dług krajowy w przeliczeniu na jednego mieszkańca Włoch to ok. 40 tys. euro. Koszt obsługi tak wielkiego długu jest więc ogromny – w 2017 r. Włosi wydali na ten cel mniej więcej tyle samo, ile na edukację. Poprzedni rząd w Rzymie pod wpływem nacisków Brukseli zgodził się więc na ograniczenie deficytu do poziomu 0,8 proc. Wybrane w tym roku władze nie chcą już jednak słyszeć o dalszych cięciach budżetowych.

KTO PISZE BUDŻET WŁOCH?

– Nie uda im się nas powstrzymać. Mamy już dość gróźb oraz obelg ze strony Unii Europejskiej. Włochy są państwem suwerennym – podkreślał z kolei włoski minister spraw wewnętrznych Matteo Salvini i wiceszef rządu tworzonego przez prawicową Ligę oraz Ruch Pięciu Gwiazd. Politycy dwóch antysystemowych partii, które w marcu niespodziewanie wygrały wybory we Włoszech, zwyciężyli m.in. dlatego, że obiecali, iż zmniejszą podatek dochodowy do 15 proc., obniżą wiek emerytalny, a także wprowadzą minimalny dochód gwarantowany na poziomie 780 euro. Na to zaś potrzeba oczywiście ogromnych pieniędzy. Tylko wdrożenie programu dochodu podstawowego dla najuboższych – a tych we Włoszech jest sporo, bo bezrobocie ciągle wynosi ok. 10 proc. – ma kosztować władze w Rzymie 10 mld euro rocznie.

Populiści odrzucają krytykę Brukseli i przekonują, że chcą po prostu realizować inną strategię i zamiast polityki oszczędności, która mogłaby wpędzić ich kraj w recesję, opracowali budżet promujący wzrost gospodarczy. Liderzy koalicji rządowej mają nadzieję, że – idąc w ślady np. prezydenta Donalda Trumpa, który za pomocą większego deficytu dał impuls do wzrostu PKB w USA – rozruszają włoską gospodarkę. Ta wciąż bowiem ledwo rośnie. Wzrost PKB wynosi zaledwie 1,2 proc., co oznacza, że czwarta pod względem wielkości gospodarka w strefie euro wciąż jest na niższym poziomie niż w roku 2008, gdy na Półwyspie Apenińskim wybuchł potężny kryzys. Gdyby ten plan się powiódł, Włochom udałoby się nie tylko zmniejszyć poziom ubóstwa, obniżyć bezrobocie, lecz także – po roku 2020 – zacząć redukować dług publiczny.

Premier Giuseppe Conte jeszcze przed ogłoszeniem decyzji Komisji Europejskiej przekonywał więc, że jego rząd nie ma planu B w sprawie budżetu.

Eurokraci w Brukseli boją się jednak, że włoscy populiści doprowadzą do szybkiego wzrostu zadłużenia kraju, ale tradycyjne problemy włoskiej gospodarki – koszmarna biurokracja, ogromna liczba regulacji, zbyt wysokie podatki dla przedsiębiorców, sztywny rynek pracy itd. – sprawią, że włoska gospodarka nadal będzie tkwić w stagnacji.

To oficjalny powód. Nieoficjalny jest taki, że elity w Brukseli, a także np. w Berlinie nie ukrywają niechęci do nowych władz w Rzymie, które podpadły im, m.in. krytykując unijną politykę imigracyjną.

BRUKSELSKI TERROR

Władze w Rzymie nie są rzecz jasna pierwszym rządem kraju członkowskiego strefy euro, który jest karcony przez eurokratów za zbyt duże wydatki budżetowe. Wcześniej pod politycznym pręgierzem UE stawali już przywódcy Francji czy Hiszpanii. Zdarzały się przypadki objęcia krajów procedurą nadmiernego deficytu – ta również grozi Włochom.

Pierwszy raz w historii Komisja Europejska odrzuciła jednak projekt budżetu państwa członkowskiego – korzystając z uprawnień nadanych jej po kryzysie w roku 2013 – nakazując jednocześnie rządowi Włoch wprowadzenie w ustawie budżetowej radykalnych zmian.

Ogłoszona w zeszły wtorek decyzja KE zmieniła tym samym unijno-włoską wojnę na słowa w bezprecedensowy konflikt. Rząd w Rzymie dostał trzy tygodnie na przesłanie nowej propozycji, tym razem zgodnej z unijnymi oczekiwaniami. Włoskie władze szybko jednak zapowiedziały, że nie zamierzają niczego zmieniać. „To pierwszy włoski budżet, który nie spodobał się UE" – napisał na Facebooku wicepremier Luigi Di Maio. „Nic dziwnego. To pierwszy włoski budżet, który został napisany w Rzymie, a nie w Brukseli!" – dodał. Di Maio, włoski minister rozwoju gospodarczego i pracy, a jednocześnie polityczny lider antyestablishmentowego Ruchu Pięciu Gwiazd, już wcześniej oskarżał unijnych urzędników o stosowanie działań, które są „zabawą w terroryzm na rynkach". Jego zdaniem przedstawiciele UE próbują zmusić władze w Rzymie do ustępstw, swymi wypowiedziami doprowadzając do gwałtownych reakcji na rynkach finansowych. I podkreśla, że postulowany deficyt nie jest wcale tak wysoki, ale Bruksela jest po prostu „uprzedzona" do obecnego rządu Włoch.

O jaki terroryzm chodzi? Urzędnicy unijni mogą liczyć na to, że przedłużający się konflikt między Rzymem a Brukselą będzie źle postrzegany przez inwestorów. Włoski dług znajdzie się więc pod większą presją. Pod koniec października amerykańska agencja

REKLAMA

eprasa.pl a980e6f3ab

Europejski komisarz ds. gospodarczych i finansowych Pierre Moscovici (z prawej) przekonuje, że dług publiczny jest jak „ładunek wybuchowy" FOT. ALBERTO PIZZOLI/AFP/EAST NEWS

Moody's obniżyła rating Włoch z Baa2 do Baa3. Sam słowny konflikt z UE sprawił, że w ostatnich miesiącach rentowność włoskich obligacji wzrosła o ponad 30 proc., do najwyższego poziomu od pięciu lat. To zaś oznacza, że władze w Rzymie za obsługę długu muszą płacić coraz więcej i więcej.

Ryzyko dalszego wzrostu rentowności obligacji może więc posłużyć jako środek nacisku, który zmusi populistów do zgięcia karku i uległości wobec unijnych przywódców. Jeśli to nie wystarczy i Włosi nadal będą się opierać, to grożą im bardzo wysokie kary finansowe. Unia może nałożyć na buntownika karę w wysokości do 0,2 proc. PKB, czyli biorąc pod uwagę dane z roku 2017, niesubordynacja Włoch mogłaby ich kosztować nawet 3,4 mld euro.

STRACH PRZED GRECKĄ TRAGEDIĄ

Włoskim populistom nie można jednak odmówić pewnych racji: ciągłe zaciskanie pasa dusi wzrost gospodarczy, o czym boleśnie przekonali się choćby Grecy.

Eurokraci w Brukseli boją się jednak, że jeśli przez zbyt duże wydatki Włochami wstrząśnie nowy kryzys gospodarczy, to może mieć on dla Europy o wiele dotkliwsze konsekwencje niż w przypadku Grecji. Groziłby on nie tylko poważnymi problemami włoskiego systemu bankowego, głęboką recesją gospodarczą we Włoszech, lecz także rozpadem strefy euro.

Pierre Moscovici, europejski komisarz do spraw gospodarczych i finansowych, a jednocześnie francuski socjalista, nazwał już dług publiczny Włoch „ładunkiem wybuchowym".

Moscovici, który wciąż marzy o zajęciu w niedalekiej przyszłości stanowiska szefa Komisji Europejskiej, przyznał jednocześnie w wywiadach, że „na szczeblu politycznym" walczy z Ligą oraz z Ruchem Pięciu Gwiazd, choć „szanuje włoski rząd".

2,33 bln euro

TYLE WYNOSI JUŻ ZADŁUŻENIE WŁOCH

Przeciwko propozycji budżetowej włoskich populistów protestuje również 32-letni kanclerz Austrii. „Austria nie jest gotowa zgodzić się na długi innych państw, jeśli państwa te świadomie przyczyniają się do niepewności na rynkach finansowych. Teraz UE musi udowodnić, że wyciągnęła wnioski z kryzysu greckiego" – oznajmił twardo Sebastian Kurz. I wezwał UE do odrzucenia budżetu Włoch, jeśli władze w Rzymie nie zgodzą się na dyktando Brukseli.

Włoscy populiści znaleźli się więc w takiej samej sytuacji, jak wszyscy poprzedni rządzący w Rzymie przez ostatnie 20 lat. I przekonują się, że członkostwo w strefie euro to przekleństwo, które nie tylko znacząco zmniejsza suwerenność kraju, lecz także ogranicza możliwości wpływania na gospodarkę własnego kraju. – Jestem przekonany, że Włochy rozwiązałyby większość swoich problemów, gdyby miały własną walutę – oznajmił na początku października Claudio Borghi, który we współrządzącej Włochami Lidze odpowiada za kwestie gospodarcze.

Z drugiej strony próba opuszczenia strefy dla tak zadłużonego państwa jak Włochy mogłaby się skończyć tragicznie: inwestorzy zażądaliby ogromnej premii za ryzyko kupna włoskich obligacji, gospodarka by się załamała, bezrobocie gwałtownie skoczyło w górę, a populiści szybko staliby się bardzo niepopularni. Taka sytuacja sprawia, że łatwiej jest Wielkiej Brytanii dokonać brexitu i zupełnie opuścić Unię Europejską, niż Włochom opuścić tylko strefę euro.

Oczywiście władze w Rzymie spór z Brukselą mogą wygrać tak czy inaczej. Jeżeli nie ustąpią, a Komisja Europejska nałoży wysokie kary na Włochy, to włoscy populiści ogłoszą, że padli ofiarą brukselskiej biurokracji. Jeśli w negocjacjach z Brukselą zmuszą eurokratów do poluzowania stanowiska, to i tak ogłoszą zwycięstwo i zyskają jeszcze większe poparcie (obecnie władze są popularne wśród 60 proc. Włochów).

„Italexit" jest wciąż mało prawdopodobny. Prawdziwy problem leży jednak nie w lepszych lub gorszych pomysłach na luzowanie polityki, lecz w absurdalnych regułach fiskalnych strefy euro. Najlepiej byłoby, gdyby ostry kryzys na linii Rzym – Bruksela skłonił europejskich przywódców do reformy strefy euro. I to reformy przeciwnej do tego, co forsuje młody francuski prezydent Emmanuel Macron, przekonując, że najlepszy dla UE byłby wspólny budżet 19 krajów unii walutowej, który miałby obowiązywać już od 2021 r. i mieć wartość kilkuset miliardów euro.

Doświadczenia Greków i Włochów każą się jednak zastanowić, czy przypadkiem bardziej przydatna nie byłaby reforma dająca członkom strefy euro więcej wolności w zarządzaniu polityką fiskalną. Obecnie każdy kraj, który – tak jak Grecja czy Włochy – wpadnie w tarapaty, może bowiem ratować swoją konkurencyjność jedynie poprzez gwałtowne cięcie wydatków. Taka polityka jest wprawdzie korzystna dla Niemiec – największej gospodarki strefy euro – niesie jednak ze sobą ryzyko, że choć żaden kraj nie będzie mógł złamać sztywnych reguł strefy, to strefa euro po prostu się rozpadnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

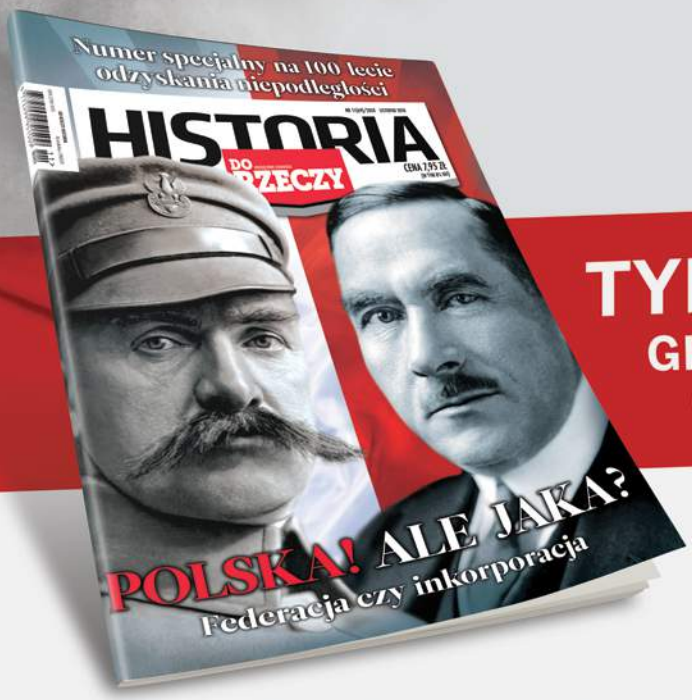

TYLKO U NAS!

GIERTYCH KONTRA GLUZA:
Ostra debata na temat Piłsudskiego

Piotr Zychowicz – **Federacja czy inkorporacja?**
Saul David – **Izraelscy komandosi w Ugandzie**
Sławomir Koper – **Piękna hrabina - szpieg**
Mikołaj Iwanow – **Władca GUŁagu**
Marcin Bartnicki – **Zbrodnie Teda Kaczynskiego**
Gideon Greif – **Sonderkommando w Auschwitz**
Zbigniew S. Siemaszko – **Sowietom nie wolno ufać**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a980e6f3ab

Kacowe niepodległości

Stefan Sękowski

Wolne 12 listopada tego roku będzie kosztowało nas dużo więcej, niż myślą politycy, którzy dali nam w prezencie urlop dzień po Święcie Niepodległości. A to z powodu chaosu, jaki wywołali

Gdyby setna rocznica odzyskania niepodległości wypadła w sobotę, pracownicy mogliby odebrać sobie wolne w inny dzień (oczywiście chodzi o tych zatrudnionych na umowę o pracę i tych pracowników na umowach cywilnoprawnych, którzy ustalają takie kwestie z szefostwem na zasadzie gentleman's agreement). Wypada jednak w niedzielę, a jako że w polskim prawie pracy promocje się nie łączą – wolnego nie będzie. Politycy PiS wpadli jednak na pomysł, by uchwalić ustawę o „kacowym niepodległości", zwaną formalnie ustawą o Święcie Narodowym z okazji 100. Rocznicy Odzyskania Niepodległości. Dzięki temu będziemy mogli 11 listopada obchodzić „godnie" (jak można przeczytać w uzasadnieniu ustawy) i nie będziemy musieli brać następnego dnia urlopu na żądanie.

Wicemarszałek Ryszard Terlecki nazwał głosujących przeciwko ustawie posłów całej opozycji „koalicją antypatriotyczną". Jako że nie widzę w głosowaniu przeciw „kacowemu niepodległości" nic zdrożnego, zapewne też się do niej zaliczam. Mam więc obowiązki antypolskie, w związku z czym zdradziecko zapytam o koszty całego przedsięwzięcia. 12 listopada będzie czternastym dniem ustawowo wolnym w tym roku – pod tym względem znajdujemy się w 2018 r. w ścisłej europejskiej czołówce, bo więcej ma w szeroko rozumianej Europie tylko kilka państw (m.in. Islandia czy San Marino). Także jeśli chodzi o liczbę dni urlopowych, nie możemy narzekać: z naszymi 20–26 dniami w roku (w zależności od stażu pracy) jesteśmy na górze tabeli, za m.in. Finami i Francuzami (po 30 dni). Ktoś może powiedzieć, że odpoczywamy wtedy po długiej pracy, bo w końcu – w przeliczeniu na godziny – jesteśmy bardzo pracowici (choć z drugiej strony nie idzie to w parze z wydajnością tej pracy).

FOT. FOTOLIA

Autorzy ustawy podając minimalne skutki dla gospodarki, założyli, że „proponowane zmiany dotkną tylko sektory przemysłu i budownictwa, ponieważ – jak wynika z analizy – są to sektory najbardziej wrażliwe na zmianę liczby dni roboczych w miesiącu". Najbardziej nie znaczy jednak, że jedyne, ale i tak przyjmując to założenie, trzeba stwierdzić, że dla obliczenia kosztów zastosowano dość banalny wzór, de facto sprowadzając je do podzielenia liczby dodatkowych dni wolnych (1) przez liczbę dni w roku. Wyszło, że spadek produkcji sprzedanej w roku wynosi 0,2 proc. Zresztą nie martwmy się, bo przecież „w okresie kilku kwartałów możliwe jest nadrobienie straty w procesie produkcyjnym".

Gdy czytam takie stwierdzenie, przestaję się dziwić, że politycy PiS postanowili w ostatnim miesiącu przed Świętem Niepodległości „nadrobić stratę w procesie produkcyjnym", pardon, legislacyjnym. Bo nawet jeśli zgodzimy się z tym, że raz na sto lat możemy sobie pozwolić na świętowanie odzyskania Niepodległości dzień dłużej, to takich decyzji nie powinno się podejmować na trzy tygodnie przed terminem. Pomysłodawcy jednak tego nie rozumieją. Na poważnie piszą, że problemu nie ma, ponieważ „np. osoba, która miała oddać samochód do naprawy 12.11.2018, zrobi to innego dnia, i w rezultacie nie będzie miało to wpływu na aktywność gospodarczą". Tyle że ta osoba planowała „innego dnia" zrobić co innego, przez co sypie jej się grafik, a ten większość z nas ma napięty. W tym kontekście symptomatyczny jest przykład polskiego piłkarza włoskiego Frosinone Bartosza Salamona, który na ten właśnie dzień zaplanował przylot do Polski i odbiór paszportu. Część komentatorów śmiała się z tego (na zasadzie „co za nieszczęście"), tyle że takie są realia życiowe milionów ludzi.

Takich decyzji nie powinno się podejmować trzy tygodnie przed terminem

Te tysiące straconych godzin związanych z dezorganizacją i koniecznością przekładania terminów przekłada się na miliony straconych złotych. Jeśli ustawa wejdzie w życie, to arcypatriotyczne „kacowe" będzie się tysiącom Polaków odbijało czkawką przez kolejne tygodnie.

Autor jest zastępcą dyrektora think-zine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl a980e6f3ab

XXVII TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO

WSTĘP WOLNY

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany
w ramach obchodów stulecia
odzyskania niepodległości

29 LISTOPADA – 2 GRUDNIA 2018 R. GODZ. 10:00-18:00

STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
1918 · 2018

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

www.historiaikultura.pl

Ponad 200 wystawców z całej Polski • Największa oferta książek historycznych • IX Salon Książki Muzealnej
Pokazy grup rekonstrukcyjnych • Zajęcia dla młodzieży i dzieci • Konferencje i spotkania z autorami

Organizatorzy

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

NARODOWY INSTYTUT MUZEALNICTWA I OCHRONY ZBIORÓW

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Stowarzyszenie Muzealników Polskich Oddział Mazowiecki

Porozumienie Wydawców Książki Historycznej

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl a980e6f3ab

Kto ma energię do zmiany

FOT. FOTOLIA

Jerzy Lipka

O tym, że energia wytwarzana w sposób emisyjny będzie coraz droższa, wiadomo było od dawna. I co z tym zrobiliśmy w Polsce?

Gospodarka to system naczyń połączonych. Jeśli w jednej dziedzinie źle się dzieje, to ma to wpływ na pozostałe dziedziny. Zwłaszcza jeśli kuleje ekonomiczny krwiobieg, którym jest produkcja energii elektrycznej. Zapowiadane podwyżki cen energii zwiastują poważne problemy. Musiało do nich dojść, bo przez dziesiątki lat strategia rozwoju sektora podporządkowana była politycznym rozgrywkom i stanowiła wypadkową walki różnych grup interesów, a interes społeczny odsuwany był na dalsze miejsca.

Politycy udają teraz zdziwienie i oburzenie, zrzucając winę na politykę klimatyczną UE. W ten sposób odwracają uwagę od własnych błędów i zaniechań. Takich jak te o likwidacji Elektrowni Jądrowej Żarnowiec w roku 1990 i zaniechanie programu rozwoju źródeł bezemisyjnych przez kolejne dziesiątki lat. Filozofia „jakoś to będzie" zwyciężała.

Ostatnie zapowiedzi radykalnych podwyżek cen nie są zaskoczeniem. Wielu ekspertów wskazywało wcześniej na starzejącą się infrastrukturę wytwórczą i przesyłową, brak niezbędnej dywersyfikacji źródeł wytwarzania, patologiczny proces decyzyjny. To, co może ewentualnie zaskakiwać, to wysokość podwyżek. Na giełdzie ceny energii wzrosły bowiem o 70 proc.

ZNANY PROBLEM

Oficjalnie podawane przyczyny drożejącej energii to wzrost cen węgla oraz wzrost cen uprawnień do emisji CO_2. Bez wątpienia mają one wpływ na koszt produkcji energii, lecz jest to spłycanie problemu, bo choć od przyjęcia naszego kraju do Unii Europejskiej upłynęło 14 lat, to struktura wytwarzania energii w zasadzie pozostaje niezmieniona i opiera się niemal wyłącznie na węglu. Jeśli nie liczyć bardzo niestabilnych źródeł OZE – jak pokazuje praktyka niemiecka, nie są one w stanie wpłynąć na obniżenie cen energii, a wręcz prze-

ciwnie. Same one generują duże koszty wynikające właśnie z ich niestabilnej pracy i konieczności zapewnienia energii „zastępczej", gdy przestaje wiać wiatr lub świecić słońce. Niemcy i podobnie stawiająca na OZE Dania to przykłady krajów o najwyższych cenach energii dla odbiorców indywidualnych. Energia produkowana w sposób emisyjny (węgiel, gaz, mazut) również będzie wytwarzana coraz drożej, z uwagi na ceny surowca i drożejące uprawnienia do emisji CO_2.

O tym wszystkim było wiadomo od dawna. Dlatego „święte" oburzenie polityków jest hipokryzją, próbą odwrócenia uwagi od własnych zaniechań, zwykłego politycznego tchórzostwa.

ATOM I WODA

Źródła, które mogłyby Polsce zapewnić energię bez emisji i po akceptowalnych cenach, to energetyka jądrowa i ewentualnie wodna. Prace nad tą pierwszą (po likwidacji polskiego programu jądrowego z końca lat 80., w tym zniszczenia wybudowanej w 40 proc. EJŻ Żarnowiec) wznowiono w 2009 r. Powołano spółkę PGE EJ1. Od tego czasu do dziś zrobiono jednak niewiele. Częściowo jest to wina wcześniejszych zarządów PGE EJ1 (nie zaś obecnego, który realizuje badania środowiskowe, nie mając zgody politycznej na rozpisanie przetargu na wybór technologii). Zmarnowano sprzyjającą koniunkturę. Rząd PO-PSL przyjął Polski Program Energetyki Jądrowej do realizacji podczas posiedzenia Rady Ministrów 28 stycznia 2014 r., ale zabrakło odpowiedniego nadzoru nad spółką, która miała notoryczne opóźnienia, a datę oddania do użytku pierwszego bloku systematycznie odsuwano. Szczególnie duże opóźnienie zanotowano po rozwiązaniu umowy ze spółką australijską WorleyParsons. Realizowała ona badania środowiskowe, konieczne do wydania decyzji lokalizacyjnej. Wybory w 2015 r. ujawniły ewidentny brak woli politycznej do realizacji projektu. Kolejny rząd do dziś nie wydał pozytywnej decyzji dotyczącej realizacji inwestycji w nowej, opracowanej przez Ministerstwo Energii formule. Każdy rok opóźnienia to miliardowe straty dla gospodarki i społeczeństwa.

Podobnie jest z energetyką wodną. Istnieje ona w formie szczątkowej – dostarcza zaledwie 1–2 proc. całej wyprodukowanej energii. Od dawna nie realizuje się większych inwestycji. Ponieważ nie istnieje silne zorganizowane lobby, które by za tym stało. A polska rzeczywistość pokazuje, że szanse mają jedynie projekty wspierane przez lobbystów. Farmy wiatrowe, budowane w różnych miejscach, nawet przy bardzo słabych warunkach wietrznych, a także kolejne bloki węglowe, w Opolu, Kozienicach, Ostrołęce czy Turowie – owszem, dadzą zarobić branżowym grupom interesu, lecz na pewno nie są w stanie dać społeczeństwu ekologicznie czystej, względnie taniej energii, jaką dałyby źródła niemające zorganizowanego wsparcia politycznego w Polsce.

Politycy w Polsce utyskują na Nord Stream 2 – że jest sprzeczny z naszym interesem i racją stanu. Zapewne jest. Lecz jeszcze bardziej sprzeczne z tą racją stanu jest zwiększanie uzależnienia naszego kraju od masowego importu gazu z zagranicy. A to nieuniknione przy intensywnym rozwoju energetyki wiatrowej i słonecznej. Ponieważ dla ich wsparcia źródła gazowe są niezbędne.

Źródła, które mogłyby zapewnić Polsce energię bez emisji i po akceptowalnych cenach, to energetyka jądrowa i ewentualnie wodna

Energia z nich jest zaś droga (trzeba dodać, że gaz sprowadzany z USA czy Norwegii nie będzie tańszy od rosyjskiego). Domniemanie, że USA w razie wojny będą bronić naszego kraju tylko z tego powodu, że dajemy im zarobić na imporcie właśnie od nich wielkich ilości gazu, są naiwne.

GDZIE STRATEGIA?

Gaz rosyjski kupujemy po cenach najwyższych w Europie, stąd dywersyfikacja jego dostaw jest konieczna, ale zwiększanie uzależnienia całej naszej gospodarki od tego surowca to już działanie ewidentnie sprzeczne z Polską racją stanu. Uzależnianie polskiej energetyki od importowanego gazu czy coraz większego importu węgla po sztucznym zwiększeniu popytu na niego przez budowę coraz to nowych bloków na ten surowiec jest stopniową utratą energetycznej niezależności. Dodajmy, że ten węgiel pochodzi głównie z Rosji.

Nieprzyjęcie przez rząd jednoznacznej energetycznej strategii proponowanej przez Ministerstwo Energii tylko ułatwia działanie grupom interesu tego sektora. Strategii, która pozwoliłaby na rozwój w Polsce też takiej energetyki, którą lobbyści do tej pory intensywnie zwalczali jako konkurencję dla swoich źródeł, czyli także energetyki jądrowej. Siłą energetyki jest jej zróżnicowanie, a nie monolit.

Obecna indolencja w energetyce będzie natrafiała na coraz większe problemy. Podwyżki cen energii wywołają społeczne niezadowolenie. To sprawi rządzącym problem przed wyborami. A przy tej skali problemów strukturalnych trudno będzie te podwyżki załagodzić. Dojdzie do tego ostatnie ustępstwo wobec górniczych związków zawodowych, odroczenia w czasie obostrzeń co do jakości spalanego w Polsce węgla (grozi bardzo wysokimi karami unijnymi za stan powietrza) i przedłużenie obecnej sytuacji wszechobecnego smogu oraz smrodu w sezonie grzewczym.

To, co wywoła niekorzystne skutki dla gospodarki, doprowadzi w końcu także do politycznych konsekwencji. Przekreśli plan rozwoju premiera Morawieckiego, który przy tak drogiej energii nie będzie możliwy do zrealizowania. Poza tym droga energia to niekonkurencyjna gospodarka, to podwyżka cen towarów i usług. To brak inwestycji, bo ceny energii i jej dostępność mają poważny wpływ na inwestycyjne decyzje. Dodatkowo sytuację pogorszy groźba blackoutów w upalne lata.

Optymistyczne jest to, że w resorcie energii ludzie, którzy do tej pory bezwarunkowo popierali masowe spalanie węgla (minister Tchórzewski i Tobiszewski), teraz przynajmniej dopuszczają możliwość wybudowania na północy kraju także elektrowni jądrowej. Widać, że w resorcie wygrywają zdrowy rozsądek i polska racja stanu się przebija.

Tyle jednak że stanowisko ministrów nie będzie zbieżne ze stanowiskiem górniczych central związkowych. Z kolei branża energetyki wiatrowej od dawna mocno krytykuje ministra głównie za umiarkowane poparcie dla polskiego atomu.

A postawa samego premiera i jego najbliższego otoczenia – odkładających najważniejsze decyzje do spokojniejszych politycznie czasów – budzić musi poważne obawy. Odkładanie decyzji już nas bardzo drogo kosztuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest przewodniczącym Obywatelskiego Ruchu na rzecz Energetyki Jądrowej.

eprasa.pl a980e6f3ab

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A może by tak raz a dobrze?

Naprawdę ciekawe byłoby się dowiedzieć, czy w tej kadencji Sejm i Senat więcej czasu poświęcają na zmienianie naszej rzeczywistości (z intencją, jak rozumiem, jej naprawiania), czy na zmienianie tych zmian. I dla porównania – jak to było w poprzednich kadencjach.

Szczególnie ten rok wydaje się zdecydowanie stać pod znakiem zmieniania dopiero co zmienionego lub wręcz przywracania status quo ante. Tym bardziej że czerwcowa nowelizacja osławionej styczniowej nowelizacji ustawy o IPN, która doprowadziła do zimnej wojny z połową świata i zmarnowała naszym politykom bimbaliony godzin – w parlamencie i poza nim – pod względem liczby zmian właśnie zmienionego prawa już w pierwszej połowie roku została – i to po wielekroć – pokonana przez ustawy sądownicze. A przecież po niedawnym, zamrażającym część zmian w sądach werdykcie TSUE wydaje się niemal pewne, że był to tylko wstęp do kolejnej serii kolejnych zmian niedawnych zmian.

Czyli także do następnych wielu godzin pracy posłów i senatorów, którzy ostatnio trwonili swój (i nasz) czas (a więc i nasze pieniądze) na zmienianie krótko przedtem zmienionych ustaw. Oto tylko kilka z nich: o odnawialnych źródłach energii, łowiectwie, hipermarketach, Trybunale Konstytucyjnym, abonamencie RTV, wycinaniu drzew na prywatnych działkach itd. Albo – tak jak w przypadku ustawy o zakazie hodowli zwierząt futerkowych – na pracę nad aktami prawnymi, których nawet nie poddano pod głosowanie.

Pytanie, czy wszystko to jest efektem niedostatku wiedzy, roztropności i/lub staranności, czy jednak – jak dowodzą ten i ów – głęboko przemyślaną oraz konsekwentnie stosowaną metodą: zmieniać, jak tylko głęboko się da, nawet jeśli nie wszystko jest w pełni zgodne z konstytucją – zresztą kto o tym teraz orzeknie – a potem, gdyby presja „ulicy i/lub zagranicy" była naprawdę duża – tak jak w przypadku ustaw sądowniczych presja polskich sędziów i ich niepolskich sojuszników, w tym instytucjonalnych, w tym TSUE – zrobić parę kroków wstecz. A gdyby i to nie wystarczyło i presja nie słabła, to jeszcze parę. I tak dalej, i tak dalej.

Jeśli to prawda, to nic się na to nie da poradzić. Jeśli jednak nie? Cóż, jeśli to nie rezultat premedytacji, lecz skutek legislacyjnego bałaganu albo nieznajomości prawa – w tym konstytucji – to może dałoby się to naprawić? Czyli może dałoby się – od tej pory – zmieniać prawo raz a dobrze? Czyli za pierwszym razem? No dobrze, niech będzie, że za drugim. Albo chociaż za trzecim. Ale, na litość boską, nie za ósmym, dziewiątym czy dziesiątym!

Wszelako po niedawnym uchwaleniu na kolanie ustawy o 12 listopada 2018 r. jako dniu wolnym od pracy tracę na to resztkę nadziei. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Dwie narracje

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zawiesił ustawy zmieniające polski system sprawiedliwości, w szczególności zawieszono przepisy, które pozwalały na wymianę elit sędziowskich w Polsce. Ta decyzja oznacza, że Trybunał unijny opowiedział się po stronie jednego z obozów polskiej sceny politycznej, toczących fundamentalny spór o wpływy i władzę. Te dwa obozy to architekci porozumienia Okrągłego Stołu i jego oponenci. Każdy z tych obozów prowadzi swoją narrację, które są równoległe i nie zostawiają miejsca na porozumienie.

Narracja obozu Okrągłego Stołu jest następująca. Ustawy zmieniające zasady funkcjonowania systemu sądownictwa uderzają w niezależność władzy sądowniczej, czyli fundament państwa prawa. Umożliwiają politykom ingerowanie w wyroki sądowe przez wybór zależnych od nich sędziów, co oznacza, że obywatele nie mogą liczyć na sprawiedliwe i politycznie bezstronne sądy. To stanowi jaskrawe naruszenie zasad praworządności unijnej i uzasadnia zwrócenie się o pomoc do struktur unijnych, żeby zatrzymać proces psucia państwa przez obóz oponentów Okrągłego Stołu.

Z kolei narracja obozu przeciwników Okrągłego Stołu swoje korzenie ma właśnie w tym wydarzeniu. Ten obóz twierdzi, że w Magdalence umożliwiono ludziom, którzy popełniali zbrodnie przeciwko Polakom w czasach socjalizmu, dalej pełnić ważne funkcje w sektorze publicznym. Dotyczy to w szczególności systemu sprawiedliwości. Ponadto ci ludzie są bardziej związani z międzynarodową siecią wpływów, której interesów bronią, a nie z polską racją stanu. Dlatego obecny system sądownictwa należy zmienić, żeby odsunąć od orzekania osoby lub ich wychowanków podzielających system wartości swoich mentorów, którzy krzywdzili Polaków w czasach socjalizmu lub którzy reprezentują interesy sprzeczne z polską racją stanu. Dopiero po takiej reformie pojawi się szansa na w pełni niezależne i sprawiedliwe sądy.

Co o tym myślę? Ostatnio usłyszałem prawdziwą historię, w której mężczyzna w Teksasie wszedł do sklepu i zobaczył wypięte atrakcyjne pośladki kobiety, która układa coś na półce. Bez namysłu klepnął. Po chwili mąż kobiety prawym sierpowym wybił mu zęby. Mężczyzna zaskarżył męża kobiety, a sędzia skargę odrzucił, twierdząc, że społeczeństwu dobrze zrobi niewielka kara wymierzona natychmiast na miejscu popełnienia przestępstwa.

Marzy mi się właśnie taki system sprawiedliwości w Polsce. Gdy sędziowie to będą ludzie mądrzy – wiedzą i doświadczeniem życiowym – nieuwikłani w żadne sprawy z przeszłości, które mogą wpłynąć na sposób orzekania, którzy swoją mądrością i postawą będą kształtowali całe pokolenia Polaków. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl a980e6f3ab

TEST „DO RZECZY": JABRA ENGAGE 75

Dzisiejszy gadżet w teorii najlepiej powinien się sprawdzić w rękach, a w zasadzie w uszach przedstawicielek płci pięknej. Amerykańscy badacze od lat mają już dowody na to, że kobiety potrafią wypowiedzieć dziennie aż 20 tys. słów, czyli o ok. 13 tys. więcej niż mężczyźni.

W praktyce profesjonalny zestaw słuchawkowy może się przydać kobietom i mężczyznom, i to zarówno w biurze obsługi klienta – marketingowcy duńskiej firmy chwalą się, że ten model został zaprojektowany jako najbardziej skuteczny na świecie profesjonalny zestaw bezprzewodowy – jak i do użytku czysto prywatnego (zestaw może być jednocześnie podłączony do pięciu urządzeń: np. telefonu stacjonarnego, smartfona, komputera). Słuchawka świetnie nadaje się dla osób, które często korzystają ze Skype'a.

Bateria na jednym ładowaniu wystarcza na ok. 13 godzin rozmów. Czas ładowania wynosi zaś 90 min (po 30 min urządzenie jest naładowane w 40 proc.). Słuchawka i stacja bazowa są dobrze wykonane. Nauszniki są miękkie i wygodne w użytkowaniu, choć ja wolałbym, żeby były chociaż trochę większe i lepiej trzymały się na uszach.

Również plastikowy pałąk za tę cenę mógłby być przyjemniejszy w dotyku. Ogólnie zestaw jest jednak komfortowy nawet przy wielogodzinnym użytkowaniu. Odbieranie i kończenie połączeń, a także regulacja głośności są intuicyjne.

Zasięg to teoretycznie 150 m (jeśli nie ma żadnych przeszkód typu ściany etc.), co docenią zwłaszcza te osoby, które podczas telefonicznych pogaduszek chodzą po całym gabinecie, biurze czy domu. W zastosowaniach biznesowych ważne jest też szyfrowanie połączenia (AES-256), co znacząco podnosi szanse na zachowanie prywatności prowadzonych rozmów.

Po stronie plusów trzeba też zapisać mikrofony z funkcją redukcji szumów, które zapewniają bardzo dobrą jakość rozmów, nawet jeśli w biurze mamy bardzo hałaśliwych kolegów. Przyzwoita jest również jakość muzyki, której można słuchać bezprzewodowo, kiedy akurat nie gadamy. W biurach przydatna jest też lampka, która zapala się, gdy ktoś prowadzi rozmowę – dzięki niej współpracownicy nie muszą już zgadywać, czy w danej chwili mogą chwilę poplotkować, czy lepiej siedzieć cicho.

A minusy? Sporadycznie się zdarzało, że moi rozmówcy skarżyli się, iż słychać mnie zbyt cicho. Najważniejszą wadą tego modelu jest jednak cena. Jabra Engage 75 kosztuje aż 1785 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SŁONECZNY GŁOŚNIK

Uczyli w szkole, że słońce jest zawsze, tylko czasami go nie widać, i wściekali się, słysząc, że „dzień bez słońca"? Na pewno uczyli. Konstruktorów SolarBox na pewno też i – jak widać – nauka nie poszła w las. Na Indiegogo prezentują projekt, który ma być, jak twierdzą, nowoczesnym przenośnym głośnikiem zasilanym energią słoneczną. Dane techniczne są całkiem niezłe – gadżecik został zbudowany z monokrystalicznych paneli krzemowych o wysokiej mocy, po pełnym naładowaniu (czytaj: naświetleniu) baterie (2000 mAh) mają działać nawet 20 godzin.

SolarBox łączy się ze źródłem dźwięku za pomocą Bluetooth 4.2. Przy okazji w dni, kiedy to słońce jest, ale go nie ma, baterie głośnika można naładować poprzez gniazdo USB. Gumowa siatka otaczająca SolarBox ma zapewniać mu odporność na kurz, urządzenie ma być też wodoodporne i dobrze znosić uderzenia. SolarBox wykorzystuje głośnik 55 mm ze wzmocnieniem basów. Cena: ok. 120 zł. Zamawiać można na Indiegogo.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHRUPNIJ ŚNIADANIE

Śledząc projekty, które pojawiają się na największych portalach crowdfundingowych, nie można nie odnieść wrażenia, że część projektantów-konstruktorów ma wybitny dar wyważania dawno otwartych drzwi, przy czym znakomicie potrafi tak opisać swój całkiem pospolity projekt, że zamówienia na niego (i pieniądze na realizację zamówienia) płyną szerokim strumieniem. Tak jest chociażby w przypadku Crunch Cup. Jest to gadżet rzeczywiście przydatny, ale nie nowatorski, podobne mechanizmy (choć to słowo na wyrost) wykorzystano już w przenośnych hermetycznych kubeczkach do kawy czy herbaty. Mówiąc wprost: Crunch Cup to przypominający kształtem przenośny termos-pojemnik, wykonany z wysokiej jakości sztucznego tworzywa o nazwie Tritan, niezawierającego BPA, BPSA ani żadnego innego szkodliwego bisfenolu. Pojemnik jest wytrzymały, nie pęka, można go szczelnie zamknąć. Wcześniej jednak należy wsypać do dodatkowego wewnętrznego zbiorniczka nieco płatków zbożowych, kukurydzianych czy musli, a do zbiornika głównego – mleko. Pijący ze specjalnego dziobka musi Crunch Cup przechylić tak, żeby przepływające przez pojemnik z płatkami mleko zabrało ze sobą rozdrobnione, zmiękczone elementy płatków.

Żadne wielkie mecyje to nie są, a za Crunch Cup trzeba na Kickstarterze zapłacić ok. 75 zł. Warto? ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl a980e6f3ab

Zimy jeszcze nie ma, ale normy jakości powietrza coraz częściej są już mocno przekroczone, w miastach regularnie ogłaszany jest alarm smogowy. Trujący problem dotyczy nie tylko Krakowa, Nowego Sącza, Bielsko-Białej, Tarnowa, Wrocławia czy Warszawy, lecz także niemal całej Polski

Skąd się bierze

Słowo „smog" pochodzi z języka angielskiego i powstało w XX w. ze zbitki dwóch wyrazów „smoke" (dym) oraz „fog" (mgła). Smog jest więc nienaturalnym zjawiskiem atmosferycznym, do którego powstania przyczynia się zanieczyszczenie powietrza w połączeniu z niekorzystnymi warunkami pogodowymi. Dzieli się go na dwa rodzaje:

– smog kwaśny (typu londyńskiego) – występuje głównie w umiarkowanej strefie klimatycznej. Dominują w nim tlenki siarki, tlenki węgla, pyły zawieszone PM2,5 i PM10 oraz trującego benzo(a)pirenu. W przypadku tego rodzaju smogu najgorzej jest w sezonie grzewczym, a szczególnie źle w okresach bezwietrznych;

– smog fotochemiczny (typu Los Angeles) – typowy dla tropikalnej i subtropikalnej strefy klimatycznej. Składa się głównie ze związków pochodzących ze spalin samochodowych i przemysłowych, np. tlenków węgla i tlenków azotu.

W obu przypadkach smog składa się z trujących pyłów i szkodliwych dla zdrowia związków chemicznych. Tymczasem eksperci alarmują: gdy wzrasta zanieczyszczenie powietrza, wzrasta również liczba hospitalizacji oraz zgonów.

Wśród szkodliwych substancji znajdujących się w powietrzu wyróżnia się głównie pył zawieszony PM2,5 oraz pył zawieszony PM10. Ten pierwszy to aerozole atmosferyczne, których średnica nie przekracza 2,5 mikrometra. Ten rodzaj pyłu zawieszonego jest najgroźniejszy dla zdrowia, jest on bowiem tak drobny, że bez trudu przenika bezpośrednio do krwiobiegu. Jak podaje Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Warszawie, poziom dopuszczalny dla stężenia średniodobowego wynosi 25 μg/m^3. Pył zawieszony PM10 to aerozole atmosferyczne, których średnica nie przekracza 10 mikrometrów, które mogą docierać do płuc i górnych dróg oddechowych. Jak podaje Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Warszawie, poziom dopuszczalny dla stężenia średniodobowego wynosi 50 μg/m^3 i może być przekraczany nie więcej niż 35 dni w ciągu roku. Poziom dopuszczalny dla stężenia średniorocznego wynosi 40 μg/m^3, a poziom alarmowy – 200 μg/m^3.

Na liście trujących nas substancji znajdują się również: dwutlenek siarki, tlenki azotu, metale ciężkie, dioksyny oraz wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne, np. rakotwórczy i mutagenny benzo(a)piren.

CZARNY PUNKT W EUROPIE

Najmniejszy problem ze smogiem mają takie kraje jak Szwecja, Estonia i Finlandia. Na terenie tego ostatniego położone jest najczystsze miasto w Europie: Muonio, gdzie średnio poziom PM2,5 wynosi zaledwie 2 ug/m^3. W całej Unii Europejskiej średnio tylko powietrze w co 10. mieście nie truje mieszkańców.

Według raportu Światowej Organizacji Zdrowia na całym świecie czystym powietrzem oddycha tylko jedna osoba na 10. Największy problem ze smogiem ma wiele miast w Indiach (15 z 20 na liście najbardziej zanieczyszczonych), Pasakha w Bhutanie, egipski Kair, pakistański Peszawar i irański Buszehr. Poza pierwszą setką znalazł się za to Pekin – symbol miasta zatrutego smogiem, które w ostatnich latach znacząco zmniejszyło zanieczyszczenie.

eprasa.pl a980e6f3ab

smog?

FOT. FOTOLIA

Na terenie Polski znajduje się aż 45 ze 100 najbardziej zanieczyszczonych miast Unii Europejskiej

Niestety, Polska co roku zajmuje niechlubne miejsce w czołówce najbardziej zanieczyszczonych państw Unii Europejskiej. To na terenie naszego kraju znajduje się aż 36 z 50 miast UE najbardziej zanieczyszczonych pod względem PM2,5. Ranking ten otwierają co prawda dwa bułgarskie miasta – Widyń oraz Dimitrowgrad – ale tuż za nimi są: Opoczno, Żywiec, Rybnik oraz Pszczyna. Dla przykładu w Opocznie średni poziom zanieczyszczenia groźnym trującym pyłem PM2,5 wynosił aż 41 mikrogramów na metr sześcienny.

Na liście najbardziej zatrutych miast Europy są także takie polskie miasta jak: Kraków, Nowa Ruda, Nowy Sącz, Proszowice, Godów, Wodzisław Śląski, Pleszew, Bielsko-Biała, Sucha Beskidzka, Rawa Mazowiecka, Jarosław, Sosnowiec, Nakło, Zabrze, Radomsko, Tomaszów Mazowiecki, Nakło nad Notecią, Niepołomice, Piotrków Trybunalski, Gliwice, Dąbrowa Górnicza, Zduńska Wola, Wadowice, Otwock, Nowy Tomyśl, Brzeziny, Piastów, Myszków, Wągrowiec, Katowice oraz Tuchów.

Można by tak długo wymieniać, bo odsetek polskich miast, w których przekroczone zostały normy jakości powietrza, wynosi ponad 72 proc. – gorzej jest jedynie w Bułgarii, gdzie odsetek zatrutych miast wynosi aż 83 proc.

Na terenie Polski znajduje się aż 45 ze 100 europejskich miast najbardziej zanieczyszczonych pod względem PM10. W tym rankingu niechlubnymi liderami w naszym kraju są: Żywiec, Pszczyna, Rybnik, Wodzisław Śląski oraz Opoczno.

Również najnowszy raport Najwyższej Izby Kontroli nie pozostawia złudzeń. – Polska jest czarnym punktem na mapie Europy, jeśli chodzi o zanieczyszczenia powietrza – oznajmił prezes NIK Krzysztof Kwiatkowski, prezentując we wrześniu raport na temat smogu. Według NIK w Polsce praktycznie nie ma czystych miejsc. W niektórych normy są jedynie przekraczane rzadziej i w mniej rażący sposób. Generalnie najlepiej jest na północy kraju, choć i tu są niechlubne wyjątki, takie jak Starogard Gdański, Myślibórz i Gołdap.

– Stan powietrza w Polsce jest na tyle zły, że w sposób ewidentny przekłada się na stan zdrowia Polaków. Działania w celu poprawy jakości powietrza są niezwykle trudne: lata zaniedbań, niska świadomość, niechęć do ponoszenia kosztów „czystego" opału. Bez dobrych działań edukacyjnych opartych na systemie pomiarowym stan rzeczy w Polsce się nie zmieni. Jedynie działania edukacyjne mogą zmienić nastawienie szerszej części społeczeństwa do problemu zanieczyszczenia powietrza.

Zła jakość powietrza w Polsce nie jest powodowana przez przemysł, ale przez domowe piece opalane węglem i drewnem często bardzo złej jakości. Dlatego też PZU wraz z firmą NASK przeprowadza akacje edukacyjne w szkołach dla nauczycieli, dzieci i rodziców. Jest to najlepszy sposób do prewencyjnych działań w celu poprawy jakości powietrza w Polsce, a przez to poprawy zdrowia Polaków. Akcja jest prowadzona w 33 najbardziej zanieczyszczonych miastach w Polsce – powiedział Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej PZU.

PRZYCZYNY ZANIECZYSZCZEŃ

Najważniejszymi źródłami smogu są:
- gospodarstwa domowe,
- przemysł,
- transport drogowy,
- energetyka,
- rolnictwo.

Największą przyczyną zanieczyszczeń jest tzw. niska emisja. Chodzi o zanieczyszczenia, które trafiają do powietrza przez kominy domów jednorodzinnych czy starych kamienic, w wyniku ogrzewania tych budynków za pomocą przestarzałych pieców i kotłów na paliwa stałe. Część właścicieli starszych domów czy kamienic, zwłaszcza osób starszych czy samotnych, ma jednak problem zarówno z brakiem pieniędzy na swój wkład w wymianę pieca, jak i z brakiem wystarczającej wiedzy o ekologicznych sposobach ogrzewania budynków. W niektórych przypadkach do powstawania zanieczyszczeń przyczynia się skrajna głupota, np. spalanie odpadów w domowych piecach czy warsztatach samochodowych. Straż miejska coraz częściej przeprowadza więc kontrole, które kończą się mandatami dla trucicieli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jan Pyłek

eprasa.pl a980e6f3ab

FOT. FOTOLIA

Zatrzymać wulkan

Katarzyna Pinkosz

Nawet 90 proc. chorób można zapobiec. To dlaczego wciąż tak rzadko nam się to udaje?

Trzy białe plamki na skórze noworodka – tzw. plamy odbarwieniowe – mogą być pierwszym objawem stwardnienia guzowatego, rzadkiej choroby genetycznej, na którą w Polsce choruje ok. 6 tys. osób. Jej rozpoznanie jest możliwe nawet w 20.–22. tygodniu ciąży, jeśli w trakcie wykonywania USG lekarz zauważy guzki w sercu płodu. Potwierdzić chorobę można jeszcze w okresie prenatalnym, dzięki wykonaniu rezonansu magnetycznego główki dziecka.

Dlaczego to jest tak ważne? Bo wczesne rozpoznanie w tej chorobie ma kolosalne znaczenie.

REWOLUCJA W NEUROLOGII

Stwardnienie guzowate to choroba o różnym przebiegu. Są osoby, które w miarę normalnie z nią funkcjonują, na drugim biegunie są osoby niepotrafiące nawiązać kontaktu z otoczeniem, z napadami padaczki.

W ok. 80 proc. przypadkach pierwsze napady padaczki pojawiają się już w pierwszym roku życia. Szczególnie niebezpieczne jest, gdy dochodzi do nich ok. 4.–6. miesiąca. Najczęściej powodują one, że dziecko zaczyna gorzej się rozwijać intelektualnie. – Tak wcześnie pojawiająca się padaczka często jest oporna na leczenie, a nawracające ataki u małego dziecka powodują niepełnosprawność intelektualną – potwierdza dr Monika Słowińska z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i Centrum Zdrowia Dziecka, gdzie pod kierunkiem prof. Sergiusza Jóźwiaka od wielu lat toczą się prace nad metodami wczesnego diagnozowania stwardnienia guzowatego.

– Opracowaliśmy nie tylko metodę wczesnej diagnozy, lecz także wręcz rewolucyjną w neurologii koncepcję podawania leków przeciwpadaczkowych profilaktycznie, zanim pojawi się pierwszy napad padaczki – tłumaczy dr Monika Słowińska. Niemowlę, u którego zostanie potwierdzone stwardnienie guzowate, ma co cztery tygodnie wykonywane badanie EEG mózgu. Jeśli zapis pokaże niebezpieczeństwo pojawienia się napadu padaczki, to od razu dostanie leki przeciwpadaczkowe. – Leczyć, zanim pojawią się napady padaczki, to tak jak zatrzymać wulkan przed wybuchem – mówi obrazowo prof. Sergiusz Jóźwiak. Dzięki temu dziecko może się rozwijać dobrze, nie mieć upośledzenia intelektualnego.

Cieszy to, że program rozpoznawania padaczki jeszcze przed wystąpieniem pierwszego napadu został opracowany w Polsce. Łyżką dziegciu jest jednak to, że lekarzom wykonującym badanie USG w ciąży często brakuje „uważności" i nie zauważają, że z sercem dziecka dzieje się coś nie tak. Nie wszystkie dzieci są zdiagnozowane tak wcześnie, nie wszystkie są kierowane do specjalistycznych ośrodków. Nie wszystkie mają więc szansę na dobry rozwój.

PO PIERWSZE ZDROWIE

Profilaktyka padaczki u dzieci ze stwardnieniem guzowatym to jeden z tematów poruszanych podczas konferencji w Senacie „Po pierwsze zdrowie", zainicjowanej przez prof. Henryka Skarżyńskiego. Dzisiaj już wiadomo, że można zapobiec nawet 90 proc. przypadków chorób serca czy cukrzycy. Wciąż łatwiej jednak znaleźć pieniądze na drogie terapie ratujące życie niż na propagowanie badań i promowanie zdrowego stylu życia. – O ile w medycynie naprawczej zauważalny jest wyraźny postęp, o tyle poziom wiedzy na temat zagrożeń będących konsekwencją chorób cywilizacyjnych jest niewystarczający. Polacy często nie wiedzą, jakie badania należy powtarzać albo gdzie je wykonać – mówi prof. Henryk Skarżyński.

Wciąż nie udało się przywrócić w szkołach gabinetów lekarskich lub choćby wprowadzić corocznych badań profilaktycznych u dzieci do 18. roku życia. Nie udało się też wprowadzić do medycyny pracy nawet obowiązkowej morfologii. W efekcie, choć większość chorób cywilizacyjnych jest uwarunkowana błędami w stylu życia, zamiast chorować coraz rzadziej, chorujemy coraz częściej. W Polsce rośnie liczba osób z nadwagą i otyłością (problem ten dotyka już prawie 70 proc. Polaków w wieku 18–55 lat), a liczba osób z otyłością olbrzymią (BMI powyżej 40) w ciągu ostatnich 20 lat się podwoiła. – Zdumiewające jest dla mnie, że przy całej naszej batalii o zdrowie, budowaniu piramid zdrowego żywienia ludzie nadal spożywają dużo więcej żywności przetworzonej niż warzyw i owoców – mówi prof. Bolesław Samoliński, alergolog i ekspert od zdrowia publicznego.

Stwardnieniu guzowatemu nie da się zapobiec, ale można je szybko rozpoznać i leczyć, by uniknąć powikłań. Większości przypadków cukrzycy, zawałów, udarów, nowotworów da się zapobiec: wystarczy nie palić, więcej się ruszać, mniej jeść. Może więc warto „zatrzymać ten wulkan przed erupcją"?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a980e6f3ab

Możemy wspólnie prowadzić badania

Philip Tagari (z prawej) i Brian Bradbury

FOT. INSTYTUT STUDIÓW WSCHODNICH

Philip Tagari, wiceprezes ds. badań i rozwoju Amgen

MONIKA DŁUGOSZ: Amgen jest największą firmą biotechnologiczną na świecie. Jakie są najważniejsze obszary terapeutyczne, nad którymi obecnie pracujecie?

PHILIP TAGARI: Koncentrujemy się na poszukiwaniu leków w chorobach, które mają wpływ na bardzo duże populacje, np. na metody leczenia bólu, chorób sercowo-naczyniowych, nowotworów, zwłaszcza raka trzustki, raka jelita grubego, nowotworów głowy i szyi. Poszukujemy również leków w niewydolności nerek: istnieje niewiele metod leczenia niewydolności nerek innych niż przeszczep nerki.

Coraz większym problemem na całym świecie jest starzenie się społeczeństwa, dlatego zajmujemy się także schorzeniami wynikającymi ze starzenia się populacji, takimi jak osteoporoza. Ważnym problemem są choroby neurodegeneracyjne, takie jak choroba Parkinsona i choroba Alzheimera. Prowadzimy szereg badań, które mogą spowodować istotny zwrot: albo zatrzymać chorobę Alzheimera, albo przynajmniej ją spowolnić. Jak widać, zajmujemy się wieloma obszarami terapeutycznymi. Co roku inwestujemy ok. 4 mld dol. w badania i rozwój.

W Polsce firma prowadzi wiele badań klinicznych nowych leków...

W badaniach klinicznych leków Amgen uczestniczy w Polsce więcej pacjentów niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie (z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych). Oceniamy w Polsce bardzo zaawansowane leki biotechnologiczne. Aktywnie działamy także w kształceniu polskich naukowców. Przeznaczyliśmy dla nich 32 stypendia na studia na najlepszych europejskich uniwersytetach. Cieszy nas to, że Polska jest coraz bardziej zainteresowana biotechnologią jako branżą. Widzimy możliwość wspólnego prowadzenia badań i być może inwestowania w polskie start-upy.

W jaki sposób Amgen, który jest jednym z liderów światowej biotechnologii, może wspomóc rozwój biotechnologii w Polsce?

Prowadzimy w Polsce szereg badań klinicznych nad innowacyjnymi lekami i nadal będziemy to robić, nawet w większym zakresie. Chcemy nadal kształcić polskich studentów, inwestować w start-upy, a także wspólnie z polskimi uczelniami i firmami inwestować w badania z zakresu przetwarzania danych medycznych.

Ekspertyza, wiedza, umiejętności

Brian Bradbury, dyrektor Data & Analytic Center w Centrum Badań Obserwacyjnych Amgen

Gdy lek jest szeroko stosowany przez pacjentów, wyniki leczenia nim mogą różnić się od tych, które zostały uzyskane w badaniach klinicznych. Czym wobec tego jest Real World Evidence (RWE)?

Wyniki leczenia rzeczywiście mogą się różnić, dlatego staramy się gromadzić dane z całego świata z analiz zebranych poza badaniami klinicznymi. Chodzi o przekonanie się, w jaki sposób terapie sprawdzają się w praktyce, jak pacjenci rzeczywiście czują się podczas terapii. RWE to analiza danych dotyczących chorób: ile osób je ma, jakie są epidemiologia i przebieg choroby. W przypadku raka dane te pokazują, jak często pacjenci muszą chodzić do szpitala, jakie leki stosują, czy leki są bezpieczne, jak często pojawiają się działania niepożądane, jak często dochodzi do zgonu. W Amgen mamy platformę, która wykorzystuje Real World Data – dane z wielu krajów. Współpracujemy z badaczami z całego świata. Używamy danych, by zrozumieć, jak stosowane są nasze leki, kto je otrzymuje, czy obserwowane są takie same korzyści jak w badaniach klinicznych, jakie są czynniki ryzyka. Gdy Europejska Agencja Leków (EMA) autoryzuje nowy lek, prosi nas o dostarczenie informacji o jego bezpieczeństwie, gdy stosuje go np. 50 tys. osób.

Ma pan wysoką pozycję w prywatnej firmie, a jednocześnie należy pan do środowiska akademickiego. Jest możliwa współpraca w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego?

Od 15 lat, od kiedy zacząłem pracę w Amgen, mam okazję uczestniczyć w wielu projektach partnerskich. Współpracujemy z instytucjami akademickimi na całym świecie, by zrozumieć, w jaki sposób stosowane są leki, u których pacjentów przynoszą najlepsze rezultaty, jakie są konsekwencje decyzji rządowych dla stanu zdrowia pacjentów. Staramy się budować relacje z instytucjami publicznymi i agendami rządowymi, aby mogły się przekonać, że oferujemy terapie na najwyższym poziomie i dobrze znamy mechanizm działania naszych leków. Agendy rządowe poszukują miarodajnych źródeł informacji. Uważamy, że zarówno po stronie rządu, świata akademickiego, jak i po naszej stronie ważne są ekspertyza, wiedza i umiejętności. Gdy je połączymy, będziemy lepiej leczyć pacjentów.

rozmawiała Monika Długosz

Materiał powstał przy współpracy z partnerem: firmą Amgen.

eprasa.pl a980e6f3ab

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Bitwa o nieboszczyków

Mikołaj Spytek Ligęza herbu Półkozic, kasztelan czechowski, starosta biecki, zasłynął przede wszystkim jako dobry i stateczny gospodarz, właściciel Rzeszowa, w którym zbudował zamek, z którego do dziś zachowały się wieża bramna i fortyfikacje. Pan kasztelan do dziś ma własną ulicę w stolicy Podkarpacia, a pamięć o jego rządach przechowała się łaskawa.

Przez długie lata dbał o miasto, ufortyfikował je, zbudował klasztor i kościół oo. Reformatów w Bieczu oraz wiele innych budowli. Nawet on jednak nie ustrzegł się od awantur, z których najgłośniejszą był zajazd Stanisława „Diabła" Stadnickiego na rzeszowski jarmark, który chciał przenieść do Łańcuta, porywając tam kupców. Drugą wojenką stał się spór z bratankiem Andrzejem, synem Jana, wojskiego sanockiego, który po śmierci ojca pozostawał pod opieką stryja. Kiedy zaś owa opieka się skończyła, oskarżył Mikołaja Spytka o nieuczciwe administrowanie dobrami, a także o zawłaszczenie Piotraszówki, czyli dzisiejszej Boguchwały na południe od Rzeszowa.

Andrzej rozegrał rzecz po tatarsku. Zaciągnął swawolną kompanię hultajstwa i w roku 1603, podszedłszy nocą pod nieobecność stryja w pobliże Rzeszowa, napadł na zamek, rozbił taranami mury, zdobył i zrabował siedzibę kasztelana, zagarniając liczne kosztowności, a wśród nich skrzynię z 20 tys. talarów. Oczywiście Mikołaj Spytek wpadł we wściekłość. Skrzyknął z kolei swoich poddanych i klientów, po czym urządził zajazd na włości Andrzeja – Zwięczycę i Starą Niwę, złupił je i spustoszył.

Andrzej odpowiedział kolejnym atakiem. Jeszcze w tym samym roku wpadł z gromadą hultajstwa do miasta, wyłamał

FOT. WIKIPEDIA

bramy, potem pozwolił wojsku na rabunek, samo zaś miasto otoczył czatami, które nie dopuszczały do Rzeszowa nikogo. I tak młody Ligęza oraz jego kompani przez trzy dni hulali sobie w mieście, na rachunek kasztelana, sakiewek miejscowych łyczków, a także kosztem cnoty mieszczanek. Ligęza po tym wszystkim natychmiast wysłał do Zygmunta III Wazy list z prośbami o interwencję, a król w odpowiedzi nakazał staroście sanockiemu, aby zwołał szlachtę i ukarał Andrzeja. Ponieważ jednak młodzian był popularny wśród miejscowej herbowej braci, na wezwanie nie stawił się nikt. Wobec takiego obrotu sprawy Mikołaj Ligęza zaciągnął własnych żołnierzy i wytoczył bratankowi proces w sądach w Przeworsku.

W roku 1604, gdy nadeszły roczki sądowe, na których miano rozpatrywać sprawę Ligęzów, wyruszył do miasta. Andrzej wszelako przybył do grodu pierwszy, co więcej – nie był sam, bo przyprowadził ze sobą ok. 900 ludzi i armaty. W ówczesnych czasach Przeworsk miał jedną jedyną murowaną kamienicę przy rynku. I ten właśnie dom obsadzili uzbrojeni w rusznice i szable ludzie Andrzeja. Inni żołnierze ukrywali się w przyległych, drewnianych domostwach, czekając w zasadzce na kasztelana.

Mikołaj Spytek dowiedział się o tym, zatrzymał się zatem na przedmieściu i otoczył strażami miasto. Początkowo liczył na układy, ale wkrótce doszło do otwartej walki. Pierwsze starcie miało miejsce w chwili, gdy kasztelan usiłował dostać się do ratusza. Ludzie Andrzeja wszczęli bowiem strzelaninę z jego hajdukami. Później doszło do otwartej walki, w czasie której szturmowano dom po domu, strzelano i rąbano się szablami. Kasztelan czechowski, na którego korzyść przechyliła się w końcu szala walki, chciał schwytać Andrzeja, ów jednak zamknął się w jednej z gospód i aż do samego wieczora odpierał oblegających. I wreszcie Mikołaj odstąpić musiał od karczmy, zabierając ze sobą sześciu zabitych. Andrzej stracił 21 ludzi, a także konie i podwody, które zrabowali słudzy Spytka.

W dniu następnym Andrzej i Mikołaj załadowali trupy na wozy, aby przywieźć je do Przemyśla i zaprezentować w grodzie starościńskim w celu złożenia protestacji na przeciwnika. Ponieważ za stronę pokrzywdzoną mógł uznać się ten, kto okazał więcej trupów, pomiędzy zwaśnionymi rozgorzała wojna o zwłoki. Ostatecznie ludzie kasztelana odbili 15 zabitych, pochodzących głównie spośród czeladzi Andrzeja, który zaprezentować mógł w Przemyślu jedynie sześciu nieboszczyków.

Prywatną wojnę rozstrzygnął ostatecznie Diabeł Łańcucki, atakując obu Ligęzów. Pomiędzy stryjem a bratankiem przyszło wówczas do zgody. Rok później jednak Mikołaj Spytek pogromił Stadnickiego na moście w Przemyślu i dobrze uczynił, bo łotr był z niego, warchoł i okrutnik, a w dodatku strach jak zajadły kalwin i rokoszanin. ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

CHWASTY W KISZU KRZYSZTOFA BIGUSA

Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że jestem fanem tego, co w kuchni nietypowe. Gdy w sklepie widzę produkty, których jeszcze nigdy nie jadłem, kupuję je bez wahania. Tym sposobem zjadłem już chrobotka reniferowego, mięso kangura, mięso krokodyla. Moim marzeniem jest spróbowanie m.in. płetwy rekina.

Lubię też korzystać z tego, co daje nam matka natura. Okazuje się, że to, co rozumiemy pod określeniem „chwast", często również nadaje się do jedzenia. W naszych ogródkach i na pobliskich łąkach znajdziemy wiele roślin nadających się do spożycia, które walorami smakowymi przewyższają szpinak, roszponkę czy rukolę. Polecam szczególnie pędy chmielu, kwiaty bzu czy żółtolicę (jeden ze składników poniższego przepisu).

W mojej kuchni często można spotkać różnego rodzaju grzyby, i to nie tylko te, które są zwyczajowo używane w polskiej kuchni. Jednym z najciekawszych grzybów, które jadłem, jest żółciak siarkowy, który smakiem przypomina tofu.

Kisz z cebulą, boczkiem i żółtolicą

Ciasto:

- 150 g mąki
- 175 g masła
- 11 żółtek

Farsz:

- 125 g wędzonego boczku
- 75 g żółtolicy (roślina, alternatywnie szpinak lub podagrycznik)
- 1 cebula
- 2 jajka
- 100 ml mleka
- 100 ml śmietanki (36-procentowej)
- 50 g sera żółtego
- pieprz do smaku
- odrobina soli

Przygotowanie:

Z mąki, masła i żółtek ugnieć ciasto. Następnie włóż je na minimum 10 min do lodówki. Wyciągnij ciasto, rozwałkuj, przełóż do formy i ponakłuwaj. Wstaw do lodówki na kolejne minimum 10 min. Po wyciągnięciu z lodówki wstaw do piekarnika i piecz 10 minut w 180 st. C.

Boczek podsmaż na patelni, dorzuć pokrojoną w kostkę cebulkę, a po przesmażeniu odsącz z tłuszczu na ręczniczku papierowym. Żółtolicę ublanszuj i pokrój. Ser zetrzyj na tarce. Jajka dobrze wymieszaj ze śmietanką i z mlekiem, dopraw pieprzem i solą. Wszystko wymieszaj i wlej na kruche ciasto. Wstaw kisz na ok. 30 min do piekarnika nagrzanego do temperatury 190 st. C. ©℗

oprac. raw

Krzysztof Bigus jest uczestnikiem siódmego sezonu polskiej edycji programu „MasterChef".

FOT. TVN/NEWSPIX.MICHAŁ STAWOWIAK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szwedzkie wynalazki

Postanowiłam mianować się krajowym ekspertem do spraw porządków. Wprawdzie tylko samozwańczym, ale legitymuję się wiedzą zdobytą w książkach, które ostatnio ukazały się na ten temat w Polsce. Tak że gdyby państwo mieli pytania w tej kwestii, proszę się nie wahać.

Lekturę ostatniej pozycji na ten temat właśnie mam za sobą. Jest to „Sztuka porządkowania życia po szwedzku" Margarety Magnusson. „Światowy bestseller, który zaskakuje przenikliwością i uroczym stylem" – zachwala „New York Times". „Po latach panowania Marii Kondo przyszedł czas na Margaretę Magnusson. Zamiast praktykować zasadę Kondo »wszystko albo nic«, Magnusson namawia do sprzątania krok po kroku. W końcu mamy całe życie, żeby się uporządkować" – reklamuje „Vogue". Nawet „Washington Post" pisze: „Mała objętość, a tyle mądrości wyłożonej wprost i bez sentymentów, za to z poczuciem humoru".

Można tę książeczkę nazwać uroczą głównie dlatego, że jej autorka jest osobą wiekową – dobrze po osiemdziesiątce – i jej łagodny, niedzisiejszy, sentymentalny styl kwalifikuje ją do kategorii retro. Co do mądrości – no cóż.

Mam wrażenie, że już te wszystkie „mądrości" słyszałam od mamy/cioci/babci, czytałam o nich w działach porad magazynów kobiecych albo po prostu sama na nie wpadłam, jak każdy, kto nie może w szafie znaleźć swetra, za to na głowę spada mu z półki rakieta tenisowa, dawno nieużywana. Oto np. refleksja autorki nad znalezionymi w szafie ubraniami dzieci:

MARGARETA MAGNUSSON „SZTUKA PORZĄDKOWANIA ŻYCIA PO SZWEDZKU" BUCHMANN 2018

„Czasem trudno się pozbyć dziecięcych ubranek. W moim przypadku dlatego, że są takie małe i śliczne i tak miło pokazać maleńką koszulinę prawie dwumetrowemu dryblasowi, mówiąc: To było twoje". Nader to odkrywcze.

Inne rewelacje autorki są najczęściej tak naiwne, jakby odkrywała świat, z którym ostatnio miała kontakt 30 lat temu. Odkrywa np., że w second-handach można znaleźć coś innego niż stare łachy. „Na przyjęciu […] zjawiła się kobieta w bardzo ładnej sukience. Pochwaliłam jej kreację, a ona z taką dumą powiedziała, że kupiła ją w lumpeksie, jakby to była sukienka od Diora. Może nasze społeczeństwo się zmienia".

Pani Magnusson uczy nas też korzystania z Internetu. Bez niej bylibyśmy zagubieni. „Kiedyś miałam większą kuchnię i była w niej specjalna półka z książkami kucharskimi. Dziś szukając przepisu, sięgam do Internetu. Wpisuję do przeglądarki nazwę potrawy, którą chcę ugotować, i mam do wyboru kilka wersji opatrzonych dodatkowymi zdjęciami, z których jedno jest bardziej nęcące od drugiego. Coś wspaniałego!".

Nuda, proszę państwa, nuda. ©℗

ebrasa.pl a980e6f3ab

NASZ TEST: VOLVO S90 D4

Flagowa luksusowa limuzyna szwedzkiej marki wyraźnie odróżnia się od niemieckich czy japońskich konkurentów. Zachowuje wyraźne, proste linie nadające jej prestiż, a jednocześnie jest nowoczesna i fajnie się prowadzi. Ten sedan to kwintesencja klasy E w skandynawskiej formie.

W KABINIE

Volvo S90 ma nadwozie długie na 496,3 cm. Jest więc nieco dłuższe niż BMW serii 5 (493,6 cm) czy Mercedesa klasy E (492,3 cm). Przestronne wnętrze zostało wykończone w minimalistycznym stylu. Drewno, skóra, aluminium oraz włókno węglowe przywodzą na myśl wytworny butikowy hotel. Duży plus należy się Volvo za jakość wykończenia, dokładność spasowania poszczególnych elementów, a także za ergonomiczne i komfortowe fotele.

Pojemność ustawnego kufra wynosi równo 500 l – szału nie ma (BMW serii 5 ma bagażnik o pojemności 530 l), ale w zupełności wystarczy, aby pomieścić walizki i torby przeciętnej rodziny.

JAZDA

Testowany model (S90 D4) z automatyczną skrzynią biegów oraz dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 190 KM od 0 do pierwszej setki rozpędza się w 8,2 s. Prędkość maksymalna to zaś 230 km/godz.

Limuzyna potrafi być dynamiczna. Nie jest to jednak auto stworzone do drogowych szaleństw. Przeciwnie: komfortowe zawieszenie modelu S90 zachęca do spokojnej, dostojnej, wręcz nieco leniwej jazdy.

Podczas testu model S90 spalał w cyklu mieszanym średnio 7 l oleju napędowego na 100 km, choć przy łagodniejszym obchodzeniu się z pedałem gazu można zejść do ok. 6 l/100 km.

Centralnym elementem deski rozdzielczej jest 9-calowy kolorowy wyświetlacz dotykowy – to za jego pomocą steruje się m.in. multimediami, systemem nawigacji oraz klimatyzacją. Mógłby być bardziej intuicyjny i mniej angażować uwagę kierowcy podczas jazdy, ale i tak jest całkiem udany.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP szwedzka limuzyna zdobyła komplet pięciu gwiazdek (w kategorii ochrony dorosłych podróżujących uzyskała aż 95 proc. punktów, za ochronę dzieci 80 proc., a za systemy wspomagające bezpieczeństwo 93 proc. punktów).

Model S90 w razie zagrożenia autonomicznie uruchamia hamulce: w razie wykrycia ryzyka zarówno kolizji z innym pojazdem, jak i potrącenia pieszego czy np. łosia.

Volvo może też samodzielnie trzymać się wybranego pasa ruchu. Systemy asystujące ostrzegają też przed autami w martwych polach lusterek czy pojazdami jadącymi prostopadle do nas, np. podczas wyjeżdżania z zatłoczonego parkingu.

CENA

Najtańsze S90 z silnikiem wysokoprężnym o mocy 150 KM, manualną skrzynią biegów i napędem na jedną oś kosztuje 188,8 tys. zł. Wersja D3 z ośmiobiegowym automatem to już wydatek 198,4 tys. zł. Na testowany model D4 trzeba wydać 204,4 tys. zł, a na najmocniejszego diesla z silnikiem o mocy 235 KM i napędem na wszystkie łapy – aż 237 tys. zł.

Zwolennicy silników benzynowych za najtańszą wersję z automatyczną skrzynią, napędem na jedną oś i jednostką o mocy 190 KM muszą zapłacić 200,6 tys. zł. Wersja o mocy 250 KM kosztuje 222,7 tys. zł. Szwedzka limuzyna z silnikiem o mocy 310 KM i napędem na obie osie to wydatek aż 278 tys. zł. Najdroższa jest jednak hybryda – za auto o mocy aż 390 KM trzeba zapłacić co najmniej 326,3 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A6, BMW Serii 5, Hyundai Genesis, Infiniti Q70, Jaguar XF, Maserati Ghibli, Mercedes klasy E, Lexus GS ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl a980e6f3ab

DZISIAJ
GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI
codziennie 18:30

REPUBLIKA

eprasa.pl a980e6f3ab

ZŁY TYRMAND

Samorządowe przetasowania

MATTHEW TYRMAND

MARCIN MAKOWSKI: Wybory samorządowe, czyli pierwszy od trzech lat sprawdzian kondycji polskiej sceny politycznej, za nami. PiS osiąga najwyższy wynik w historii, Koalicja Obywatelska zgarnia miasta, ale nie otrzymuje premii za jedność, PSL traci najwięcej w stosunku do 2014 r., lewica właściwie nie istnieje. Jakieś zaskoczenia?

MATTHEW TYRMAND: Raczej nie. Wynik Prawa i Sprawiedliwości udowadnia, że partia nie traci swojego mandatu społecznego (jak to starają się przedstawić publicyści w zagranicznych mediach), a wręcz zyskuje poparcie w regionach, w których była słabsza albo nie miała władzy. Z jednego sejmiku robi się sześć, z szansą na więcej, jeśli pomyślnie wypadną negocjacje. Jeśli chodzi o miasta – Warszawę, Łódź, Wrocław itd., chyba nikt nie spodziewał się, że będzie inaczej? Nie da się w ciągu kilku lat zmienić ich demografii, upodobań politycznych i tendencji społecznych, które premiują lewicę, liberałów i centrum. Boleśnie przekonał się o tym Patryk Jaki, który pomimo masy wydarzeń i pracy w rzeczywistości mówił do grona ciągle tych samych osób – elektoratu PiS, czyli około jednej trzeciej populacji stolicy. Powtarzałem to moim konserwatywnym znajomym w Polsce, że Warszawy nie odbije nawet najsprawniejszy kandydat jednoznacznie kojarzony z twardym jądrem Zjednoczonej Prawicy i Zbigniewem Ziobrą, który został twarzą nieudanej ustawy o IPN, reformy wymiaru sprawiedliwości, a na finiszu kampanii, wysyłając pytanie do Trybunału Konstytucyjnego na temat konieczności implementacji orzeczenia TSUE, dał opozycji do ręki broń w postaci mówienia o polexicie. Myślę, że Jarosław Kaczyński zdawał sobie sprawę z tego, że miasta i tak nie da się odbić, więc z drugiej strony wystawienie Jakiego mogło być jego sposobem na osłabienie frakcji ziobrystów. Przegrana była dotkliwa, ale niekompromitująca, patrząc na to, jak kandydat dwoił się i troił. Dlatego można ją było wliczyć w koszty neutralizacji kogoś, kto mógłby zyskać zbyt dużą autonomię. Nie zdziwiłbym się, gdyby po drugiej turze w Krakowie, którą Małgorzata Wassermann może przegrać, to ona w przyszłości została wybrana nowym ministrem sprawiedliwości. Na pewno uspokoiłoby to zaplecze Mateusza Morawieckiego, który jako lider partii, patrząc po ostatecznych wynikach, udźwignął swoją rolę.

Jak oceniasz postawę opozycji i jej rezultaty? Wygrała wieczór wyborczy, ale nie wygrała wyborów? A może jednak ta przewaga w miastach i większość sejmików w koalicji KO+PSL to wystarczające powody do zadowolenia?

Moim zdaniem opozycja nie ma wielkich powodów do radości. Jako całość zmniejszyła swój stan posiadania, żeby nie powiedzieć, że wyczerpała siłę przekonywania w formule ostrego antypisu. Skupianie się dzisiaj na miastach, a szczególnie na Łodzi i Warszawie, to byłby ogromny błąd Schetyny. Rafał Trzaskowski to dla mnie postać jak z kreskówki, a jego rządy nie przełożą się na dynamikę poparcia dla partii w wyborach parlamentarnych, tak samo jak Hanna Gronkiewicz-Waltz mogła sparingować się z PiS z dystansu, ale bez możliwości zmienienia status quo. Z kolei wyraźne zwycięstwo Hanny Zdanowskiej, eh, ręce idzie załamać. Osoba skazana prawomocnym wyrokiem za poświadczenie nieprawdy zostaje prezydentem na złość PiS. Jeśli na tym chce budować opozycja, to nie są to mocne fundamenty.

Czy twoim zdaniem w toku kampanii PiS popełnił jakieś znaczące błędy? Jako jedną z przyczyn wyraźnej porażki w stolicy wymienia się spot skierowany przeciwko uchodźcom. Zupełnie wprost mówi się również o topornej propagandzie TVP, która zaczyna być kontrskuteczna.

Musielibyśmy przeprowadzić osobną rozmowę, żeby wyliczyć te błędy, brak zniuansowania przekazu, momentami jego prymitywizm i właściwie brak pola manewru w walce o nowy elektorat. Jestem ciekaw, czy to się zmieni przed wyborami parlamentarnymi. Tak czy inaczej, nadal pod względem ideowym – przy całej ich ociężałości – wolę polską prawicę niż żalącego się w Berlinie i Brukseli Schetynę. Trudno. Jak się nie ma, co się lubi, to się stawia na tych, których się ma. ©℗ ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl a980e6f3ab

OKIEM JASTRZĘBIA

No nie wiem, Andrzej, nie wiem

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ja wiem, ja rozumiem, ja też to trochę, proszę państwa, mam. Zapracowani, zabiegani nie dostrzegamy czasem ludzkich trosk i radości. Tymczasem „Esmeralda Godlewska potwierdziła ciążę" – informuje jeden z portali. Czyż błogosławiony stan nie jest powodem do radości? Ja wiem, ja rozumiem, ja też to trochę, proszę państwa, mam. Państwo akurat w tym momencie mogą nie kojarzyć, kto to jest pani Esmeralda Godlewska i dlaczego akurat ona potwierdziła. Spieszę z pomocą. Otóż pani Esmeralda jest jedną z najbardziej znanych w polskim Internecie piosenkarek i szołmenek w dobrym tego słowa znaczeniu. Jest też przełamującą tabu eksperymentatorką znaną z takiego hitu jak choćby „Biało-czerwone barwy niezwyciężone" stworzonego na pamiętne dla nas mistrzostwa świata w piłce nożnej w Rosji. W utworze tym bardzo zmysłowo uprawia wyginanie oraz śpiewa, pokazując chyba lekko pokąsane usta (może nie są pokąsane, nie chciałbym być niesprawiedliwy). Szlagier ten jest tym bardziej godny uwagi, że prezentujący piosenkę największy na świecie portal wideo poprzedza go planszą z napisem: „Utwór ten może być nieodpowiedni dla niektórych użytkowników". Teraz to już na pewno każdy to obejrzy. A warto choćby dlatego, że siostry Godlewskie (druga pani Godlewska jest równie ponadzmysłowa) noszą nasze barwy narodowe na piersiach bezpośrednio.

„Popek" w KSW przypomina mi kawał o jamniku ścigającym się z chartami

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zostawmy to jednak i przejdźmy do prawdziwego sportu. Otóż „Popek" zmienił jednak zdanie. Ja wiem, ja rozumiem, ja też to trochę, proszę państwa, mam. Zapracowani, zabiegani nie dostrzegamy czasem ludzkich trosk, radości i tego, kto to jest ten „Popek". Spieszę z pomocą. „Popek" był bardzo cenionym wśród młodzieży raperem, m.in. z powodu robienia sobie blizn na twarzy i śpiewania piosenek z tekstami o pobytach w klubach go-go. Następnie postanowił zostać zawodnikiem KSW, czyli walczyć w klatce na pięści, nogi i nie uderzać głową. Pan „Popek" wygląda bardzo groźnie i bardzo groźnie się wypowiada przed walkami. Osobiście przypomina mi tym pewien dowcip o ambicjach, dowcip o jamniku i Andrzeju. Dobrze, skoro państwo chcą, to opowiem. Otóż Andrzej miał jamnika, który pewnego dnia zaczął mówić. I ten jamnik mówi do Andrzeja: „Wystaw mnie do biegu z chartami, postaw całe pieniądze i będziemy bogaci". Na to Andrzej: „Jamnik, co ty, zgłupiałeś? Jak do biegu z chartami? Ty z takimi krótkimi nóżkami nie masz żadnych szans". Jamnik jednak namawiał: „Nie jestem zwykłym jamnikiem, przecież mówię ludzkim głosem. Mówię ci, Andrzej, wystaw mnie, postaw wszystkie pieniądze, zobaczysz, wygramy". Andrzej się opierał, ale w końcu dał się przekonać, bo przecież to nie był zwykły jamnik. Przyszedł długo wyczekiwany dzień gonitwy. Jamnik dalej przekonywał Andrzeja o pewnym sukcesie, w końcu ruszyli. Charty pobiegły, a jamnik upadł nieprzytomny po 50 metrach. Andrzej, który postawił na swojego jamnika wszystkie pieniądze, zszokowany pyta psa: „Jamnik, co jest? Co się stało?". A jamnik na to: „No nie wiem, Andrzej, nie wiem". Koniec dowcipu.

Mnie śmieszy i akurat skojarzył mi się z „Popkiem", który ostatnio po różnych przechwałkach trochę poleżał na ringu i już nawet nie chciało mu się bronić. Niemniej to miły człowiek, charakterystyczny i ładnie śpiewa. Poza tym zmienił zdanie, bo po obiciu mówił, że już nie będzie walczył, ale wydobrzał i znów chce sobie poleżeć.

Ja nie wiem, ja nie rozumiem, ja proszę państwa mam zupełnie inaczej. Mariola Paśnik była jedynym kandydatem na burmistrza gminy Działoszyn i… przegrała. Ja wiem, jak to brzmi, ale to prawda, niestety. Jej kontrkandydat został tuż przed wyborami skreślony z listy, bo nie należał już do partii, do której mówił, że należy. Pani Paśnik została sama na placu kartki. Żeby wygrać, musiała na nią zagłosować co najmniej połowa tych, którzy wrzucili kartkę do urny. Ale się nie udało. Burmistrza wybierze więc rada gminy. „Mariola, co jest? Jak to się stało?". „No nie wiem, Andrzej, nie wiem". ©℗

eprasa.pl a980e6f3ab

OKIEM BLOGERKI

Nie płakałam po Jakim

KATARYNA

Kampania wyborcza się skończyła i można się wreszcie przestać podlizywać wyborcom, więc wielu polityków i kibiców PiS postanowiło powiedzieć warszawiakom, co naprawdę o nich myśli. Od czasu kampanii pogardy wobec osób pobierających „500+" nie było w przestrzeni publicznej takiego festiwalu „uprzejmości" pod adresem jednej grupy społecznej, a wszystko dlatego, że warszawscy wyborcy nie docenili prezentu, jaki im ofiarował PiS w postaci Patryka Jakiego. Szukanie winy w wyborcach to prosta droga do kolejnej przegranej, bo ich się przecież nie zmieni. Może więc warto się zastanowić, gdzie się samemu popełniło błędy. Rozstrzygnięcie wyborów w pierwszej turze oszczędziło mi dylematu, czy w drugiej w ogóle głosować, czy zostać w domu. Bo, choć z zupełnie innych powodów, żaden kandydat mnie nie przekonał. A ponieważ tylko jeden zdaje się nie rozumieć, dlaczego nie porwał tłumów, oto moje zastrzeżenia w skrócie.

Po pierwsze, wiarygodność. „Jak bardzo możesz się zmienić, by sprzedać swoją muzykę" – te słowa Kazika towarzyszyły mi, gdy śledziłam kampanię Patryka Jakiego. Był kibicem Odry – już jest Legii. Akceptował palenie „Tęczy", bo „stolica nie jest i nigdy nie będzie gejowska" – zmienił zdanie i nawet Parada Równości już mu nie przeszkadza. Był partyjnym politykiem – za pięć dwunasta ogłasza się bezpartyjnym. Jeśli ktoś jest w stanie na czas kampanii całkowicie się zmienić, to wyborca nie ma żadnej gwarancji, że po wygranej wszystkich zmian nie odkręci. Przebrał się przecież tylko na chwilę. Nie dziwię się, że ludzie tej przebieranki nie kupili.

Po drugie, dokonania. To Patrykowi Jakiemu zawdzięczamy zakończoną serią publicznych upokorzeń międzynarodową awanturę o nowelizację ustawy o IPN. Przepychał ją, nie licząc się z nikim, choć od początku wskazywano, że może przynieść więcej szkód niż pożytku. I tak się ostatecznie stało. Jednak nawet po tym, gdy już było wiadomo, że Polska niczego nie zyskała, a koszty poniosła ogromne, promotor prawnego i dyplomatycznego bubla był z siebie bardzo dumny. Czy można winić warszawiaków, że nie chcieli oddać miasta komuś, kto jest tak bardzo głuchy na racjonalne argumenty i tak bardzo nie liczy się z ceną, jaką za jego szaleństwo przyjdzie zapłacić nam wszystkim?

Po trzecie, afiliacja. Jeśli uważamy, że wyborcy powinni rozliczyć Trzaskowskiego za rządy PO w Warszawie, nie powinniśmy się dziwić, że rozliczyli Jakiego za rządy PiS w Polsce. Zwłaszcza zaś za wszystko, co się dzieje w wymiarze sprawiedliwości, czyli domenie kandydata. Począwszy od przekierowywania pieniędzy przeznaczonych na pomoc ofiarom przestępstw do fundacji o. Rydzyka, na międzynarodowej awanturze o sędziów skończywszy. Nawiasem mówiąc, sędziowskie nominacje w Sądzie Najwyższym mogły być dla wielu ostrzeżeniem przed przyszłą polityką kadrową w ratuszu.

Po czwarte, i najważniejsze, od którego powinnam zacząć, Patryk Jaki przegrał tylko formalnie. Realnie patrząc, taki wynik to wielki sukces jego kampanii, zważywszy na to, jak nieciekawą był kandydaturą. W efekcie dynamicznej, ciekawej i sprawnej kampanii udało mu się wiele osób przekonać, że był materiałem na dobrego gospodarza stolicy. I to naprawdę doceniam, bo pod żadnym względem nie był. ©℗

PODSŁUCHANE

Niczego nie podpisuj

O mon Dieu, mon Dieu! Qu'est-ce que je dois faire?! Wie geht es nun weiter?!

Rafał, usiądź, odetchnij, napij się wody albo lepiej łyskacza i mów po ludzku. Co ci jest?

Dzięki, Grzegorz, ale łyskacza już piłem. Nie pomogło. Dramat, dramat po prostu!

Jaki dramat? Człowieku, masz piękny wynik, Jaki leży i kwiczy. Będziesz prezydentem Warszawy! Ciesz się!

Ty nic nie rozumiesz? Przecież ja nie mam o tym pojęcia! Ja się znam na integracji europejskiej, na budżecie UE, a nie na jakichś autobusach czy chodnikach! Mówiłem ci, że to zły pomysł.

Eee tam, ty się nie musisz na tych bzdurach znać. Weź sobie jakiegoś zdatnego wicka czy dwóch, niech oni robią brudną robotę. Ty będziesz wkraczał tylko czasem.

Jasne. A potem się okaże, że mnie na minę wpuścili. Tramwaje z ustawionego przetargu albo tunel za pięć razy tyle, ile miał kosztować.

Niczego nie podpisuj. Idź na zwolnienie lekarskie. Jeździj ciągle w delegacje. Mam ci takie podstawy wyjaśniać? Ale jedną rzecz natychmiast musisz zrobić: remont Nowogrodzkiej.

Jak to? Mam Kaczorowi wygładzić jezdnię?!

Jasne, że nie. Taki remont zrób, żeby się nie dało wjechać na ten jego parking. Żeby mu młoty pneumatyczne pod oknami chodziły cały czas. I niech się ciągnie cztery lata. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Rządy PiS zagrażają obecności Polski w UE".

GRZEGORZ SCHETYNA,
szef Platformy Obywatelskiej, na Twitterze

eprasa.pl a980e6f3ab

fot. Jerzy Gumowski

Bez Boga

Pytanie zasadnicze brzmi: jak długo Europa będzie jeszcze choćby śladowo chrześcijańska? Jeden z czołowych ojców–projektantów Unii Europejskiej, Robert Schuman, rzekł: *„Europa będzie chrześcijańska, albo nie będzie jej wcale”*. Nie przewidział, że kilkadziesiąt lat później dechrystianizacja Starego Kontynentu przybierze rozmiary tajfunu. Ergo: że dziedzictwo św. Benedykta, którego Paweł VI ustanowił patronem Europy, będzie się rozsypywało ku uciesze Belzebuba. Co jest zresztą formalnie sankcjonowane nawet aktami międzynarodowymi (przykładem Traktat Lizboński 2007, rezygnujący z zapisu o chrześcijańskich korzeniach Europy). Dziś Bruksela konsekwentnie ruguje chrześcijaństwo z przestrzeni europejskiej i podjudza społeczeństwa do wrogości wobec krzyża, nie bez sukcesów, gdyż jak raportował (maj 2018) wiedeński oddział Obserwatorium Nietolerancji i Dyskryminacji Chrześcijan: niechęć wobec chrześcijan w życiu codziennym rośnie zastraszająco. Sam Kościół też ponosi część winy, im bardziej bowiem zyskuje miano zorganizowanej grupy przestępczej masowo uprawiającej pedofilię i gwałcącej, tym bardziej masowa jest ucieczka wiernych i pustoszenie kościołów. Jednak ten exodus i tak miałby miejsce, bo walkę z krzyżem masoneria oraz lewactwo zaczęły dużo, dużo wcześniej niż eksplodował serial kościelnych afer pedofilskich.

Gramsci i jego epigoni zrozumieli, że nie da się osłabić Kościoła bez rewolucji kulturowej i społecznej, tudzież bez destrukcji fundamentu: chrześcijańskiej rodziny. Oto czemu przez parę minionych dekad kultura masowa intensywnie promowała/propagowała wzorce życiowe dalekie od dekalogowych, vulgo: rozwiązłość, erotyczne luzactwo, płodozmian *„partnerski”*, rutynę *„szybkich numerków”*. Takie podmywanie tradycyjnych wartości kruszy rodzinę, gangrenuje ją hulactwem, partactwem, familijnym nihilizmem, a ponieważ wiarę religijną wpaja się właśnie w rodzinach, przekazuje się ją tam pokoleniowo jako generalną świętość — to tzw. *„kryzys rodziny”* (dziś już bardzo ostry) musi wpływać na religijność społeczeństwa. Przeżywa ona dekadencję, o czym świadczą alarmujące statystyki. Choćby te z polskiego katolickiego Instytutu Statystyki Kościoła, dzięki którym wiemy m.in. o dużym spadku liczby wiernych uczęszczających na niedzielną mszę świętą (obecnie tylko 36,7%!).

Widząc sukcesy — politpoprawni lewacy atakują Kościół coraz zacieklej, pragnąc go zniwelować do gruntu. Czynią to na wielu płaszczyznach, od demograficznej (zalanie Europy hordami muzułmanów nienawidzących chrześcijaństwa) do *„witrynowej”* (reklamy itp.). Firma Lidl usuwa krzyże z tradycyjnych opakowań gdzie widniała grecka świątynka. Firma Hallmark dechrystianizuje Bożonarodzeniowe kartki. Graficy, rzeźbiarze, scenografowie oraz reżyserzy licytują się drastycznością kontrkatolickich obscenów, eksponując genitalia. Gdzie tylko można wbija się szpile antychrześcijańskie, nawet w podróżniczy film Jamesa Graya **„Zaginione miasto Z”** (2016) wetknięto jako frazę kluczową parsknięcie głównego bohatera: *„ — Tak długo nasiąkaliśmy bigoterią Kościoła, że nie chcemy już akceptować faktu, iż bogato rozwinięte cywilizacje istniały zanim nastał Kościół!”*. U siebie też mamy pełno aktów pseudosztuki dezawuującej wiarę katolicką (krzyżowanie penisa, itp.) czy robiącej to samo pseudodramaturgii (fellatio z JP II), jak również wypowiedzi wrogich chrześcijaństwu, w czym zdają się przodować endecy (Jakub Woziński nazwał katolicyzm *„ideologią, która od ponad tysiąca lat pustoszy Polskę oraz polskie umysły”*; Stanisław Michalkiewicz ogłosił, iż *„żadne wyznanie tak nie pierdzi jak katolickie”*). Notoryczne stało się ukazywanie otwartej waginy jako NMPanny (w Czeladzi na ekspozycji Galerii Sztuki „Elektrownia”, w Toruniu na demonstracji, etc., etc.).

∞

*Cyprian Kamil Norwid (**„Początek broszury politycznej”**): „Być demokratą bez Boga i wiary?!...”*

∞

Zważywszy całą zachodnioeuropejską nawałę kontrchrześcijańską — czymś zdumiewającym był fakt przywrócenia (od czerwca 2018) krzyża w urzędach publicznych przez władze bawarskie (CSU), lecz to *„wyjątek potwierdzający regułę”* li tylko. Większość zachodnioeuropejskich krajów — od Danii po Hiszpanię — dechrystianizuje co tylko się da. Przoduje, naturellement, Francja, która ma tu tradycje sięgające XVIII wieku. Przedrewolucyjni lewaccy konspiratorzy francuscy (m.in. paramasońscy *„iluminaci”*) określali się (dla tajności sprzysiężenia) kryptonimem HSD (*„l'Homme Sans Dieu”* — ludzie bez Boga, bezbożnicy). Takie też są dzisiaj elity zachodniego świata — usuwają krzyże nawet z wież kościelnych i cmentarzy. Katolickie, broniące krzyży ruchy kontrrewolucyjne, o których modny pisarz Michel Houllebecq mówi, że są *„podskórnymi nurtami wypływającymi na powierzchnię i znamionującymi powrót do katolicyzmu”*, to inicjatywy wątłe, mizeria.

Podobnie jest w Beneluksie. Socjolog Jacek Borkowicz, analizując oddolne (na poziomie ludności) przyczyny dechrystianizacji niderlandzkich społeczeństw, konkludował: *„Wzrastający poziom życia i bezpieczeństwa spowodował drastyczny spadek religijności. Bo skoro i tak jest dobrze, to po co wysilać się z modłami? W ten sposób typowo kupieckie pytanie: «po co?», rozmijając się z bezinteresownym poczuciem wiary, zagłuszyło potrzebę dziękczynienia, a katolickie kościoły w Holandii i Belgii zaczęły świecić pustkami. Po nich natomiast świątynie w innych zachodnich krajach”* (2018). Jako dechrystianizacyjny model najbliższy Niderlandom Borkowicz wskazał laicyzującą się Irlandię (ja byłbym bliższy wskazania Francji i Hiszpanii).

Ze wszystkich przywódców europejskich najdzielniej i najgłośniej walczy przeciwko temu szatańskiemu trendowi węgierski premier Viktor Orbán. W Bożonarodzeniowym przemówieniu roku 2017 rzekł: *„ — Dla ludzi cywilizacji europejskiej, ludzi żyjących w kulturze ukształtowanej na fundamencie nauki Chrystusa, ta chrześcijańska kultura określa zasady codziennej moralności, sprawiedliwości, przyzwoitości, familiarności, ambicji i honoru. Stanowi ona alfę i omegę naszej egzystencji, naszej filozofii życiowej. To nasze naturalne dziedzictwo. Dlatego nie chcemy, by osłabiano system immunologiczny Europy tuszowaniem, negowaniem, eliminowaniem, tłamszeniem chrześcijaństwa”*. Bez dwóch zdań: Orbán wyrasta na silnego przywódcę europejskiej kontrrewolucji stopującej dechrystianizację/laicyzację Starego Kontynentu. Oby mu się powiodło!

Jako puentę tego felietonu daję okładkę wydawnictwa z 1937 roku, autorstwa księdza Franciszka Kwiatkowskiego, *„profesora fakultetu Filozofii w Krakowie”*. Nic dodać, nic ująć. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl a980e6f3ab

Twoje **bezpieczeństwo** to teraz **Santander Bank Polska**

Bank Zachodni WBK
to teraz Santander Bank Polska

Santander
bank jaki chcesz

Bank Zachodni WBK S.A. zmienił nazwę na Santander Bank Polska S.A. Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr. KRS 0000008723, utworzona na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1988 r. w sprawie utworzenia Banku Zachodniego we Wrocławiu (Dz. U. z 1988 r. Nr 21, poz. 142), NIP 896-000-56-73. Wysokość kapitału zakładowego 993 334 810 zł. Wysokość kapitału wpłaconego 993 334 810 zł.

1 9999 | santander.pl

Koszt połączenia zgodny z taryfą danego operatora.

eprasa.pl a980e6f3ab